

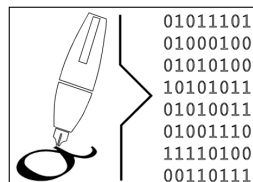
MARGIT SANDEMO

Saga o czarnoksiężniku

TOM 7

BEZBRONNI

Przełożyła: Anna Marciniakówna



Tytuł oryginału:

Oversatt etter: Vergeløs

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1992 r.

Streszczenie

Po dwunastu pięknych, spokojnych latach islandzki czarnoksiężnik Móri i jego norweska żona Tiril na nowo podjęli walkę z bardzo starym i złym zakonem rycerskim, który ich prześladował. Tym razem Tiril i Móri zabrali ze sobą w podróż do dawnej siedziby Zakonu swego przyjaciela Erlinga.

Nasza trójka nie wie, o co w całej sprawie chodzi, ani jakie siły popierają Zakon Świętego Słońca, z drugiej jednak strony ma ona nad Zakonem wielką przewagę. Przede wszystkim dzięki powiązaniom Móriego ze światem duchów.

By przerwać nareszcie prześladowania Tiril i jej matki, księżnej Theresy, troje przyjaciół musi dotrzeć do samego źródła zła. Ślady wiodą do ruin bardzo starego zamku w Szwajcarii. Ale prześladowcy znowu uderzają. Udaje im się pochwycić Tiril i uprowadzić ją. Móri zostaje pchnięty mieczem, Erling zaś zrzucony z potwornie wysokiej skały, ale duchy, przyjaciele Móriego, ratują mu życie i odprowadzają do Theresenhof.

Móri nie żyje. Jediną istotą, która mogłaby, być może, go uratować, jest jego dwunastoletni syn Dolg. To wyjątkowy chłopiec, najzupełniej niepodobny do normalnych ludzi. Wraz ze swym potężnym opiekunem, Cieniem, wyrusza w niebezpieczną drogę. Udaje mu się odnaleźć jeden z trzech ogromnych szlachetnych kamieni, o których jest mowa w prastarych pismach Zakonu Świętego Słońca. Może ten kamień zdoła wydostać Móriego z krainy zimnych cieni — jeśli tylko chłopiec zdąży na czas. Tymczasem chłopci z pobliskiej wioski znaleźli martwe ciało Móriego i postanowili urządzić mu pogrzeb.

Księżna Theresa również działa na własną rękę. Udaje jej się wyłączyć z gry swego dawnego ukochanego, ojca Tiril. Jest on teraz biskupem, członkiem rycerskiego zakonu oraz bratankiem wielkiego mistrza Zakonu, kardynała von Grabena.

Kardynał posługuje się magiczną sztuką dla pokonania Erlinga i Dolga, idących na ratunek Móriemu. Dolgowi udaje się unieszkodliwić dwie wysłane przez kardynała istoty, ale nic jeszcze nie wie o istnieniu trzeciej...

KSIEGA I
KRAINA ZIMNYCH CIENI

Rozdział 1

Księżna Theresa stała przy oknie w Theresenhof i wzdychała zrezygnowana. Jakież to było podniecające podjąć działania na własną rękę i zobaczyć biskupa Engelberta oraz kardynała von Grabena, jak wiją się przygwożdżeni jej oskarżeniami. Widzieć Engelberta, który ranił ją boleśnie przez tyle lat, upokorzonego, odartego z godności, nazwanego publicznie pospolitym złodziejaszkiem. A poza tym dokonała wielkiego czynu: zdołała zmusić ich, by jej powiedzieli, gdzie przetrzymują Tiril. Teraz jednak Theresa wróciła do codzienności, znowu trwała w lęku i niepokoju o najbliższych, a na dodatek nie miała komu opowiedzieć o swojej triumfalnej wyprawie do Heiligenblut. Theresa nie cierpiała tego, że to akurat ona w ich małym gronie musi reprezentować przyziemność. Owszem, Erling był taki sam, również nie miał żadnych powiązań ze światem duchów, ale jemu wolno było uczestniczyć w niezwykłych przygodach. Nie musiał jak ona siedzieć i umierać ze strachu, nie mając pojęcia, co się dzieje z nieobecnymi, jego zadania nie ograniczały się tylko do decyzji, czy dom potrzebuje nowych prześcieradeł ani jakie dania podać na obiad gościom.

Ale ktoś musiał przecież wziąć odpowiedzialność za dwoje pozostałych w domu dzieci, Taran i Villemanna, a tego akurat zadania księżna podjęła się chętnie.

Choć cudownie byłoby towarzyszyć Erlingowi i Dolgowi, móc im pomagać w drodze. Miała przecież zaledwie pięćdziesiąt lat. Dlaczego traktują ją niczym starszą panią?

No, w tym przypadku to pewnie nie o wiek chodziło. Okazywano po prostu respekt damie wysokiego rodu, a przy tym babci i w ogóle osobie godnej szacunku.

Dziesięcioletnia Taran wbiegła do pokoju rozgorączkowana, z wypiekami na twarzy. Tuż za nią ukazał się Villemann.

— Babciu — zaczęła Taran. — Czy babcia pozwoli, że coś powiem?

— O mój Boże — roześmiała się Theresa. — Od kiedy to stałaś się taka grzeczna? Tego typu uprzejmych zdań staraliśmy się nauczyć cię wiele lat temu, ale bez skutku. Bardzo ładnie to powiedziałaś, Taran. I, oczywiście, masz moje pozwolenie.

Dziewczynka była niezwykle przejęta.

— Babciu! Ja odkryłam, czym jest szczęście!

— Naprawdę? — wykrzyknęła Theresa ze śmiechem. — No to nieźle, bo chyba dotychczas nikt tak naprawdę nie potrafił wyjaśnić słowami, czym w istocie szczęście jest.

— No, a babcia jak myśli, czym ono jest?

To dwoje norweskich szczerych oczu, poczucie bezpieczeństwa u boku szlachetnego człowieka. . .

Nie, co to za rojenia akurat w tej chwili. . .

— Cóż — rzekła z bijącym mocniej od tych zakazanych myśli sercem. W końcu jednak zdołała je od siebie odpędzić. — Cóż, ja właściwie nie wiem, moje dziecko. Szczęście to nie jest jakiś trwały stan. Raczej krótkie, ale za to bardzo intensywne chwile. Błyski radości. Takie, kiedy chce się głośno krzyknąć. Ale co ty odkryłaś?

Taran patrzyła na nią oddychając szybciej, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, uprzedził ją Villemann.

— Ja myślę, że szczęście to jest, kiedy człowiek wieczorem przed zaśnięciem jest zadowolony z dnia, który minął — oświadczył swoim najgłębszym, „dorosłym” głosem.

— Bardzo pięknie to ująłeś, Villemannie — rzekła Theresa z powagą. — Chyba nigdy nie słyszałam bardziej odpowiedniego określenia szczęścia.

Chłopiec rozpromienił się, uśmiechnięty od ucha do ucha, pokraśniał z zadowolenia. Człowieka przepętnia radość, kiedy patrzy na to dziecko, pomyślała Theresa.

— No, a ty, Taran? Co ty chciałaś powiedzieć? — zwróciła się do wnuczki, która z niecierpliwością przestępowała z nogi na nogę.

— Ja też wymyśliłam coś bardzo pięknego i chciałam, żeby właśnie babcia to usłyszała.

— No to słucham cię.

Jaka to się robi ładna dziewczynka, stwierdziła przy tym. Za jakiś czas unieszczęśliwi wiele chłopięcych serc.

Taran wyrecytowała głosem łamiącym się z dumy:

— Najbliższa kuzynka szczęścia ma na imię ulga.

Theresa odczekała chwilę, by słowa przebrzmiały. „Najbliższa kuzynka szczęścia ma na imię ulga. . .”

— Cudownie, Taran! Naprawdę ulga to najintensywniejsza forma szczęścia.

— Tak! — potwierdziła Taran z promiennym wzrokiem. — Bo przecież byliście wszyscy tacy szczęśliwi, kiedy my z Dolgiem i z Villemannem wróciliśmy z tej naszej strasznej wyprawy.

Wszyscy troje wiedzieli, że teraz dziewczynka trochę przesadza. Tylko Dolg w czasie tej wyprawy przeżywał straszne chwile. Reszta spała spokojnie przez całą noc.

— Masz rację — przyznała jednak Theresa. — A pomyślcie, jakiej ulgi wszyscy doznamy, kiedy tata i mama, i Erling znowu będą w domu!

Och, cóż za głupstwa wygaduję, skarciła się w myśli. Nie powinnam przypominać malcom o nieszczęściu rodziców. Dodała więc pospiesznie:

— A poza tym istnieje wiele różnych form ulgi, przeżywamy to niemal codziennie. Na przykład, kiedy znajdziemy rzecz, której nam bardzo brakowało. Albo wykonamy bardzo trudne zadanie.

— Albo jak się w końcu dotrze do toalety, kiedy się, człowiekowi bardzo chce — palnął Villemann.

— Villemann! — pisnęła Taran oburzona. — Czy ty zawsze wszystko musisz popsuć?

Theresa nie chciała zawstydząć chłopca.

— To przecież naprawdę tak jest, Villemann. Widzieliście wielokrotnie Nera, kiedy zrobił, co trzeba. Biega wtedy w kółko jak szalony, że mu nareszcie ulżyło.

— No, ja mówię wtedy, że on tańczy wielki taniec zwycięstwa! — zawołał Villemann. I zaraz spoważniał. — Och, babciu, jak ja okropnie tęsknię za Nerem.

— Ja też — potwierdziła Taran. — A za mamą i tatą jeszcze bardziej. Czy nie moglibyśmy spróbować ich odnaleźć?

— Naprawdę bardzo bym tego pragnęła — powiedziała Theresa z westchnieniem. — Ale ktoś przecież musi być w domu, gdyby na przykład mama nagle wróciła.

Dzieci rozumiały sytuację.

— A co będzie z tymi rzeczami na schodach werandy? Dlaczego nie wolno nam ich ruszać? — zapytała Taran.

— Dobrze wiesz, dlaczego — odparł Villemann ostro. — Dlatego, że jeśli ich dotkniemy, to umrzemy!

— Nie, bo kucharka powiedziała, że tam straszy.

— My naprawdę nic pewnego nie wiemy — westchnęła Theresa. — Poza tym, że te kamienne tablice są śmiertelnie niebezpieczne.

— A czy ci sympatyczni żołnierze jeszcze do nas przyjadą? — zapytała znowu Taran z właściwą jej zmiennością zainteresowań.

— To możliwe — odparła Theresa. — W każdym razie obiecali, że kiedy wyruszymy na poszukiwanie Tiril, oni pojadą z nami. Zresztą wtedy to ja też na pewno pojadę, bo to ja odkryłam, gdzie się Tiril znajduje.

— I my z tobą, babciu! — zawołał Villemann. — My z tobą!

Och, dzieci, znowu będę musiała was rozczarować, pomyślała księżna. Nie miała jednak dość sił, by im to powiedzieć, więc milczała.

— Najpierw powinniśmy odnaleźć waszego tatę — rzekła po chwili, by odwieść ich myśli od wspomnień o matce. — Och, żebyż już oni wszyscy wrócili do domu. Tata i Nero, i... wuj Erling, a także inni, którzy z nimi poszli.

Mój Boże, aż tyle wysiłku potrzeba, by wymówić imię Erlinga? I to tylko dlatego, że tak strasznie pragnie je wymawiać, ale boi się, że inni usłyszą podniecenie w jej głosie, zobaczą jej promienny wzrok. . .

Pospiesznie zajęła się jakimiś codziennymi sprawami tak, by dzieci nie zaczęły znowu rozpytywać o Móriego.

Nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, ile naprawdę malcy wiedzą. Nie wierzyła, że myślą, iż ich ukochany tatuś, ich wzór we wszystkim, a poza tym „największy czarnoksiężnik na świecie”, nie żyje. Zresztą oboje sobie chyba zdawali sprawę z tego, że tak właśnie jest, tylko byli absolutnie przekonani, że starszy brat, Dolg, potrafi go przywrócić do życia. Ich wiara w magiczne zdolności Dolga była niezłomna.

I dlatego ani się nie bali, ani nie byli pogrążeni w rozpacz. Za co Theresa szczerze dziękowała losowi.

Wystarczająco dokuczały jej własne obawy i lęki.

Móri. . .

Czy jeszcze kiedyś go zobaczą?

Tyle sił miał przeciwko sobie.

Czy zdarzyło się kiedyś, że ktoś powrócił z tamtego świata?

Czy też, ściślej biorąc, z przedsionka śmierci. Sam Móri mówił przecież, że to się nazywa kraina zimnych cieni, miejsce, do którego trafiają ci, którzy zostawili na ziemi jakieś nie załatwione sprawy. Móriemu powiedziały o tym duchy. Tam odsyłano tych, którzy wątpili — i dlatego po śmierci stawali się upiorami — albo tych, którzy. . .

Nie, Theresa nie pamiętała dokładnie, jak to było, słowa Móriego powodowały wstrząs w sercu szczerze wierzącej katoliczki, jaką była.

Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami, powtarzała w duchu, starając się jednocześnie pokazać nieuważnej Taran, jak się szyje ściegiem petit point.

Święta Matko, ja wiem, że Móri nie jest katolikiem, ale spójrz łaskawie i na niego.

Rozdział 2

Rzeczywiste wydarzenie, czyli to, co było widać z zewnątrz tamtego strasznego dnia przy skale Graben, kiedy ludzie kardynała napadli na trójkę przyjaciół, sprowadzało się do tego, że Móri został na wylot przeszyty mieczem.

Tiril zdążyła to zobaczyć w ostatnim momencie, zanim napastnicy ją wprowadzili. Spostrzegł to również Erling w chwili, gdy zepchnięto go z krawędzi skały, w przeraźliwie głęboką otchłań.

Nikt jednak nie widział walki Móriego ze śmiercią. Dokonywała się ona w nim samym, w jego duszy, i oczywiście, również w jego ciele.

Móri widział, jak Erling spada ze skały, co musiało oznaczać śmierć, ale nic nie wiedział o cudownym ocaleniu przyjaciela.

Widział też, że jego ukochana Tiril została uprowadzona przez ordynarnych rzezimieszków. Myślał w tej chwili o trójce swoich dzieci, które traciły oboje rodziców, zostawały na świecie same i bezbronne.

Dlaczego bardziej stanowczo nie ostrzegął o niebezpieczeństwie, które wyczuwał? Dlaczego nie zmusił żony i przyjaciela, by zawrócili i nie wchodzili na złą skałę z ruinami zamku Graben? Powinien był nawet użyć siły, powinien przekazać im dręczący go lęk, zmusić, by porzucili plan penetracji ruin.

Teraz już było za późno. Wszystko stracone.

Móri, czarnoksiężnik z Islandii, wiedział, że jego ostatnia godzina nadeszła. Nikt nie byłby w stanie przeżyć takiego cięcia mieczem, zwłaszcza ze ostrze przeszło na wylot, naruszając wszystkie organy wewnętrzne.

Móri wiedział, że Erling nie ma znaczenia dla kardynała i jego ludzi. Stracili go po prostu ze skały, żeby się go pozbyć. Wiedział także, iż Tiril będą się starali wziąć żywcem, by wydobyć z niej wszystko, co wie, nawet gdyby przyszło uciekać się do tortur.

Ale jego, czarnoksiężnika, wszyscy tamci się bali. Już dawniej mieli okazję posmakować jego magicznej sztuki, co z pewnością znającego się na czarach kardynała przerażało. Móri musi umrzeć, dla niego nie będzie miłosierdzia.

Dlatego ludzie kardynała działali z taką bezwzględnością.

Kiedy świat wokół bardzo szybko pogrążał się w mroku i śmierć ogarniała ciało Móriego, przeżył to, co wielu innych przeżywa w ostatniej godzinie.

Znalazł się wysoko ponad swoim ciałem, leżącym na ziemi, samotnym teraz i opuszczonym, kiedy wszyscy zniknęli. Z daleka, ze stromego zbocza docierały do niego rozpaczliwe krzyki Tiril, ale i one ucichły nagle i niespodziewanie.

Spokojna obojętność, ten bardzo przyjemny stan, który w pewnej chwili ogarnia umierającego, pochłonęła również islandzkiego czarnoksiężnika. Wszystko zdawało się po prostu piękne, nic więcej już nie miało znaczenia. Spoglądał na swoje opuszczone ciało na trawie i doznawał zdziwienia, nie czuł żalu, nic go nie bolało.

Niedługo jednak trwał tak w górze ponad lasem, mniej więcej na wysokości czubków drzew. Powoli pogrążał się w mroku, który wydawał się być tunelem, ponieważ na końcu majaczyło światło. Ale trudno mu było rozstrzygnąć, czy to tunel, spirala czy po prostu ciemna przestrzeń. Początkowo odniósł wrażenie, że wpada w tę ciemność w oszalamiającym pędzie. W następnej chwili znalazł się poza nią, otaczało go cudowne, bardzo łagodne, zabarwione na żółto światło, które odczuwał jak otulającą go wieczną miłość.

Ktoś wyłonił się z tego światła, powoli sylwetka stawała się wyraźna.

To Helga, matka Móriego.

Jak dobrze było znowu ją zobaczyć!

Helga nie przybyła sama. Za plecami matki mignęła Móriemu postać jego ducha opiekuńczego.

Ale to Helga szła mu na spotkanie, to ona wyciągała do niego ręce.

— Mamo — wyszeptał i znowu był tym młodym chłopcem, który, wbrew własnej woli, posłał ją na śmierć, ponieważ zakpił sobie z mężczyzn wiozących ich przez całą Islandię na sąd do Thingvellir.

Matka uśmiechnęła się do niego, on zaś zbliżył się, by ująć jej dłonie. W tym momencie kątem oka zauważył, że duch opiekuńczy z niezadowoleniem i żalem potrząsa głową.

Helga natychmiast z westchnieniem rezygnacji cofnęła swoje ręce tak, by Móri nie mógł ich dotknąć. Obie kobiety coś do siebie szeptały ponad jego głową.

Ciemność miał teraz za sobą.

Nie, nie, ja chcę tutaj zostać, w tym cudownym świetle. Tu jest moje miejsce, nie oddawaj mnie, nie zdradzaj!

Ciemność podeszła jakby bliżej.

Móri odwrócił się, gdy poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu.

— Chodź, synu — usłyszał głęboki, poważny głos ojca, Hraundrangi-Móriego.

Dlaczego pozwoliliście mi to zobaczyć, skoro nie mogę tu zostać, myślał Móri z goryczą. Wiedział, że wszyscy ludzie, wszystkie żyjące istoty, są przenoszone do tego wielkiego światła. Tylko on nie, i jego ojciec, i jeszcze kilku innych.

Skinął głową Hraundrangi-Móriemu. Wiedział, co powinien zrobić.

— A więc stałeś się jednym z nich? — zapytała Helga. W jej głosie wyczuwał rozgoryczenie.

Móri po raz ostatni odwrócił się ku niej i duchowi opiekuńczemu. Po raz ostatni spojrział w stronę ciepłego, przesyconego miłością światła.

— Tak, matko — odparł cicho. — Zostałem czarnoksiężnikiem. A teraz czekają na mnie zimne cienie.

Rodzice zaczęli rozmawiać.

— Nie zabieraj go tam — prosiła Helga. — On sobie na to nie zasłużył. Zostaw go ze mną, zmiłuj się nad nami!

— Nasz syn sam wybrał — westchnął Hraundrangi-Móri. — Ten, kto próbuje lekceważyć prawa życia tak, jak to czynią czarnoksiężnicy i inni znajdujący się na magii, ma potem już tylko jedną drogę.

— Do krainy zimnych cieni?

— Tak. Ale, Helgo, ja go teraz zabieram do tej krainy tylko na chwilę. Śmierć jeszcze go nie wciągnęła w swoją największą głębię. Masz rację, on będzie musiał pójść do krainy zimnych cieni, ale my, jego towarzysze, postanowiliśmy zrobić wszystko, by go przed ostatecznym odejściem powstrzymać jeszcze przez jakiś czas. Jego zadanie na ziemi nie zostało wypełnione do końca. Spróbujemy wyrwać go ze szponów śmierci, bo wiemy, jak to zrobić. . .

— Jak?

Hraundrangi-Móri westchnął.

— Jest ktoś, kto sobie z tym poradzi. Być może. Został do tego bardzo dobrze przygotowany i ma potężnego opiekuna.

— Czy ty mówisz o naszym wnuku? — zapytała Helga cicho.

— Tak.

Dolg, pomyślał Móri. Nie, nie wolno wam angażować tego dziecka. . .

Ale myśl o tym uleciała równie szybko, jak się pojawiła. Rozmowa rodziców została zatarta w pamięci Móriego, by niepokój, żal i tęsknota nie obciążały jego duszy teraz, kiedy musiał rozegrać swoją długą walkę ze śmiercią.

— Chodźmy już — powiedział Hraundrangi-Móri.

I znowu pochłonęła ich ciemność.

Móri wiedział jednak, że nie przejdzie teraz z powrotem przez tunel i nie znajdzie się znowu na ziemi. Dłoń ojca na ramieniu kierowała go w głąb ciemności, gdzie nie było niczego.

Chociaż nie, coś jednak było. Schodzili wolno po jakichś schodach. Móri wyczuwał pod stopami zimne kamienne stopnie. Szeleściły uschłe liście, rozpadały się w pył, gdy tylko ich dotknął.

W końcu znaleźli się na samym dole i Hraundrangi-Móri przystanął.

— Teraz cię opuszczam, synu — oznajmił. — Opuszczam cię, bowiem powinienem się połączyć z innymi towarzyszącymi ci duchami. Zrobimy wszystko, by przez jakiś czas zatrzymać cię w przedsionku śmierci.

— A dokąd ja mam pójść?

— Tym nie musisz się martwić! Teraz sprowadzę na ciebie zapomnienie. Nie będziesz pamiętał, że widziałeś Wielkie Światło ani że spotkałeś matkę. Trzeba ci zresztą wiedzieć, że ona jest z ciebie bardzo dumna. Uważa, że jesteś wyjątkowo utalentowany i urodziwy, zauważyłeś to?

Móri, mimo dręczącej go rozpacz, musiał opanować uśmiech.

— Nie, niczego nie zauważyłem, ale dziękuję ci za te słowa. Mam prośbę, ojczyste... Zrób, co chcesz, ale nie zabieraj mi pamięci o Wielkim Świetle i o spotkaniu z mamą!

Hraundrangi-Móri potrząsał głową, jakby go przestrzegał.

— Niepamięć jest ci niezbędna, w przeciwnym razie staniesz się bezsilny. Bo kraina zimnych cieni jest dokładnym przeciwieństwem krainy światła, jeśli więc nie będziesz wiedział o istnieniu światła, ciemność nie będzie cię dręczyć aż tak boleśnie.

— Rozumiem, ale mimo to ponawiam prośbę: nie odbieraj mi tamtego przeżycia!

Ojciec westchnął.

— Jak chcesz, ale naprawdę będziesz żałował.

— To będzie mój ból. Ojczyste, zróbcie, co w waszej mocy, ja muszę wrócić na ziemię!

— Musisz, bo zadanie, jakie miałeś na ziemi, nie zostało jeszcze wykonane. A poza tym twoi bliscy nie powinni cierpieć z powodu twojej śmierci, już i tak mają bardzo ciężkie życie.

Móri chciał zapytać o dużo więcej, ale nagle stwierdził, że ojciec zniknął. Zaczął go wołać, prosił, by wrócił, ale odpowiadało mu tylko echo, które odbijało się od jakichś niewidocznych skał.

Móri był sam. Wokół czała się nieprzenikniona ciemność.

Chociaż nie, nie taka nieprzenikniona. Powoli, powoli w mroku rozrastał się strzęp światła. Może tylko nieco jaśniejsza smuga na tle smolistej czerni, ale wystarczająca, by mógł się choć trochę zorientować w otoczeniu.

Zawodzący wiatr przeleciał przez rozpadlinę, czy jak by określić to miejsce, w którym się Móri znajdował. Majaczyły tu wokół skały niczym wysokie ściany, a poprzez jęk wiatru słyszał ciężki, potężny, chóralny śpiew, dochodzący z mrocznej dali, jakby spoza wszelkiej nadziei.

Ja już tutaj kiedyś byłem, pomyślał. Wtedy, gdy Nauczyciel pokazywał mi „tamten świat”.

Móri wiedział, co to za śpiew. To chór umarłych czarnoksiężników.

Nie, nie, ja nie chcę tam iść, nie chcę być jednym z nich, róbcie, co chcecie, moi towarzysze, ale muszę wracać do żywego, jasnego świata!

Tak samo jak wtedy, dawno temu, kiedy Nauczyciel pokazywał mu wszystko tutaj, wędrowała tylko jego dusza. Ciało nadal spoczywało w lesie niedaleko ponurego zamku Graben.

Wiatr wciąż gwizdał w szczelinach, szumiał przy uszach Móriego stojącego bezradnie w głębokich ciemnościach.

Miał wrażenie, że stracił kontakt ze swoim duchem opiekuńczym, tą bardzo ładną kobietą o blond włosach. Ona należała do Królestwa Światłości. Tutaj przybyć nie mogła.

Ale mylił się. Z radością stwierdził, że ona stoi tuż przy nim.

— Dzięki ci, że jesteś — szepnął z ulgą.

— Muszę cię wspierać, takie jest moje zadanie. Czy zechcesz przyjąć pomoc?

— Czy zechcę? Jest mi tylko bardzo przykro, że cię w to wszystko wciągnąłem. Czy to jest piekło?

— Nie, skąd. Niebo i piekło to ludzkie wymysły. Jedyne, co istnieje naprawdę, to Wielkie Światło, czy, jeśli wolisz, Królestwo Światłości. Jądro świata.

— Miłość — rzekł Móri, kiwając głową. — W końcu wszyscy tutaj przychodzą?

— Wszyscy. Tylko niektórym zabiera to nieco więcej czasu.

— Na przykład czarnoksiężnikom? Tym, którzy zbyt zuchwałe chcieli zaglądać na drugą stronę, tak, słyszałem o tym.

— Masz rację, ale czarnoksiężnicy nie są jedynymi. Pamiętasz, jak kiedyś znalazłeś się wraz ze mną w innym wymiarze i ja musiałam cię opuścić? Pamiętasz, że ścigały cię wtedy jakieś istoty, które dostrzeżałeś zza zasłony mgły?

— Jak bym miał o tym zapomnieć? Ale czy i tym razem mnie opuścisz?

— Muszę. Już wkrótce.

Och, nie zostawiaj mnie tutaj, pomyślał przestraszony, głośno zaś powiedział:

— Czy wiesz, co to były za istoty?

— Są do głębi przesycone złem, robią wszystko, by znowu znaleźć się w świecie żywych, ponownie wejść do kręgu.

— A czarnoksiężnicy nie są przeniknięci złem?

— Nie, skąd. Tylko zbyt ciekawscy. Niektórzy z was byli źli, to prawda, ale niewielu.

— Wspomniałaś o jakimś Kręgu. Co miałaś na myśli? Gwałtowny poryw wiatru o mało nie powalił ich na ziemię. Móri odgarnął kosmyk włosów z czoła.

Duch opiekuńczy odpowiedział:

— Spróbuję ci to wytłumaczyć. Musisz teraz zapomnieć o swoich towarzyszach, to, co powiem, ich nie dotyczy, oni są zbyt niepospolici. Wiesz jednak, że każdy człowiek ma swego pomocnika, ducha opiekuńczego lub duchowego przewodnika, jeśli wolisz.

— I właśnie ty jesteś takim moim duchem?
— Owszem, tak jest — westchnęła.
Móri zawstydził się. Z pewnością nie był najwdzięczniejszym podopiecznym.
— Ale gdzie wy na ogół przebywacie? To znaczy, skąd przychodzicie?
— Niegdyś my również byliśmy ludźmi. Każde z nas żyło już wielokrotnie. W różnych wcieleniach. Jesteśmy duchami, których wędrówka dobiegła końca. I właśnie ostatnim zadaniem jest, byśmy towarzyszyli nowo narodzonemu człowiekowi przez życie, byśmy go chronili, pocieszali, dawali mu poczucie bezpieczeństwa, zanim przeniesiemy się do wyższych wymiarów.
— Do wyższych wymiarów? Czy do Wielkiego Światła?
— I tak, i nie. Za każdym razem, kiedy umieramy i czekamy na kolejne wcielenie, to znaczy na to, by narodzić się ponownie, zacząć nowe życie ziemskie, przebywamy w świetle.
— Mówisz, że po każdym życiu?
— Tak. Ale w drodze do Wielkiego Światła jest wiele różnych wymiarów.
— Ja znałem to światło — powiedział Móri w zamyśleniu, a tymczasem coś wielkiego, choć niewidzialnego przeleciało koło jego głowy niczym ogromne ptaszysko, które chce mu się przyjrzeć. — Nie może być nic wspanialszego niż to złociste, ciepłe, silne, a zarazem łagodne światło. Więc ty zakończyłaś już swoją wędrówkę w kręgu i teraz udasz się dalej? Szczęśliwy duchu, jakże ja ci zazdroszczę!
Opiekunka stała bez ruchu.
— Ale następstwa posiadania ducha opiekuńczego są dwojakiego rodzaju. Dla człowieka oznacza to konieczność, że tak powiem, przyzwoitego zachowania się, bo w ten sposób człowiek pomaga swemu duchowi opiekuńczemu wspinać się wyżej.
Wiatr wciąż zawodził. Za każdym razem, gdy przybierał na sile, śpiew chóru także rozbrzmiewał głośniejsze.
Móri przez chwilę milczał, a potem zapytał:
— Czy ja tobie pomogłem?
— Nie — odparł duch spokojnie.
Móriemu zrobiło się przykro.
— W ostatnich latach też nie?
— Owszem, muszę przyznać, że stałeś się porządnym człowiekiem, ale w młodości podejmowałeś naprawdę szalone przedsięwzięcia, a poza tym zbyt często posługiwałeś się siłami, które nie powinny podlegać człowiekowi.
— Mimo wszystko bardzo bym chciał, byś odzyskała wolność. Czy mogę coś zrobić?
Uśmiechnęła się ze smutkiem.
— Akurat teraz? Nie sądzę, żeby to było możliwe.

— Ale ja nie mogę jeszcze umrzeć! Moi bliscy mnie potrzebują. Moje dzieci. Ponadto nie złamaliśmy jeszcze Zakonu Świętego Słońca i jego złej siły, nie poznaliśmy jego celów.

Mówił tak, ale właśnie teraz powrót na ziemię nie wydawał mu się taki ważny. Najbardziej ze wszystkiego pragnął teraz wracać do światła.

Wyjaśnił to opiekunce.

— Wiem o tym — odparła. — Wszyscy, którzy znaleźli się tak blisko śmierci jak ty, o tym marzą. Nie chcą wracać na ziemię, ich jedynym celem jest Wielkie Światło. Kiedy jednak się dobrze zastanowią, nie pragną rezygnować z życia wśród ludzi. Wiedzą przy tym, że kiedy przyjdzie im umierać, poddadzą się temu ze spokojem i ufnością.

Rzeczywiście, masz rację — Móri uśmiechnął się niepewnie. — Oczywiście, że chcę zobaczyć moich ukochanych i pomagać im znowu. Potem jednak... kiedy będę naprawdę stary, umrę tak, jak powiadasz. Bez strachu, z radością.

— My, twoi towarzysze, robimy, co w naszej mocy, byś mógł spokojnie przeżyć resztę czasu na ziemi, jaki jest ci pisany.

Opiekunka nie powiedziała tego, ale Móri wiedział, co jeszcze miała na myśli: nie ma żadnej gwarancji, że Móri po śmierci będzie mógł trafić do Królestwa Światła. Bardziej prawdopodobnym jego celem po śmierci jest kraina zimnych cieni.

Był jednak wdzięczny towarzyszącym mu istotom za wszystko, co starały się dla niego zrobić.

— Dziękuję — wyszeptał.

— Teraz muszę cię opuścić — powiedziała. — Muszę wracać do nich, bo potrzebują mnie jako łączniczki.

— Nie, nie, nie zostawiaj mnie samego! Nie tutaj! Ten chóralny śpiew... Jest taki ciężki, przygnębiający, nie ma w nim nawet cienia nadziei. Nie chcę być jednym z odtrąconych!

— Właśnie tego staramy się uniknąć — odparła swoim łagodnym głosem. — Walczymy o ciebie zaciekle. Jesteś martwy, Móri! Nie żyjesz, pamiętaj o tym, ale my mamy wciąż jeszcze nadzieję, że uda się przywrócić cię do życia choć jest to nadzieja niezwykle wątpliwa. Nie wolno ci się poddać! Ty też musisz walczyć o swoje życie!

— Ale czy ta walka nie łączy się z jeszcze innym ryzykiem? Bo co się stanie, jeśli nie zechcę przejść przez ostatni etap śmierci, a przy tym wam się nie uda przywrócić mnie do życia? Czy wtedy stanę się powracającym na ziemię upiorem?

— Owszem, takie ryzyko istnieje. Taki właśnie człowiek staje się duchem, ani żywy, ani do końca umarły wraca na ziemię i straszy. Boi się żyć i boi się umierać. Można tak na zawsze pozostać w granicznej sferze.

— Czy ja teraz nie znajduję się w takiej właśnie sferze?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Ty posunąłeś się już dalej. Ale polegaj na nas! Uczynimy, co tylko można.
Nie upadaj na duchu! Rób, co chcesz, ale nie wolno ci się poddać!

I zniknęła.

Móri został rozpaczliwie sam.

Rozdział 3

Siedzieli i stali wokół jego martwego ciała, Nauczyciel, Duch Zgasłych Nadziei i Pustka. Nidhogga i Zwierzęcia nie było, podążyli za Tiril, by służyć jej moralnym wsparciem i dawać choć trochę poczucia bezpieczeństwa. Panie powietrza i wody poszły za Erlingiem i uratowały mu życie.

Wrócił Hraundrangi-Móri i zdał raport.

— On się znajduje w przedsionku śmierci — rzekł krótko.

— Teraz jest naszą sprawą by go stamtąd wydobyć.

Nauczyciel skinął głową.

— Żeby on tylko pamiętał, że musi stawiać opór. Żeby się nie dał wciągnąć w głąb.

Duch Zgasłych Nadziei powiedział w zamyśleniu:

— Masz rację. Najważniejsze, żeby się nie zorientował, gdzie jest wejście do tunelu.

— Tak, do tunelu wiodącego do Wielkiego Światła — potwierdziła Pustka. — Jeśli się o tym dowie, podejdzie blisko i pozwoli się wciągnąć. A wtedy dla nas będzie stracony.

— Sądzę, że takiego ryzyka nie ma — uspokajał ich Nauczyciel. — Móri należy do tej wielkiej groty, w której teraz się znajduje. Tam czekają również inni umarli czarnoksiężnicy w nadziei, że nadejdzie jakiś ratunek. Móri znalazł się tam, gdzie powinien, jeśli nam się nie uda. . .

Umilkł. Wszyscy wiedzieli, że nadzieja jest bardzo wątła, ale nie odważyli się wypowiadać tego głośno. Równie wątłą nadzieję mieli też inni czarnoksiężnicy, tacy jak Nauczyciel czy Hraundrangi-Móri. Cóż, to była wspólna nadzieja ich wszystkich, Nidhogga i Zwierzęcia, Ducha Utraconych Nadziei, zwanego inaczej Duchem Zgasłych Nadziei, i Pustki. Wszyscy oni należeli do tej sfery, w której teraz znajdował się Móri, ale dano im trochę czasu, korzystali z chwili odpoczynku i mieli teraz pomagać Móriemu, być jego przewodnikami. Jeśli go utracą, utracą też siebie i będą musieli wrócić do strasznej groty.

A wtedy ich własna nikła nadzieja na ratunek również zgaśnie. Dla nich wszystkich będzie wówczas na wszystko za późno. I wtedy też nie będzie już potrzebny Dolg. Gdyby tak się stało, Dolg żyłby na próżno.

Po chwili wróciła do nich bardzo urodziwa opiekunka Móriego. Wysoka postać o długich jasnych włosach, jak zawsze ubrana w białą szatę z jedwabnej surówki. Na jej widok twarze wszystkich mimo woli się rozjaśniły.

— No i jak się sprawy mają? — zapytał Nauczyciel.

— Jest gotów podjąć walkę.

— W takim razie my podejmiemy nasze starania.

Na początek zajęli się ranami Móriego. Zaczynali od wewnątrz. Odmawiali długie modlitwy, błogosławieństwa i zaklęcia nad ciałem, wykonywali konieczne rytuały i patrzyli z ulgą, że rany przestają broczyć, a krew Powoli krzepnie, widzieli, jak brzegi ran zbliżają się do siebie i jak goją się okaleczenia wewnętrzne, aż zostały już tylko dwa ślady pokryte grubymi strupami: pod żebrami i na plecach.

— No, zrobione — oświadczył Nauczyciel, prostując się. — Ale to był najmniejszy problem. Teraz musimy użyć znacznie silniejszych środków dla ratowania Móriego!

I tak oto rozpoczęła się ich walka o Móriego. Miała ona trwać przez wiele dni. I wielokrotnie mieli czuć się całkowicie bezradni. Jedyne, na co jeszcze mogli liczyć, to że Móri sam rozumie, co dla niego dobre. I na jedno budzące zdumienie zdanie wypowiedziane przez Cienia, że pewien mały chłopiec, dwunastoletni syn Móriego, może dokonać cudu.

Żadne z nich jednak nie wiedziało, co Cień miał na myśli. Nie wiedzieli nawet, skąd się ten Cień wziął ani kim w rzeczywistości jest.

Otrzymali tylko od niego surowe zalecenie, by starali się utrzymać Móriego „przy życiu”, dopóki mały Dolg nie odbędzie swojej pełnej niebezpieczeństw wędrówki po coś, co uratuje jego ojca.

„Utrzymywać Móriego przy życiu?” Ale przecież on nie żyje! Ich trudne zadanie polegało na tym, by nie pozwolić Móriemu opuścić przedśionka śmierci.

Tylko jak mają tego dokonać?

Móri czuł się jak dziecko, które zabłądziło w ciemnym lesie.

Tiril, myślał z rozpaczą. Gdzie ty się teraz podziewasz? We władzy kardynała, czy raczej Zakonu Świętego Słońca? I na pewno potrzebujesz mojego wsparcia i opieki.

A ja tkwię tutaj i sam bym bardzo potrzebował twojej miłości i niezłomnej wiary.

Cóż myśmy zrobili? I jeszcze wciągnęliśmy Erlinga w nieszczęście.

I nasze dzieci, a także wspaniałą babcię Theresę. Będą nas szukać, tęsknić za nami, a nikt im niczego nie wyjaśni.

Wszystkie nasze ślady zostały przecież starannie zatarte. Nikt nie wie, że pojechaliśmy badać ruiny zamku Graben.

Moja wina, to wszystko moja wina! To ja powinienem was przekonać, że trzeba zawrócić, odwieść was od zamiaru przeszukiwania tego potwornego zamczy-ska.

Te rozmyślenia nic mu jednak nie pomogły.

Wiatr jęknął znowu przeciągle i złowieszczo.

Móri zaczął się powoli orientować w swoim położeniu. To nie była żadna rozpadlina, nie, znajdował się w tej samej grocie, po której niegdyś wędrował wraz z Nauczycielem. A może to Nidhogg był jeszcze wtedy przewodnikiem? Obaj towarzyszyli mu przecież do wnętrza ziemi. Nidhogg pokazywał mu dokładnie, co się kryje pod skorupą ziemską i jak ród ludzki robi, co może, by unicestwić swoje środowisko.

Wędrowka z Nauczycielem była bardziej abstrakcyjna, podobnie jak teraz dotyczyła spraw duchowych.

Móri uniósł głowę i nasłuchiwał. Znajdował się niezupełnie w tym samym miejscu, co wtedy. Wtedy wędrowali pod pomieszczeniem, w którym czekali umarli czarnoksiężnicy i inne odrzucone dusze, słyszeli ich mroczne śpiewy ponad sobą.

Teraz głos chóru zdawał się być dalszy. Jakby gdzieś na krańcach tego, co Móri nazywał rozpadliną. To znaczy groty. Rozpadlina, nad którą znajduje się sklepienie, to grot.

Móri nie mógł zrozumieć jakim sposobem znalazł się akurat w tym miejscu, gdzie teraz stał.

Nie pojmował tego, dopóki nie wsłuchał się uważniej w zawodzący głos wiatru.

Wyglądało na to, że centrum tego podziemnego sztormu znajdowało się w przeciwnym kierunku do chóru umarłych czarnoksiężników. I Móri, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje, ciągnięty był przez jakąś siłę właśnie ku centrum sztormu.

Jeśli myślał o sobie, że stoi, to była to przerośnia. Stopy nie dotykały żadnego podłoża. Był pozbawiony fizycznej substancji, bo przecież jego ciało spoczywało w lesie niedaleko zamku Graben. Nie potrafił dokładnie określić swojego stanu. Wiedział tylko, że się tu znajduje. Duchowo rzeczywiście był w tym miejscu. Fizycznie znajdował się gdzie indziej. Miał wrażenie, że śni. Tylko jakoś bardzo wyraźnie.

Nagle drgnął. W niebieskoczarnej ciemności wyczuwał jakiś ruch... czegoś, czego tu jeszcze przed chwilą nie było.

Gdzieś w pobliżu centrum sztormu. Co to jest? Coś. Nie takie jak ten cień przypominający wielkiego ptaka, który przeleciał niedawno koło jego głowy. A może to jednak to samo? Skupił się, by lepiej widzieć.

Tamto przysunęło się bliżej. Powolnym, eleganckim, niemal płynnym krokiem, jak istota, która nic nie waży, posuwicie zbliżała się do niego duża, ciemna

postać. Leciutka jak cudowne zjawisko.

Dziwna zjawa stawała się coraz większa, górowała nad Mórim.

— Chodź — rzekła w końcu przyjaźnie. — Podążaj za mną!

Jedno wielkie skrzydło opadło nieco i otoczyło delikatnie Móriego.

Zdziwił się bardzo słysząc, że głos jest kobiecy. Oczekiwał... No, czego właściwie oczekiwał?

Niczego.

Ciepła troskliwość tej istoty sprawiała mu przyjemność. To anioł, myślał. Tutaj jest tak ciemno, że ona wydaje się czarna, ale w gruncie rzeczy jest biała i życzy mi jak najlepiej. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, postąpił za nią kilka kroków. Odczuł, że ona jest z tego zadowolona.

Teraz widział już centrum sztormu. Przed chwilą pięknej postaci jeszcze nie było. Skąd się w takim razie wzięła?

Móri przystanął.

— Kim ty jesteś?

— Wysłanniczką mego pana.

A zatem anioł. Wysłannik Pana.

— Ty nie możesz tutaj zostać, Móri z islandzkiego rodu czarnoksiężników — powiedziała jego przewodniczka łagodnie. — Tutaj jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie. Chyba nie chcesz być jednym z nich?

— Nie — odparł całkiem pozbawiony siły woli. — W istocie nie chcę.

— Ja mogłabym cię stąd zabrać.

— Dokąd?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Móri coś zobaczył. I zrozumiał, skąd ona przyszła. Wyjący wiatr szedł od dołu. Byli teraz tak blisko, że widział w dnie groty ziejącą jamę.

„Musisz walczyć, Móri” — powiedział jego duch opiekuńczy. — „W przeciwnym razie przepadniesz w najgłębszych otchłaniach śmierci, a wtedy będziesz dla nas stracony. A my chcemy cię przywrócić do życia ziemskiego”.

Odruchowo uskokzył w tył. Ta istota nie mogła być aniołem wysłanym z niebios.

— Dziękuję za waszą życzliwość, pani — rzekł uprzejmie. — Ale ja, niestety, nie mogę za wami iść. Jeszcze nie teraz.

— Nie możesz tu przecież zostać — powiedziała urażona. — Wielka gromada umarłych czarnoksiężników uwięzi cię tutaj na długi czas.

Chóralny śpiew wzmógł się niemal do krzyku.

Móri był wzburzony i dezorientowany. Anioł Śmierci z pewnością ma rację i z pewnością życzy mu dobrze. Mimo wszystko musiał trwać przy swoim.

— Wy, pani, jesteście Aniołem Śmierci, prawda? — zapytał, by zyskać na czasie.

— Proszę bardzo, możesz mnie tak nazywać. Ale to określenie jest zbyt ograniczone. Ja jestem czymś więcej.

Móri mówił z zapałem:

— Żywię dla was wielki szacunek, pani, i uważam, że powinienem wam wytłumaczyć...

W wielkim pośpiechu zaczął objaśniać swoją sytuację.

— Ja wiem o tym wszystkim bardzo dobrze — przerwała mu z uśmiechem. — Wiem też o walce twoich towarzyszy, by utrzymać cię przy życiu. Ale ich wysiłki skazane są na niepowodzenie. Jak sobie to wyobrażasz? Kto zdoła uratować ciebie, skoro już umarłeś? Chodźmy, tutaj wystawiasz się na działanie złych mocy, a to całkiem niepotrzebne.

— Ach, od dawna walczyłem przeciw złym mocom w świecie żywych — odparł Móri. — Więc nie jestem pod tym względem nowicjuszem.

— O tym wiemy również.

— Ale co miałbym do roboty w najgłębszych grotach śmierci? Nie wydaje mi się to wcale dużo lepsze miejsce niż to tutaj. Mógłbym tam pewnie odpoczywać, ale po co mi taki długi sen? W ten sposób nie pomogę moim ukochanym, których zostawiłem na ziemi.

— Taki długi sen? To są ludzkie przesady i najzupełniej, mylne wyobrażenie śmierci. Wszystko jest błędne, sąd ostateczny i temu podobne opowieści. Wymysły mające niedowiarków zapędzać do kościoła. I dawać władzę nad innymi. Więc ty nie wiesz, że tam w dole również znajduje się tunel wiodący do Wielkiego Światła?

Móri stal bez ruchu.

Straszna tęsknota za Wielkim Światłem przenikała go aż do bólu, z trudem to wytrzymawał, łzy napłynęły mu do oczu.

W lesie niedaleko Graben towarzysze Móriego wyczuwali to bardzo wyraźnie.

— Nie, Móri, nie — szeptał Hraundrangi-Móri. — Nie zapominaj o swoich dzieciach! Pomyśl o Tiril! Pomyśl o ludzkości zagrożonej przez rycerzy Słońca! O, Dolg, pospiesz się, czas nagli! Gdzie jesteś, Dolg?

W ciemnej poświacie Móri przyglądał się kobiecie.

— Mówicie prawdę, pani?

— Anioł Śmierci zawsze mówi prawdę — odparła swoim pięknym głosem. — Anioł Śmierci nie ma, powodu kłamać.

— Nie, oczywiście — szepnął Móri udręczony. — Bo ja słyszałem, że wszyscy, bez wyjątku, dotrą kiedyś do światła, większość znajdzie się tam od razu po śmierci. Inni, tacy jak ja, muszą przejść dłuższą drogę.

— To racja. Właściwie to mógłbyś tu pozostać w tej grocie nawet przez połowę wieczności. Ale ty, Móri, zrobiłeś tyle dobrego dla swoich bliźnich. Dlatego przyszedłem, żeby ci pomóc. Zabrać cię stąd, zanim będzie za późno.

Móri mówił gorączkowo:

— Ja wiem, że proszę teraz o zbyt wiele, ale czy mógłbym dostać trochę czasu?

— Czarnoksiężnicy, którzy zresztą wcale nie są tutaj najgorsi, i wszyscy inni tylko czekają, żeby cię pochwycić.

Przejmujące do szpiku kości wycie narastało w powietrzu, a potem opadło niczym ponure westchnienie.

— Ale gdybyście mnie ochronili, pani?

— Miałeś rację, prosisz o zbyt wiele.

Móri myślał w popłochu. Tunel do światła. Do tego cudownego światła. Odałby wszystko za to, żeby się tam jeszcze znaleźć.

No, powiedzmy, niemal wszystko.

— Proszę mi wybaczyć śmiałość, to nieprzyzwoite z mojej strony — rzekł z rezygnacją. — Najchętniej natychmiast poszedłbym za panią do Wielkiego Światła. Ale nie mogę zawieść tych, którzy mi ufają.

— Jeśli tutaj zostaniesz, Móri, przemienisz się w upióra.

— Ja zrozumiałem. Zrozumiałem, że to wy, pani, wątpicie, to wy nie możecie wybrać między życiem a śmiercią, że trwacie w zawieszeniu.

— Tak to jest. Tych, którzy mają na ziemi jakieś nie załatwione sprawy, często w chwili śmierci ogarnia zwątpienie i potem nie mogą zaznać spokoju. Jak tamci. — Piękna pani wskazała w stronę wielkiego chóru czarnoksiężników. — Niektórzy z nich wracają na Ziemię.

— Wiem o tym, ale proszę mi powiedzieć... W tym wielkim cyklu życia... w tym kręgu... co się dzieje z samobójcami?

— Nic nie zyskują na przerwaniu własnymi rękami życia, które zostało im dane. Zmuszają się jedynie do tego, by jeszcze raz przeżywać swoje nieszczęścia. Wszystko, od czego chcą uciekać, otrzymują ponownie.

— A jeśli popełniają samobójstwo jeszcze raz? W tym nowym życiu?

— Nie czynią tego. Nikt nie popełnia samobójstwa dwa razy. Muszą podążać dalej.

— Macie, pani, na myśli... To znaczy, że nigdy już nie doznają chęci skończenia ze sobą?

— Tak właśnie jest.

Wiatr nadlatywał w porywach raz po raz, przynosząc ze sobą ponury śpiew oczekujących duchów przestępców i innych nieszczęśników. Nagłe Móri zaczął rozpoznawać pojedyncze słowa w ich pieśni. Mówiły o głębokiej tęsknocie, by powrócić do świata ludzi i by potem, po zakończeniu wędrówki, otoczyć ich mogło światło, cudowne, dające ukojenie światło.

Móri w najmniejszym stopniu nie miał ochoty stać się jednym z nich.

Mimo to zmuszał się, by trwać w tym miejscu ze względu na dobro swoich bliźnich. Musiał przecież wrócić na Ziemię. Powiedział Aniołowi Śmierci, że tylu ludzi na niego czeka i że tylu walczy o jego życie. Nie może więc ustąpić.

Anioł popatrzył na niego w ciemnościach. Móri ledwie go dostrzegął, ale każdym włókmem swego ciała czuł, że jego spojrzenie na nim spoczywa.

— Rozumiem cię, Móri, i szanuję twoje pragnienia. Zakon Świętego Słońca jest bardzo niebezpieczny, bowiem kierują nim złe moce oraz ludzki egoizm. Nawet my nie znamy istoty tego zgromadzenia. Ja wiem, że ty i twoi przyjaciele podjęliście się zadania unieszkodliwienia złego Zakonu i że pomagali wam twoi towarzysze, którzy naprawdę są potężnymi istotami. Ale ty przekroczyłeś wszelkie możliwe granice, wiesz o tym, prawda? Jesteś martwy i nic nie jest w stanie przywrócić cię do życia.

— Owszem! Jeśli pozostanę w tym przedsionku śmierci, to wielki opiekun Dolga, Cień, obiecał towarzyszącym mi istotom, że odnajdzie coś, co mnie wskrzesi.

Anioł Śmierci przerwał mu niecierpliwie:

— My nie wiemy, kim jest Cień opiekujący się Dolgiem. Dla nas również on jest tylko cieniem. Ale rozumiem, że cię nie przekonam. Minęło kilka dni i nocy, gdyby stosować ludzką rachubę czasu. . .

— Już? — zdumiał się Móri zaskoczony.

— Tak. Tutaj czas płynie szybko — odpowiedział anioł z uśmiechem. — Ale dam ci go jeszcze trochę. Za kilka dni wrócę tu znowu. Jeśli wtedy jeszcze tu będziesz, to cię zabiorę ze sobą, zgoda?

— A jeśli moi przyjaciele odprowadzą mnie z powrotem na ziemię?

Anioł uśmiechnął się znowu.

— Nie dojdzie do tego. Nie może dojść. Ale jak chcesz. Jeśli zdołasz, to możesz stąd wyjść.

— A jeśli porwą mnie czarnoksiężnicy i tamci inni?

— W takim razie usłyszę twój głos w chórze, ale pomoc ci nie będę już mogła.

Móri głęboko wciągnął powietrze.

— No to jesteśmy umówieni.

Rozstali się w zgodzie. Anioł Śmierci odszedł w stronę centrum sztormu, po czym zsunął się w dół jak wielki czarny ptak o potężnych skrzydłach.

Zrobiło się okropnie pusto. Wiatr przynosił lodowaty chłód, a Móri czuł, że ten chłód przenika go boleśnie.

Dygotał i ze zgrozą wsłuchiwał się w ponury, grzmiący śpiew daleko pod sklepieniem grotu. Po chwili zdawało mu się, że śpiew się przybliży.

I jeszcze. A wtedy w ponurych głosach dała się słyszeć głęboka skarga.

Rozdział 4

Przez cały ten czas towarzysze Móriego nie dostrzegli w nim najmniejszego śladu życia. Kiedy rozmawiał z Aniołem Śmierci, oczy miał zamknięte, a jego wargi nawet nie drgnęły. Twarz w kolorze kości słoniowej była martwa i całkowicie nieruchoma.

I bardzo, bardzo piękna.

— Jaka to szkoda, że Tiril nie może go teraz zobaczyć — westchnął Nauczyciel cicho. — Że w ogóle nikt go nie może zobaczyć. Czegoś równie pięknego nie widziałem w całym moim życiu.

Hraundrangi-Móri skinął głową. W oczach starego czarnoksiężnika pojawiły się łzy. Ten, który tu leżał, był jego synem, jednym z najdoskonalszych stworzeń, jakie wydało ludzkie plemię. I był martwy. Został zamordowany przez pospolitych rzezimieszków, niegodnych nawet dotknąć jego buta.

Często tak w życiu bywa. Ci dobrzy, ci najszlachetniejsi, muszą umierać. Tylko dlatego, że na ich drodze staną ludzie źli, pozbawieni skrupułów.

Jakie to logiczne, a zarazem jakież bezsensowne.

Przewodnicy zadrżeli, nie z zimna, rzecz jasna, ale z lęku i przygnębienia. Rozglądali się po lesie, jakby oczekiwali, że pomoc nadejdzie już wkrótce. Wiedzieli jednak, że Dolg, jedyny, który mógł coś zrobić, znajduje się daleko od tego miejsca i nawet nie mieli pojęcia, gdzie. Cień prosił, by zaufali chłopcu. Obiecali mu to, lecz nie było im lekko.

Dwa duchy, Woda i Powietrze, powróciły ze złowieszczą nowiną o obudzonych wielkich mistrzach, którzy podążają krok w krok za Dolgiem.

Cień opowiadał o wyprawie Dolga pokrętnie i ostatecznie duchy nie dowiedziały się niczego.

Dni mijały.

Czekanie było straszną udręką.

— Móri w dalszym ciągu znajduje się w przedsionku śmierci — stwierdziła Pustka, która miała zdolność zaglądania w jego myśli.

— Bardzo dobrze — ucieszył się Nauczyciel.

— Ale w tej chwili jest sam. Przeciwwstawił się kuszącemu go Aniołowi Śmierci, nie poszedł za nim do Wielkiego Światła.

— Wytrzymaj, Móri, mój synu — prosił Hraundrangi-Móri cicho.

— Połączmy swe siły w intensywnej prośbie do niego, by czuwał — zaproponował Nauczyciel.

Ich błagania dotarły do Móriego. „Wytrzymaj, Móri” — prosili. — „Jeszcze chwilę. Nie poddawaj się!”

— Zdaje mi się, że nas usłyszał — stwierdziła Pustka.

Duch powietrza zsunął się z góry i dołączył do reszty. Był on ich szpiegiem w realnym świecie, podobnie jak Pustka śledziła wydarzenia w świecie, w którym teraz znajdował się Móri.

Oczy pani powietrza lśniły.

— Dolg powrócił do Theresenhof — oznajmiła radośnie. — Mam wrażenie, że wykonał to swoje dziwne zadanie, bo teraz obaj z Erlingiem pędzą tutaj co koń wyskoczy.

— Dzięki — wyszeptał Hraundrangi-Móri, a inni mamrotali coś w tym samym stylu.

Wciąż czuwali, ale teraz z nową nadzieją.

Móri nie mógł dzielić z nimi optymizmu, bo on o niczym nie wiedział. Poza tym przeżywał udrękę. Nie pozwolono mu być długo samotnym.

Przez cały czas starał się przebywać mniej więcej pośrodku podłużnej groty. Nie chciał się za bardzo zbliżyć do otworu prowadzącego do największych głębin śmierci, gdzie nieustannie wył wiatr, nie chciał też być blisko czarnoksiężników w przeciwnym końcu pomieszczenia.

Pozostawało mu tylko jedno miejsce. Głęboka nisza w bocznej części groty. Przedtem jakoś nie zwrócił na nią uwagi, ale teraz oczy przywykły do ciemności i widział lepiej.

W głębi, w niebieskoszarej, mrocznej poświacie zobaczył w jednej ścianie czarny otwór. Jak głęboki mógł być, Móri nie miał najmniejszego pojęcia.

Co by się stało, gdybym tam wszedł? — pomyślał. Może wtedy bym się uratował?

Prośby towarzyszy docierały do jego świadomości. Otrzymał też wiadomość, że Erling przeżył upadek, wyszedł z niego cało.

Od jakiegoś czasu wiedział również, że Tiril żyje, że została uwięziona i jest w drodze na zachód, ale są przy niej Nidhogg i Zwierzę. Był teraz o nią trochę spokojniejszy.

W końcu przekazano mu informację, że Dolg z Erlingiem opuścili Theresenhof i zacierają do zamku Graben w Szwajcarii.

To najlepsza wiadomość, jaką otrzymał od Pustki. Zaczynał teraz przeczuwać, że jego walka być może dobiega końca. Dotychczas trwał w przedśionku śmierci z uporem, ale bez nadziei.

Nowe wieści dodały mu sił.
Móri wyteżył wzrok. Potworny strach przeniknął go lodowatym dreszczem.
Coś się stało w pobliżu umarłych czarnoksiężników i całej podobnej do nich reszty.

Instynktownie cofnął się o krok w stronę tajemniczego, ciemnego otworu.

Dostrzegął, że coś zsuwa się ze ściany pod sklepieniem groty, tam gdzie znajdował się ponury chór niespokojnych i zabłąkanych dusz. Dusz czarnoksiężników, morderców, zdrajców i innych nędzników, które muszą czekać, zanim zostaną włączone do nowego kręgu ludzkiego życia, po którego zakończeniu będą mogli nareszcie osiągnąć odpoczynek w cudownym świetle.

Coś jakby spływało po szorstkich skalnych ścianach.

Minęła dłuższa chwila, zanim Móri uświadomił sobie, że to jakieś istoty, które najwyraźniej mają zamiar go pojmać.

Zaczął się cofać w stronę ciemnego otworu, ale drgnął, gdy za nim rozległy się jakieś głosy.

— Chodź do nas, Móri! Tu będziesz bezpieczny.

Odwrócił się. Stała tam nieziemsko piękna kobieta, całkiem naga, z rozpuszczonymi włosami, sięgającymi do połowy uda, a nieco dalej mignęło mu jeszcze kilka podobnych postaci.

Ratunek? Czyż to możliwe? Czy rzeczywiście znajdują się tutaj pomocnicy? Ale ten przyjazny, troskliwy głos. . .

Mimo to było coś w tej kobiecie, co budziło jego wątpliwości. Nigdy nie miał nic przeciwko Aniołowi Śmierci. Anioł był przyjazny i szczerzy i pragnął jego dobra.

Ale ta tutaj?

Taka piękna, miła i godna pożądania. Z tym słodkim uśmiechem.

A mimo to. . .

Żeby tylko mógł lepiej widzieć! Było coś w jej oczach. . .

Wyciągnęła rękę.

— Chodź! Pospiesz się, bo jak nie, to ci tam zrobią krzywdę.

Miała rację teraz bowiem te paskudne istoty pełzały wszędzie po ścianach i po dnie, najwyraźniej mając tylko jeden cel: pojmać Móriego.

Nie było wyboru. Ujął dłoń kobiety i ruszył za nią.

— Nie, Móri, nie!

To Pustka go przestrzegła, w tym koszmarnym śnie, w jakim trwał, umiała dotrzeć do jego myśli.

— Ale. . . — chciał protestować.

— Dlaczego uważasz, że ona należy do przedśmionka śmierci? Uciekaj od niej!

Ale było za późno. Kobieta wciągnęła go w mrok i nagle opasała mnóstwem ramion, jakby jakiś wielonożny stwór otoczył go swoimi kończynami. Móriemu sprawiało to przyjemność. Zorientował się teraz, że to nie jest istota ludzka,

w ogóle już w niczym nie przypominała tamtej kobiety z przedśionka, była po prostu symbolem, personifikacją erotyzmu, samą zmysłowością.

Czuł jej ciało przy swoim, jej nieukożone pożądanie, które w nim także budziło podniecenie, choć bardzo tego nie chciał. Ale jak się oprzeć takiemu zwierzęcemu instynktowi? Bo przecież tak właśnie należało to określić, nie inaczej.

Móri nigdy nie zdradził Tiril, ale to tutaj nie należało przecież do rzeczywistości, wszystko odbywało się tak jak w przesyconym erotyzmem śnie w czasach chłopięcych, i dla Tiril w ogóle nie było miejsca w jego pamięci.

Podeszły do niego inne postaci kobiece, wzdychały i pojękiwały z cicha, ocierały się o niego, próbowały odepchnąć od niego tę pierwszą, ale ona je odtrącała. Móri należał do niej, jej ręce błędziły po jego ciele.

— Móri! — wołała Pustka z oddali, starając się wdrzeć w jego myśli. — Uwolnij się! Czy ty nie rozumiesz, że one cię pochwycają tak jak innych czarno-księżników? Naprawdę z nimi nic innego cię nie czeka!

Móri był oszołomiony podniecającą bliskością pięknej kobiety, marzył, by poczuć pod dłonią jej delikatną skórę, był to przecież tylko sen, a we śnie człowiek może sobie pozwolić na wszystko, on...

— Móri, czy Dolg zrobił to wszystko na próżno?

Dolg? Kto to jest Dolg?

A głos, który woła, do kogo należy? Do Pustki? Co to jest Pustka? Nic, po prostu nie powinien słuchać.

Dolg?

Jak płomienna błyskawica świadomość, kim jest Dolg, przeniknęła mózg Móriego. Zrozumiał, że musi działać bardzo szybko. Jeśli ona, Pożądanie, ma ponieść porażkę, musi ją natychmiast odepchnąć z całych sił. Szarpnął się gwałtownie w wybuchu złości skierowanym głównie przeciwko sobie samemu, po czym zaczął uciekać jak najdalej od otworu prowadzącego do drugiej groty. Wściekły, zrozpaczony, upokorzony, dotknięty, a przede wszystkim zawstydzony. Zawstydzony ponad wszelkie granice, że tak mało brakowało, a byłby się poddał.

Nigdy więcej nie chciał się tam znaleźć, to bardzo niebezpieczne miejsce, została tam narażona na szwank jego duma, a ponadto mógł zaprzepaścić możliwość wyrwania się kiedykolwiek z pułapki, z tego przedśionka śmierci. Jedyna rada, jaką otrzymał, to czekać i starać się nie poddać. I nawet tego nie potrafił dokonać. W każdym razie tak mało brakowało...

Usiadł na kamiennej podłodze pośrodku groty, skulił się, ramionami oplótł kolana, pochylił głowę.

— Bardzo dobrze, Móri — w jego głowie dała się słyszeć pochwała wypowiedziana przez Pustkę. — Okazałeś się silniejszy, niż myślałam.

— To było Pożądanie, prawda? — zapytał, jakby szukając pociechy.

— No, w każdym razie to, co ona wywoływała w twoich zmysłach, można tak nazwać. Zwłaszcza że ona bardzo chce wierzyć, iż nie można się jej oprzeć.

Poza tym trzeba ci wiedzieć, że to wiedźma, całkiem słusznie skazana na ziemi za czary. A zła czarownica potrzebuje dużo więcej czasu niż inni, by dostać się do światła.

Móri roześmiał się niepewnie.

— Więc tutaj też istnieje strona kobieca i strona męska, jak w kościele?

Usłyszał, że Pustka chichocze cicho.

— Możliwe.

— To dzięki Tiril, prawda? To moja miłość do niej sprawiła, że udało mi się pokonać tę kobietę, czyż nie?

— Bez wątpienia bardzo ci to pomogło. Nigdy przecież jej nie zdradziłeś, a to niezwykle piękna sprawa, zwłaszcza gdy małżeństwo trwa tak długo jak wasze. Ale bezpośrednią przyczyną twego buntu była myśl o Dolgu, twoim dzielnym synu.

— Tak, Dolg — Móri uśmiechnął się sam do siebie. — To naprawdę wspaniały chłopak!

— I dokonał wielkiego czynu w czasie, kiedy leżałeś jak martwy w lesie pod skałą. Ale teraz nie powinieneś tak siedzieć tu i rozpamiętywać, człowieku! Rozejrzyj no się dookoła!

Słowa Pustki sprawiły, że Móri uniósł głowę. I nagle podskoczył, jakby go coś ugryzło.

Głośno wciągał powietrze. Czyż naprawdę nie mógł bardziej uważać?

Teraz było z nim naprawdę źle!

Rozdział 5

Wierni towarzysze Móriego wciąż trwali na posterunku, siedzieli i stali wokół jego martwego ciała. Bali się, naturalnie, że on nie zdoła wyrwać się z przed-sionka, bo gdyby przekroczył ostatecznie granicę śmierci i Wielkiego Światła, to oni staną się istotami bezpańskimi! W każdym razie niektórzy z nich. Kilkoro musiałyby w takim razie wrócić do smutnej egzystencji umarłych czarnoksiężników, inni pozostaliby całkowicie bez zajęcia nie przynależni do nikogo. To chyba najbardziej ponura perspektywa.

— Ktoś nadchodzi — powiedział Nauczyciel cicho.

To chłopci z pobliskiej wioski. Wlekli się niechętnie pod górę w stronę ruin zamku Graben, by zobaczyć, co się stało z trojgiem właścicieli pozostawionych we wsi koni. Zatrzymali się na skalnym uskoku i rozważali sytuację. Duchy słyszały, że oglądając ślady rozmawiali o wydarzeniach tego krytycznego dnia, po chwili gromadka poszła dalej.

Towarzysze Móriego stali się jeszcze bardziej niespokojni.

Nie trwało długo, a gromadka chłopów wróciła i znowu zatrzymała się na skale. Duchy słyszały, że doszli do wniosku, iż ktoś musiał tu zostać zrzucony w przepaść. I że kobieta musiała zostać uprowadzona. Potem chłopci z ociąganiem podeszli do skraju lasu, gdzie leżał Móri.

Któryś z nich, chyba jakiś młody chłopak, twierdził, że w tym miejscu straszy. Duchy mamrotały ze złością: „Tak, tak!”

Potem wyteńczyły wszystkie swoje siły i zmobilizowały wszelkie umiejętności, by żaden z chłopów nie odważył się tknąć stosu gałęzi przykrywających ciało Móriego.

Ludzie ze wsi odczuwali opór, ale pojęcia nie mieli, o co chodzi.

Zlekceważyli to.

Wkrótce odnaleźli jednak ciało Móriego i wtedy padły pierwsze straszne słowa, że należałoby urządzić mu przyzwoity pogrzeb. Duchy były przerażone i starały się jakoś odstraszyć ludzi. Już nawet zdecydowały, że się im ukazą. Tamci mieli jednak dobre intencje, nie chcieli zrobić nic złego, ostatecznie więc duchy zrezygnowały z tak drastycznych metod.

Kiedy jednak chłopci sprowadzili proboszcza, a ten wypowiedział się pogar-

dliwie o siłach natury, że ich w ogóle nie ma, a jeśli są, to należą do władcy ciemności, zdecydowały się trochę postraszyć. Pani powietrza, która siedziała na drzewie, zaczęła zrzucać na dół szyszki i nieco mniej przyjemne rzeczy również, celując w głowę proboszcza.

Skończyło się na tym, że chłopci postanowili wezwać prefekta, bo przecież w górach popełniono morderstwo, tym więc sposobem duchy i Móri uzyskali odroczenie.

W dwa dni później ludzie ze wsi wrócili.

Mieli ze sobą prefekta.

Ten wydał ostatecznie pozwolenie, by pochować Móriego na małym cmentarzu koło miejscowego kościoła.

Och, Dolg, Dolg, pospiesz się, prosiły duchy bliskie rozpaczy.

Teraz znalazły się nie tylko w obliczu niebezpieczeństwa, że Móri nie zdoła się wyrwać z przedsiönka śmierci. Teraz narastała groźba, że ciało Móriego zostanie złożone w ziemi i wszystkie starania okażą się daremne.

Otrzymali jednak kolejną wiadomość od ducha powietrza, który krążył nieustannie, by dowiedzieć się, jak idzie Dolgowi i Erlingowi.

Pani powietrza wróciła ze swojej wyprawy przestraszona i wstrząśnięta.

— Zły kardynał rzucił czary! On się przecież bardzo dobrze zna na tajemnych sztukach.

— Czy to coś poważnego?

— Jeszcze nie bardzo. Wygląda na to, że wysłał zwykłą muchę przesyconą trucizną, by otruła Dolga, ale chłopiec znakomicie sobie z tym poradził. Dzięki swej wielkiej wrażliwości na los zwierząt.

— Bardzo dobrze — rzekł Nauczyciel.

— Następnie kardynał wysłał puka, żeby mu coś przyniósł, ale jeszcze nie wiem, o co to chodziło, bo i ta sztuczka magiczna została unieszkodliwiona przez czujnego Nera i samego Dolga.

— No to świetnie — powiedział znowu Nauczyciel. — Ale dlaczego nadal jesteś taka niespokojna?

— Kardynał zrobił coś jeszcze, wyraźnie wyczuwam zagrożenie, ale nie mogę się dowiedzieć, co to.

— W takim razie miej oczy i uszy otwarte — polecił Nauczyciel stanowczo.

— Czy oni mają jeszcze daleko?

— Nie, już są bardzo blisko nas. Powinni tu przyjść przed wieczorem.

— No, mam nadzieję. Bo teraz już chłopci ze wsi idą zabrać ciało Móriego.

— To ja wracam do Erlinga i Dolga — oświadczyła pani powietrza i zniknęła.

Reszta próbowała wymyślić coś, by opóźnić pogrzeb, ale nic im nie przycho-

dziło do głowy.

Móri z przerażeniem rozpatrywał sytuację, w której się znalazł.

Kiedy próbował odepchnąć od siebie piękną kobietę i potem siedział skulony na dnie groty, chmara stworów spod kopuły podeszła do niego. Teraz otaczały go ciasnym kręgiem, a wcale nie wyglądały przyjemnie.

Co to za straszne monstra? Groteskowe, pełzające paskudztwa wiły się wokół niego, przybliżały się, prychały i znowu odskakiwały, po chwili gotowe do kolejnego ataku. To chyba nie są dawniejsi czarnoksiężnicy, myślał, te wszystkie nieludzkie paskudztwa, na które trudno patrzeć.

Czy w takim razie to grzesznicy?

Nie, dla Wielkiego Światła nie stanowi różnicy, czy ktoś jest grzesznikiem, czy tak zwanym świętym, ono ostatecznie przyjmuje wszystkich.

Więc może to zabłąkane dusze, które wypadły z cyklu życia i nie odnalazły drogi powrotnej? Co to duchy mówiły na ten temat? Złe siły, które próbują się wedrzeć do ludzkiego świata? By dostać się do cyklu życia i na koniec wejść też do Wielkiego Światła.

Móri nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bliski jest prawdy.

Z przerażeniem przyglądał się temu, co wiło się i czołgało po podłodze. Stwo-ry podchodziły i oddalały się, odpełzały w tył, nie spuszczając przy tym z niego wzroku, gotowe, by się rzucić, porwać go i wciągnąć w tłum nie znajdujących spokoju czarnoksiężników.

Ich płonące ślepie pod przypominającymi włosy grzywami śledziły każdy jego ruch, ostre zęby odsłaniały się z warczeniem.

Móri patrzył niemy, bezradny i bezsilny.

Wtedy do gromady okropnych postaci koło niego wdarło się kilku wysokich mężczyzn o surowych twarzach. Móriemu mignęła w ciemnym blasku biskupia mitra, a pod nią straszna, zacięta twarz.

Móri rozpoznawał to oblicze. Widział je kiedyś we wczesnej młodości na Islandii, w kościele w Holar.

Gottskalk Zły.

Czarnoksiężnik najwyższej rangi.

A poza tym członek Zakonu Świętego Słońca. Choć tylko zwyczajny rycerz, nigdy nie został wielkim mistrzem.

I nagle wokół pojawili się inni wielcy mistrzowie. A za ich plecami, w tej poczekalni, czy może należałoby powiedzieć: w pułapce, stało mnóstwo innych ludzi. Kim oni wszyscy byli za życia, Móri nie wiedział i zresztą wcale nie chciał wiedzieć.

Jego interesowali tylko czarnoksiężnicy.

Nagle jeden z nich się odezwał:

— Nie! Tego człowieka trzeba puścić wolno, także ze względu na nas samych. Ja go znam. To Móri, syn Helgi Jonsdottir. I również syn Hraundrangi-Móriego, który uciekł stąd razem z Wielkim.

Z Wielkim? On mówi o Nauczycielu, pomyślał Móri, patrząc na mówiącego.
O mój Boże! Toż to Gissur!

Czarnoksiężnik, który kiedyś, dawno, dawno temu, uratował Gudrun z Bagisa, grzebiąc w ziemi diakona z Myrka. Gissur, który wraz z Mórim i jego matką, Helgą, jechał konno przez Sprengisandur.

Jakże to było dawno! Ach, jak dawno temu!

W gromadzie znajdował się jeszcze jeden znajomy! Sira Eirikur z Vogsos, no tak, stary żartowniś śmiał się teraz wesoło do Móriego. On też go poznawał.

Dwaj ludzie o ostrych rysach wystąpili z gromady. Jeden starszy i jeden młodszy.

— Ty jesteś naszym krewniakiem, Móri — oznajmił starszy. — Bo my jesteśmy Jonssonowie z Kirkjuból.

Nie zdążył się z nimi przywitać, bo właśnie odezwał się biskup Gottskalk.

— Więc to ty jesteś Móri — rzekł zachrypłym głosem. — Czy ty wiesz, co zrobiłeś? Unicestwiłeś naszych współwięźniów. Starłeś z powierzchni ziemi czarnoksiężników z Tierstein, a także mnicha von Graben. Mag-Loftur zniknął na zawsze, ale to nie było twoje dzieło. Natomiast twój syn... Twój wyjątkowy, niezwykły syn Dolg unicestwił wielu z naszych sprzymierzeńców.

Czy Dolg coś takiego zrobił? — myślał Móri wstrząśnięty.

— Jego ekscelencja wielki mistrz Tomas de Torquemada przestał istnieć. Został unicestwiony. Na wieki! To samo odnosi się do czterech innych wielkich mistrzów, a wśród nich znamienitego Guilelmo Złego z Neapolu.

Teraz mieszają mu się czarnoksiężnicy z wielkimi mistrzami Zakonu Świętego Słońca, pomyślał Móri, który nadał zastanawiał się nad tym, co też mógł zrobić Dolg, żeby zlikwidować aż tylu wielkich mistrzów, a innych trzymać od siebie na odległość.

— Fe, a cóż to znowu? — prychnął Móri, odrzucając od siebie jakieś diabelstwo, które wbiło mu zęby w ramię.

— To są niskie energie — wyjaśnił Gissur. — Złe moce z innego wymiaru, które przedostały się do naszego dzięki nierozsądnym igraszkom młodych ze spirytyzmem. Takie niskie energie tylko czekają na to, by przedostać się do wymiaru ludzkiego. Te potworki zostały posadzone na czatach w krainie zimnych cieni i tu czekają, by wkroczyć się do cyklu wędrówek dusz.

— Więc chcą dotrzeć do Światła?

— Wszyscy tego chcą.

— Biedactwa — szepnął Móri ze współczuciem.

— Uważaj! — zaczęli krzyżeć czarnoksiężnicy. — Wystrzegaj się współczucia! Niektórzy z nich bardzo chętnie zamieniliby się z tobą miejscami! Nie dopuść

do powstania najmniejszej luki w kręgu życia!

A więc współczucie jest słabością? Móri powiedziała by raczej, że odwrotnie.

Z grupy wystąpił jakiś wysoki rangą czarnoksiężnik o indiańskich rysach.

— Móri z Islandii. Wiele przemawia za tym, byśmy puścili cię wolno.

— On jest niebezpieczny! — warknął Gottskalk. — Dajcie go bestiom!

— Móri może być nam pomocny — odparł Indianin. — Pamiętajcie, że on ma Wielkiego po swojej stronie. Idą za nim inne wielkie moce. Duchy natury i istoty symboliczne. Ale najważniejsze, że on jest ojcem Nowego.

— Jego syn, Dolg, unicestwił wielu dobrych mistrzów magii. — upierał się biskup Gottskalk.

— Wielu złych — poprawił Indianin. — Ale Dolg posiada moc, która pozwoli mu dotrzeć do celu.

Dolg, Dolg, mój ukochany, nieszczęśliwie urodzony synu, o czym oni mówią? Jaka moc? Do jakiego celu wasz dotrzeć? Czym ty się zajmowałeś, kiedy ja trwałem w krainie zimnych cieni?

Wszystko w tej grocie zdawało się nierzeczywiste i takie też w istocie było. To jakiś koszmarny sen o śmierci, w którym wiatr grzmi jak potężne organy, z westchnieniami i skargami pośród zimnych skał, a wszędzie w ciemnościach przed Mórim stoją potężne postaci dawno umarłych mężów, których nie potrafi do końca przeniknąć jego wzrok. I hordy złośliwych istot pełzających u jego stóp, plujących, prychających z niecierpliwością, gotowych w każdej chwili się na niego rzucić. Móri myślał o Aniele Śmierci, który może lada moment wrócić, by go zabrać do cudownego Wielkiego Światła, i nienawidził sam siebie tak bardzo, że mógłby zacząć płakać.

Jak on się stąd wydostanie?

— No to wypuście Móriego — zwrócili się Jonssonowie do pozostałych. — Pozwólcie mu iść do Wielkiego Światła!

— Ale ja nie chcę do światła! — zaprotestował Móri, choć jego serce tam właśnie się wyrывało. — Ja muszę wracać do ziemskiego życia! Tyle mam jeszcze do zrobienia. . .

Czarnoksiężnicy uśmiechali się łagodnie.

— Wrócić do ziemskiego życia? Jakim sposobem chciałbyś tego dokonać?

— Jeśli uda mi się wytrwać w przedśmionku śmierci, dopóki do mojego pozabawionego duszy ciała nie nadejdzie pomoc, to wszystko będzie dobrze. Towarzyszące mi duchy prosiły, bym tu czekał, bo gdzie indziej nie mogłyby mnie odnaleźć.

Umarli czarnoksiężnicy przyglądali mu się badawczo i wymieniali między sobą pełne zdumienia uwagi. Móri widział wśród nich wielu Afrykanów, prawdopodobnie czarowników-uzdrowicieli, a także dostojnych ludzi Wschodu, tybetańskich mnichów, derwiszów, szamanów. . . i magików o europejskich rysach.

Nieco za nimi tłoczyła się cała reszta, ci, którzy nie przynależeli do klanu czarnoksiężników. Stanowili oni zdecydowanie najliczniejszą grupę.

W końcu potężni czarownicy zwrócili się do Móriego. Przemówił ponownie Indianin:

— Widzimy, że naszą nadzieją jest twój syn. Uważamy też, że dla chłopca byłoby najlepiej, gdybyś mimo wszystko powrócił na Ziemię i pomógł mu, chociaż nie mamy pojęcia, jakim sposobem miałbyś wydostać się z tego świata. My sami nie wyrządzimy ci tutaj najmniejszej krzywdy, ale nad tymi potworkami nie mamy władzy. Trzymaj je od siebie z daleka, jak długo potrafisz! Jesteś podatny na ich ciosy, ponieważ nadal znajdujesz się w krainie zimnych cieni, a także ze względu na twoje dobre serce. Nie okazuj współczucia, nie zapominaj o ich pragnieniu, by się dostać do Wielkiego Światła! Ono nie jest dla istot z ich wymiaru, które nie mają nic wspólnego z planetą Ziemią. Życzymy ci wszystkiego najlepszego. Nie chcemy, byś doznał takiego losu jak nasz, obawiamy się jednak, że w końcu trafisz do naszego chóru.

— Ale ja nie uważam, że przestępstwa czarnoksiężników są specjalnie wielkie.

— Bo też i nie są. Ale my wszyscy, którzyśmy się tu znaleźli, próbowaliśmy zmieniać nienaruszalne prawa życia i śmierci. Innymi słowy, próbowaliśmy pokonać śmierć.

— W takim razie powinni się tu znajdować przede wszystkim lekarze! I uczeni.

— No i są — rzekł Indianin z uśmiechem. — Ale tylko ci, którzy lekceważą prawa natury.

Liczna gromada, która miała jeszcze długo oczekiwać w przedsionku śmierci, odwróciła się i po chwili zniknęła w ciemnościach.

Został tylko Móri z mrowiącym się wokół tłumem złych istot nie z tego świata.

Każda z nich pragnęła tylko jednego: ulokować się jakoś w jego duszy.

Móri wciągnął głęboko powietrze i przygotował się do długotrwałego oporu.

— Tiril — wyszeptał. — Twoja miłość pomogła mi już przedtem, kiedy było ze mną naprawdę źle. Ty potrzebujesz mnie i moich uczuć, daj mi więc jeszcze jedną możliwość, bym ci je okazał. Wiem, że i ty, i nasz syn, Dolg, znajdujecie się w wielkim niebezpieczeństwie. Pomóż mi wrócić do życia, bym mógł z wami być i walczyć po waszej stronie. Nie wolno dopuścić, by ta straszna sekta zwyciężyła.

Diabelskie małe istoty podpełzały coraz bliżej.

Z góry, z centrum huczącego sztormu zstępował Anioł Śmierci.

Rozdział 6

W domu w Theresenhof księżna Theresa chodziła tam i z powrotem, przystawała w zamyśleniu, po czym ruszała znowu w swoją nie mającą końca wędrówkę. Jej myśli i wola wykonywały tyle samo zwrotów, tam i z powrotem, ze zdenerwowania czuła mrowienie w palcach.

Dzieci bawiły się spokojnie, no, powiedzmy, że spokojnie, w pokoju obok. Theresa słyszała, jak Taran przeklina używając słów, które z pewnością słyszała od służących w stajni, ale akurat teraz nie miała ani czasu, ani siły, żeby zwrócić małej uwagę.

A gdybym tak wzięła dzieci i wyjechała im na spotkanie? — myślała po raz już chyba dziesiąty. Mały Dolg może potrzebować mojej pomocy...

Wiedziała jednak, że byłaby to wyprawa w nieznaną. Pojęcia przecież nie miała o drodze do Szwajcarii, a zwłaszcza do Graben. Poza tym... Spotkanie? Przecież oni chyba jeszcze nie dotarli do celu.

Och, nie, chyba muszą już być na miejscu. Ona sama przecież ma za sobą niebezpieczną i długą podróż.

Szczęśliwy Dolg! Theresa wiele by dała za to, by znaleźć się na jego miejscu, zazdrościła mu aż do bólu.

Nie do końca zdawała sobie sprawę ze swoich uczuć i myśli, po prostu przepływały przez jej głowę, ale gdyby je sobie wyraźnie uświadomiła, to pewnie przeraziłaby się nie na żarty.

Tylko że to takie irytujące być tym, który ciągle musi siedzieć w domu! Nie traktowała dzieci jak kuli u nogi, co to, to nie. Ale dlaczego wszyscy uważają za naturalne, że właśnie ona powinna się poświęcić? Starsza pani, babcia dzieciom. Kogoś takiego nie zabiera się w pełną trudów i niewygód podróż!

A przecież nie mieli pojęcia, czego ona dokonała! Dzięki jej wyprawie do Heiligenblut wiedzieli teraz, gdzie znajduje się Tiril.

Niestety, nikt nie wrócił jeszcze do domu i nie miała komu opowiadać o swoim triumfie.

A przy tym przecież Erling jest ledwie rok od niej młodszy, ale on może uczestniczyć w najbardziej podniecających i niebezpiecznych wyprawach. Tylko że Erling jest mężczyzną im wolno więcej!

To niesprawiedliwe!

Żeby tak móc być z nimi teraz... Nocować w nie znanych miejscach, być może w prymitywnych warunkach, może nawet pod gołym niebem. To nie miało by dla niej żadnego znaczenia, byle tylko Erling znajdował się obok. Wtedy ona mogłaby...

Gwałtowny rumieniec pokrył policzki księżnej. Co też jej chodzi po głowie?

Przystanęła na chwilę i zaraz znowu podjęła swoją wędrówkę. Oczywiście, że chciałyby razem z innymi ratować Móriego, naprawdę nie miała innych motywów.

Czy oni już nigdy nie wrócą? Co się z nimi stało?

W drzwiach stanęły bliźniaki.

— Babciu, czy ty zamierzasz wydeptać w podłodze głęboką ścieżkę? — zapytał Villemann. — Dlaczego tak chodzisz bez przerwy w kółko?

Zatrzymała się, ukucnęła przed dziećmi i ujęła je za ręce.

— Ja po prostu staram się robić dobrą minę do złej gry. Nie chcę was straszyć, ale sama nie umiem się pozbyć niepokoju. Dlaczego nie mamy żadnej wiadomości od Dolga i Erlinga? Czy odnaleźli waszego tatę? Czy zdołają go uratować?

Villemann zrobił bardzo poważną, „męską” minę, patrząc na swoją kompletnie bezradną babkę.

— Dolg ze wszystkim da sobie radę, babciu, przecież wiesz!

Dolg jest zaledwie dwunastoletnim chłopcem, chciała powiedzieć zmartwiona, ale przemilczała to. Wiedziała, że bliźniaki uwielbiają starszego brata.

— Chyba moglibyśmy wyjechać im naprzeciw — wtrąciła Taran błagalnie. — Wtedy będziemy też daleko od tych okropnych rzeczy na schodach werandy i w końcu coś będziemy robić. Chyba zwariuję od tego czekania.

— Ja też — mruknęła Theresa. — Ja też. Chodźcie, usiądziemy sobie i porozmawiamy.

Chętnie na to przystali. Wszyscy troje usiedli na pięknej, pokrytej niebieskim jedwabiem kanapie.

— Obicie pasuje do mojej różowej sukienki — zauważyła Taran, która w każdej sytuacji zachowywała świadomość swojej kobiecości.

Theresa objęła dzieci ramionami.

— Czy nie uważacie, że w tym trudnym czasie bardzo się wszyscy do siebie zbliżyliśmy? Wszyscy, nawet ci, których tu z nami nie ma.

— To prawda — potwierdził Villemann z powagą. — I ja też stałem się dużo silniejszy.

— A wujek Erling jest niemal jednym z nas — wtrąciła Taran.

Theresa była uszczęśliwiona, że może mówić o Erlingu, choć sama nie rozpoczynała tej rozmowy.

— Lubicie wujka Erlinga? — zapytała z przejęciem.

— Och, bardzo — westchnęła Taran. — Dał mi tę piękną broszkę.

— Tak, wuj Erling jest w porządku — oświadczył Villemann. — I jest o wiele silniejszy, niż można sądzić z pozoru. A poza tym zawsze się domyśla, kiedy człowiek chciałby coś dobrego.

— Tak, tak, ja wiem, że zakradacie się czasami obaj do kuchni, kiedy was nikt nie widzi — roześmiała się Theresa.

— Ja myślę, że wuj mógłby zamieszkać z nami na zawsze — oznajmiła nagle Taran.

Theresie ze szczęścia drżał głos.

— O tym on sam musi zdecydować — powiedziała. — Ale zawsze będzie tu mile widziany.

— To świetnie, że Dolg ma przy sobie wuja — rzekł Villemann. — Jest dzięki temu bezpieczniejszy. To znaczy, ja myślę... Dolg nie boi się żadnych duchów ani niczego takiego, ale gdyby tak gdzieś był wąż... albo rozbójnicy na drodze... albo niebezpieczni wojownicy, to co wtedy?

— Masz rację — potwierdziła Theresa, wdzięczna, że ma znowu okazję wypowiadać drogie imię. — Właśnie dlatego tak się cieszę, że Erling jest z Dolgiem.

Czy dzieci słyszą, że głos ma zmieniony z radości? Miała nadzieję, że nie.

— Babciu, ale przecież możemy pojechać, żeby ich spotkać po drodze — powtórzyła znowu Taran z uporem.

Theresa głęboko wciągnęła powietrze.

— Poczekamy do jutra — rzekła. — Jeśli do rana nie wrócą, to my wyruszymy, by ich szukać. Przecież mogą nas potrzebować.

— Ja wezmę ze sobą mój miecz! — zawołał Villemann.

— Ja też — powtórzyła za nim Taran. — Poproszę parobków, żeby mi dzisiaj wieczorem zrobili taki sam.

— Znakomicie, moje dzieci. — Księżna uśmiechnęła się ze smutkiem, ale w jej oczach pojawił się nowy blask. W końcu jutro zaczną nareszcie coś robić. Po wielu spędzonych w domu dniach, gdy beczynność działała na nerwy, będą mogli wyruszyć. Bez żadnych skrupułów Theresa postanowiła zabrać ze sobą dzieci. Z nią będą bezpieczniejsze niż w pobliżu tych okropnych tablic na schodach werandy.

Już miała się zabrać do przygotowań, kiedy nagle całkiem nieoczekiwanie zaczął padać grad. Kawałki lodu bębniły w dach, służące wybiegły na dziedziniec i do ogrodu, żeby zebrać suszącą się bieliznę i schować ogrodowe meble, dzieci pomknęły na górę pozamykać okna w swoich pokojach. Oboje pokrzykiwali radośnie.

Błyskawica przecięła niebo, a po chwili dał się słyszeć niedaleki grzmot.

— Teraz powinienem siedzieć wysoko na kościelnej wieży! — krzyczał Villemann.

— Nie powinieneś, mój kochany — zaprotestowała Theresa potrząsając głową ale nie mogła się powstrzymać od czułego uśmiechu.

Kiedy jednak wyjrzała przez okno na niebo nieoczekiwanie zasnuwane chmurami, kiedy usłyszała echo grzmotu zwielokrotnione przez niedalekie góry, zadrżała.

Tyłu moich bliskich błądzi gdzieś po nie znanych drogach, pomyślała. Kilku wiernych sług ze dworu. Nero, kochany, stary Nero. Mały Dolg. Erling...

Móri.

I najbardziej samotna z nich wszystkich, Tiril.

W tej chwili silna zazwyczaj Theresa bliska była załamania. Cieszyła się, że nikt jej nie widzi, jak pospiesznie idzie do swego pokoju, bo nie jest w stanie ukryć łez.

Święta Mario, Matko Boża, Królowo Niebieska! Bądź przy nich, oni są tacy samotni! Nie daj im pobłądzić w tej trudnej chwili!

Wiedziała, że Erling i Dolg znajdowali się zbyt daleko, żeby ich ta nagła burza mogła dotyczyć. Po prostu niepogoda uświadomiła jej, jakie trudy i niebezpieczeństwa muszą pokonywać jej bliscy.

I wciąż nie miała żadnej wiadomości, gdzie się znajdują, jak daleko zaszli. Jeśli w ogóle jeszcze żyją.

Theresa była silna ze względu na dzieci. Dla Tiril wyprawiała się do Heiligenblut na spotkanie dostojników Kościoła.

Teraz odczuwała dotkliwie, że jest słabą, drobną kobietą, która przez całe życie musiała radzić sobie sama. Przez to tak strasznie nieudane małżeństwo i później, aż do...

To, czego rozpaczliwie pragnęła i czego naprawę potrzebowała, to silny mężczyzna, na którym mogłaby polegać, który pomógłby jej rozwiązywać problemy. Móri był silnym mężczyzną, ale Móriego nie ma. Poza tym Móri wspiera Tiril, nie Therese.

A ona potrzebowała kogoś dla siebie.

Kogoś takiego jak Erling, na przykład...

Nie, nie wolno jej tak myśleć! Erling nie jest szlachcicem i dlatego pozostaje poza kręgiem ewentualnych kandydatów do ręki księżnej. A poza tym, czyż ktoś taki zajmowałby się starszą panią? On przecież mógłby wybierać wśród najpiękniejszych młodych dam.

Ale na przykład Aurora wyszła za mąż za wieśniaka!

Tylko że Aurora nie jest księżną. Nie jest też siostrą cesarza.

Odepchniętą siostrą, nie należy zapominać... W tym przypadku owo oficjalne odepchnięcie jest może nawet korzystne.

Drgnęła, kiedy usłyszała jakieś krzyki i śmiechy na dziedzińcu. Wyjrzała przez okno.

Nigdy w życiu nie wymyśliłaby czegoś takiego. Villemann i Taran ściągnęli obrus ze sznura z bielizną, biegali teraz rozpostarli go między sobą i łowili kulki lodu wciąż lecące z nieba. Kilka służących goniło ich desperacko, nie ze

względu na dzieci, tego Theresa była najzupełniej pewna. Chodziło o odzyskanie obrusa.

Mimo trawiącej ją rozpaczcy Theresa musiała się roześmiać. Słyszała o wielkiej radości życia, jaką w dzieciństwie przejawiała Tiril. Tiril, której później los tak okrutnie podciął skrzydła. I oto teraz tamta radość odrodziła się w dzieciach córki. W tych młodszych, bo w Dolgu nie. On odziedziczył powściągliwy temperament Móriego.

Ale tych dwoje... Theresa nie wiadomo który już raz obiecywała sobie, że nigdy nie pozwoli, by ich radość życia została zdławiona. Mimo że dzieci są niemal bezwstydnie samowolne.

Czy odziedziczyły też po Tiril wielką miłość do zwierząt i wszelkich żywych istot?

Owszem, to odziedziczyli wszyscy troje. Nikt nie może nie dostrzegać przywiązania Dolga do Nera i zresztą do zwierząt w ogóle.

A Theresa nie wiedziała jeszcze, że właśnie ta miłość do zwierząt dopiero co uratowała wnukowi życie w obozie w pobliżu zamku Graben. Nic nie wiedziała o magicznych sztuczkach kardynała ani o tym, że wysłał zatrutą muchę, by ugryzła chłopca. Dolg jednak uważał, że paskudne stworzenie wygląda bardzo ładnie, oczyścił je z trucizny i uwolnił. Księżna nie wiedziała też o tym, że wdzięczna mucha okrążyła dwukrotnie głowę chłopca.

Wiedziała jedynie, że Dolg z największą troskliwością odnosi się do najsłabszych stworzeń w świecie ludzi i zwierząt, i kochała tego swojego wnuczka o niepospolitym wyglądzie.

Dwóch parobków dopadło w końcu biegające po dziedzińcu dzieci. Obrus był uratowany, a służące bardziej teraz niż zgubą zajęły się parobkami. Dzieci przemoczone i szczęśliwe pospieszyły do domu, trzymając się za ręce. Miały za sobą cudowne przeżycie. Świat pełen jest takich właśnie wzruszeń dla wszystkich, którzy umieją dostrzec radość tam, gdzie inni widzą jedynie powód do irytacji.

I teraz te dzieci mają wyruszyć na spotkanie bardzo niebezpiecznych przygód.

Szczęśliwe dzieciństwo. Theresa uśmiechnęła się do siebie. Szczęśliwi ci, którzy umieją we wszystkim dostrzegać pozytywne strony, choć przeczuwają, że w głębi kryje się powaga. I nigdy o tym nie zapominają.

Dolg, Erling, ludzie ze dworu, gdzie wy się teraz podziewacie?

Móri... Przecież wiesz, że nie możesz nas opuścić, jak moglibyśmy żyć bez ciebie?

I ty, Tiril, moja ukochana córko, wytrzymaj jeszcze, dopóki do ciebie nie przyjdziemy. A przyjdziemy najszybciej, jak to będzie możliwe!

Rozdział 7

Na skale pod zamkiem Graben nadszedł nareszcie ten dzień, w którym Dolg i Erling wraz z towarzyszącymi im ludźmi dotarli do celu.

Duchy odetchnęły głęboko z wielką ulgą. O ile duchy mogą wzdychać... Ech, z pewnością mogą.

Ale czyż wy nie widzicie, że Móriego nie ma, myślały gorączkowo. Ludzie ze wsi zabrali jego piękne ciało, by sprawić mu godny pogrzeb.

Czas nagli, nagli potwornie, spieszcie się!

Tylko Nero i Dolg wyczuwali, że coś się stało. Pies węszył nieustannie, spoglądał w dół, w stronę wsi, i warczał. Dolg czuł obecność niewidzialnych w pobliżu i słyszał w głowie coś jakby szept, który uświadamiał mu, że czas ucieka, że już go właściwie nie ma, ale jego „duchowe siły” nie były na razie w stanie pojąć, o co dokładnie chodzi.

Niektórzy z towarzyszy Móriego schodzili już wielokrotnie na dół do wsi, by próbować powstrzymać pogrzeb. Kilkoro z nich wróciło, by przekazać innym, że Dolg nadchodzi i oni chcą wskazać mu właściwą drogę.

Na miejscu, tam gdzie Móri, Tiril i Erling zostali napadnięci, czekali Duch Zgasłych Nadziei i pani powietrza. Dostrzegali wielkie napięcie w białej twarzy chłopca i to, że nieustannie dotyka płóciennego woreczka, który niesie. Słysze-li też, że raz po raz powtarza prośbę: „Spraw, by tata jeszcze żył! Nie daj mu pogrążyć się w głębokich grotach śmierci, pozwól nam przyjść na czas!”

Duchy widziały, że Erling pokazuje miejsce, w którym sam został strącony ze skały do otchłani, i miejsce, w którym uprowadzono Tiril, oraz polankę, gdzie padł Móri. Wszyscy przybyli ludzie poszli po śladach, jakie zostawiło ciało Móriego, ciągniętego w stronę lasu, ale pies, Nero, wyprzedzał ich o wiele metrów.

Dobiegł do stosu gałęzi i wydał z siebie żalosne, przeciągłe skomlenie. Podniósł głowę, wyciągnął szyję i długo wył ku niebu.

Mężczyźni i chłopiec dyskutowali. Widzieli przecież, że Móri musiał leżeć w tym miejscu na ziemi, i widzieli też, że go tu nie ma.

No, nareszcie, spoglądali jeden na drugiego i w końcu duchy, które przez cały czas starały się wprowadzić do ich mózgow informacje o tym, co się stało, usłyszały z wielką ulgą, jak Dolg powiedział:

— Pogrzeb! Przecież w tej małej wiosce trwa pogrzeb!

I pobiegli wszyscy jak szaleni z powrotem do wsi.

Dzięki, o, dzięki! Na koniec do nich dotarło!

Duch Zgasłych Nadziei i pani powietrza jako ostatni opuścili skałę niedaleko zamku Graben. Nikt, ani ludzie, ani duchy, nie pragnął tu nigdy więcej powrócić.

Żeby tylko nie było za późno! Chłopi ze wsi z pewnością nie od razu odstąpią od zamiaru pochowania człowieka tak dawno już zamkniętego w trumnie.

Ceremonia żałobna w kościele dobiegła końca. Spotkało się na niej wielu ludzi, szczerze mówiąc większość mieszkańców wsi. Chętnie idzie się na pogrzeb, kiedy człowiek nie nosi żałoby po najbliższych. Lubi się przeżyć kilka uroczystych chwil w powszednim dniu, można spotkać znajomych, a po nabożeństwie porozmawiać. I proboszcz pewnie zauważy, jakich ma pobożnych parafian. Jaką wykazują troskę o spokój duszy nieszczęsnego przybysza z dalekich stron. Bardzo piękne świadectwo bojaźni Bożej.

Ludzie stali na cmentarzu przed kościołem. Prosta trumna — nie należy przesadzać, mimo wszystko — wciąż jeszcze nie została spuszczonej do ziemi. Ksiądz odczytywał ostatnie modlitwy.

Wśród zebranych był Andreas. Jako najgodniejszy obywatel tej miejscowości, a poza tym ktoś, kto zorganizował to wszystko, zajmował miejsce najbliżej trumny. Dwaj chłopci, jedyni, którzy rozmawiali z trojgiem nieznanym, trzymali się tuż przy nim. Nieco dalej stał chłopak Trudy, sama Truda zresztą także. Przez ciekawość wyciągała szyję w gromadzie innych kobiet. Powiadano, że zmarły był niemal nieprzyzwoicie urodziwy i że nie było po nim wcale widać, iż tak długo leżał pod tymi gałęziami, w ogóle żadnych oznak śmierci, tyle tylko, że trwał bez ruchu, nie oddychał i serce nie biło. Poza tym wyglądał jak żywy.

Truda i wiele innych kobiet chętnie by to zobaczyło. Ci, którzy z nim rozmawiali, powiadają, że miał takie dziwne oczy. Było w nim coś czarodziejskiego, magicznego i był wprost grzesznie piękny.

Ale przecież felczer, którego wzywano, oświadczył stanowczo, że człowiek nie żyje, a i prefekt szperał po lesie w pobliżu miejsca, gdzie go znaleziono, ale nie doszedł do żadnych innych, wniosków niż przedtem chłopci, że jeden z obcych został zepchnięty w otchłań i tam zginął, że kobietę uprowadzili źli ludzie, którzy pojawili się za trójką przybyszów, a tego tutaj przebili mieczem, od czego umarł.

Ci, którzy rozmawiali ze złoczyńcami, twierdzą, iż mieli oni obcy akcent, więc musieli pochodzić z bardzo daleka. Jakim sposobem tedy można by ich odszukać, by sprawiedliwości stało się zadość?

Pozostawało zatem pogrzebać zmarłego i zaniechać dalszych dociekań.

Proboszcz odmówił już wymagane modlitwy. Ludzie pochrząkiwali i kaszleli, przygotowując gardła do odśpiewania odpowiedniego psalmu.

Nagle wszyscy odwrócili głowy, bo na górze w lesie usłyszeli jakieś hałasy. Tupot nóg, jakby wielu ludzi zbiegało w dół.

Wielki, czarny pies wypadł jak szalony z lasu, zawahał się na chwilę, a potem ruszył w stronę cmentarza.

Za nim pojawili się ludzie, kilku dorosłych mężczyzn i kilkunastoletni chłopiec. Biegli prosto ku zgromadzonym nad świeżo wykopanym grobem.

Psalm pozostał nie odśpiewany.

— Ja poznaję tamtego — powiedział jeden z chłopów, którzy rozmawiali z obcymi. — Ale myślałem, że on nie żyje!

Zebrani uskoczyli przed ogromnym psem, a przybyły tuż za nim chłopiec chwycił zwierzę za obrozę.

Erling wołał na cały głos:

— Stać! Przerwijcie pogrzeb! Ten człowiek nie umarł!

Zaległa głęboka cisza.

Brawo, pomyślał Nauczyciel zadowolony. Udało wam się. To znaczy uda wam się, jeśli Móri nadal znajduje się w krainie zimnych cieni. Jeśli nie został włączony do chóru umarłych czarnoksiężników.

Kapłan protestował:

— Ale felczer go badał i uznał za umarłego.

— Ja to rozumiem — zgodził się Erling, próbując sprawiać wrażenie spokojnego po zwariowanym biegu z góry w dół. — Ale to prawda: ten człowiek nie umarł.

— O, Panie Jezu! — wrzasnęła jedna z kobiet. — Nie umarł? To znaczy wampir?

— Nie, nie — uspokajał ją Erling teraz przerażony nie na żarty. — Mój przyjaciel cierpi na taką chorobę, która sprawia, że czasami wygląda jak martwy, nie oddycha, serce nie bije, ale to tylko letarg. Już kiedyś tak się zdarzyło, że o mało nie został żywcem pochowany.

— Ale on był przeszyty mieczem, całkiem na wylot — wtrącił Andreas.

Erling odwrócił się do niego.

— Tak, wiem o tym. Ale na szczęście żadne organy ważne dla życia nie zostały naruszone.

Było to kłamstwo. Takie samo jak to o chorobie Móriego, ale na szczęście felczer nie przyszedł na pogrzeb, więc nikt nie mógł podać w wątpliwość słów Erlinga.

Zgromadzenie ogarnęła wielka rozterka. Wszyscy zwracali się do księdza, by on jakoś rozwiązał tę niewątpliwie trudną sytuację.

Proboszcz czuł, że spoczywają na nim spojrzenia wszystkich zgromadzonych.

— Mój przyjacielu — zwrócił się do Erlinga. — Ten człowiek został już poświęcony Panu.

Pan może zaczekać, pomyślał Erling, ale nie odważył się powiedzieć tego głośno.

— Czy zauważyliście na jego ciele jakieś oznaki wskazujące, że nie żyje od kilku dni?

— Nie — odparł Andreas z wahaniem. — Wyglądał dokładnie tak, jakby spał. Ale przecież był nieżywy!

— To letarg — przekonywał Erling. — Ojciec... Kobiety i mężczyźni... Czy ktoś z was odważy się wziąć na swoje sumienie taką odpowiedzialność i zdecyduje się pogrzebać żywcem tego człowieka, zaryzykuje, że on się może obudzi w trumnie pod ziemią?

— Nie, nie — jęknął Andreas, a za nim proboszcz i wielu z zebranych.

— A zatem pozwolicie, byśmy go obejrzel?

Znowu pomruki zwątpienia.

— W jaki sposób może on zostać przywrócony do życia, skoro znajduje się tylko w letargu? — zapytał kapłan niechętnie. Wyraźnie źle się czuł.

Erling wciągnął powietrze.

— Jego kilkunastoletni synek ma specjalny środek... Ale czas nagli. Człowiek leżał ranny tak długo, że wkrótce może być za późno.

Dzięki ci za to, działaj jak najszybciej, mruknęła Pustka, która śledziła, co się dzieje na ziemi, a jednocześnie obserwowała zmagania Móriego w krainie zimnych cieni. Widziała małe potworki z innego wymiaru, które ruszały do ataku na niego, widziała też Anioła Śmierci, który z pewnością mógł uratować Móriego ze szponów tych bestii, ale też zaraz będzie chciał przeprowadzić go do Wielkiego Światła, a wtedy Móri byłby stracony na zawsze. Spiesz się, spiesz, ponaglała Pustka.

Proboszcz, choć bardzo niechętnie, w końcu ustąpił. Wielu parafian rozsadzała też ciekawość i nalegali, by otworzyć trumnę.

Grabarze natychmiast przystąpili do dzieła. Ale wieko było zabite bardzo solidnymi gwoździami, bo szczerze mówiąc, ludzie się trochę bali nienaturalnego wyglądu Móriego.

Jeszcze większy niepokój ogarnął mieszkańców wsi, kiedy zobaczyli syna tego obcego.

Mimo woli większość zgromadzonych cofnęła się o kilka kroków. Coś im się w tym wszystkim nie zgadzało. Ten chłopiec nie był jednym z nich, nie przypominał nikogo, kogo kiedykolwiek znali. Nie był nawet podobny do swego ojca, chociaż obaj mieli skórę koloru kości słoniowej i takie same czarne włosy, jakie widziano u Móriego.

Przy wszystkim był to bardzo ładny chłopiec. A te jego oczy! Takie wielkie, czarne, skośne, takie... kompletnie obce!

Skąd on się wziął?

Dolg zauważył ich rezerwę i zdumienie, czuł się bardzo niepewnie.

Elivevo, prosił swego ducha opiekuńczego. Elivevo, bądź teraz przy mnie! To wielkie przedsięwzięcie próbować przywrócić kogoś do życia. Ja się boję, tak strasznie się boję i taki jestem niepewny, tak bardzo bym chciał, żeby tata był teraz przy mnie. Ale to przecież jego mam ratować.

Cień. Teraz potrzebował jego wsparcia. Ale Cień po prostu zniknął bez słowa wyjaśnienia.

Delikatne dotknięcie w ramię uzmysłowiło mu, że Eliveva jest przy nim.

— Dziękuję ci szepnął niemal niedosłyszalnie.

Grabarze zdołali wreszcie otworzyć trumnę. Zgromadzenie zdecydowało się podejść bliżej, ciekawość zwyciężyła.

— Och! — wzdychały raz po raz kobiety.

Leżał oto przed nimi, bez ruchu, piękny niczym bóg. Dolg miał łzy w oczach, chciał przypaść do trumny i szukać pociechy u ojca.

Nero, którego Dolg wciąż trzymał za obrożę, warknął krótko, podniecony.

Dolg spojrzął na Erlinga, który skinął głową. Wszystko w porządku.

— Weź Nera — szepnął chłopiec.

Erling natychmiast przejął od niego psa.

Dolg głęboko wciągał powietrze. Spiesz się, spiesz się, ponaglała Pustka. Bo teraz to już nie minuty decydują, ale ułamki sekund.

— Bądźcie tak uprzejmi i cofnijcie się trochę — zwrócił się chłopiec do zgromadzonych.

Posłuchali, choć niektórzy bardziej niechętnie niż inni.

— Jeszcze trochę — poprosił Dolg głośno, a w duchu powtarzał: — Bądź przy mnie, Elivevo.

Wyjął kamień, ogromny, kulisty szafir. Zdecydowanie podszedł do trumny, stanął przy głowie Móriego i patrzył na jego twarz.

— Chcę, żeby mój tata się ocknął — szeptał unosząc kulę, słońce skrzyło się w niej wspaniale. — Spraw, by mój ojciec się ocknął!

Od strony widzów doszedł jęk zdumienia. Dolg opuścił kamień i umieścił go ostrożnie na piersi Móriego, tak że złożone ręce ojca obejmowały teraz szafir.

Dolg wyprostował się.

Kamień leżał jak lśniąca niebiesko słońce na tle ciemnego ubrania Móriego.

Dolg z napięcia zapominał oddychać. Czuł, że drży na całym ciele.

W grocie zimnych cieni Móri nieustannie walczył z atakującymi go potworami, czy jak to diabelstwo nazwać. Nie, diabły to chyba nie są, one przybywają z jakiegoś nie znanego wymiaru i bardzo chcą dostać się do wymiaru ludzkiego, a bezbronny Móri może im w tym pomóc.

Z góry, od centrum sztormu, zstępował Anioł Śmierci. Och, nie, jeszcze nie teraz, jęknął Móri.

Jednym jedynym gestem anioł odepchnął całą złośliwą czeredę pod ściany, tak że rozleciała się na wszystkie strony.

Anioł zwrócił się do Móriego:

— Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że jeszcze cię tu zastanę. Jesteś dużo bardziej wytrzymały, niż można by przypuszczać. Ale jakżesz ty wyglądasz po atakach tych małych paskudztw?

Anioł miał rację. Móri był wyczerpany i miał poszarpane ubranie, co było widać nawet w panującym tu mroku. Anioł ruchem ręki przywrócił mu poprzedni wygląd, Móri natomiast próbował przekonać anioła, żeby dał mu jeszcze chwilę, jeszcze go nie sprowadzał do najgłębszych grot śmierci ani do Wielkiego Światła.

— Dostałeś już wiele czasu, Móri — powiedział anioł potrząsając głową.

— Ale coś się dzieje w świecie ludzi, czuję to. Jeden z moich towarzyszy prosił mnie, bym jeszcze trochę wytrzymał, bo właśnie mój syn przyszedł do grobu, który przeznaczyci dla mnie ludzie. Nie wiem, co powinienem robić, ale daj szansę memu synowi! On ma zaledwie dwanaście lat i czy miałby przybyć za późno, kiedy znajduje się już tak blisko celu? Proszę cię, piękny aniele, ze względu na mego syna! Jeśli mu się nie powiedzie, pójdę za tobą.

— Jemu nie może się powieść — odparł anioł. — Ale jak chcesz, zaczekam tu jeszcze trochę, zadbam jednak, byś poszedł za mną kiedy czas nadejdzie.

— Zgoda. Dziękuję, wasza wysokość. Tam coś się dzieje — szepnął nagle Móri. — Ktoś dotyka moich rąk!

— Ja widzę twoje pozbawione duszy ciało — oznajmił Anioł Śmierci. — Leży w trumnie, przygotowane do złożenia w ziemi.

— Nie — szepnął Móri przestraszony.

— Wokół stoi wielu ludzi. Jakiś chłopiec, na wpół dorosły, czy to twój syn?

— Tak, to musi być Dolg.

— Ale skąd on się taki wziął? Jego rysy wcale nie przypominają twojego rodu, może raczej kogoś, kto zniknął bardzo dawno temu. . .

Anioł umilkł nagle.

— Tak? — zapytał Móri.

— To, co on trzyma w ręce. . .

— W ręce? Nie wiem, o czym wasza wysokość mówi.

— To się mieni najpiękniejszą barwą, czystym szafirem. . . Nie widzę, co to takiego. Teraz składa to w trumnie. . .

Anioł Śmierci wstrzymał dech.

— Móri. . . Ja nie chcę na to patrzeć!

Ludzie obok trumny stali w milczeniu. Nawet kawki na kościelnej wieży nie maciły ciszy.

Dolg czuł, że płacz dławi go w gardle. Nic się nie działo. Ojciec leżał w trumnie tak samo blady jak przedtem. Czarne rzęsy wyraźnie odcinały się od skóry w kolorze kości słoniowej. Wciąż ani jednego drgnienia.

Nie należało się chyba spodziewać, że Dolg w takiej chwili zachowa poczucie czasu, ale miał wrażenie, że wieczność minęła, choć w rzeczywistości trwało to ledwie moment.

Nagle w wielkiej ciszy dał się słyszeć szept:

— Patrzcie!

Rozległy się jęki niedowierzania.

Na razie widzieli, że wielki szafir zmienia barwę, jego kolor staje się głębszy, że mieni się niczym morze w blasku słońca, że wysyła długie promienie, jak fala za falą, niemal oślepiającego, niebieskiego, opalizującego światła.

Ludzie musieli osłaniać oczy.

Powoli, bardzo powoli powieki Móriego się uniosły.

Jego dłonie zacisnęły się na kuli, jakby rozumiał, że stamtąd właśnie płynie życiodajna siła.

Ksiądz uczynił znak krzyża, a wielu parafian poszło za jego przykładem.

— To tylko choroba — powtórzył Erling, żeby ich znowu sprowadzić na Ziemię. Móri raczej by sobie nie życzył zostać ogłoszony świętym. — On czerpie siłę z tej kuli, która została nasycona olejkami eterycznymi. Olejki przenikają przez skórę i wzmacniają go.

Wszyscy przełknęli to kłamstwo. Wszyscy uważali widocznie, że tak jest najlepiej.

Dolg pomógł Móriemu usiąść i troskliwie włożył z powrotem kamień do lnianego woreczka, pociągając przy tym nosem i posapując z ulgą. Ojciec żyje! Wszystko będzie teraz znowu dobrze. Żeby jeszcze tylko odnaleźli mamę, to już naprawdę będzie tak jak przedtem. Z niecierpliwością ocierał łzy. Dwanaście lat! Kto to widział, żeby płakać jak jakie dziecko!

Wszyscy starali się podawać „umarłemu” pomocną dłoń.

— Zdołasz stanąć na nogach? — zapytał Erling.

— Tak. Jestem całkiem wyleczony — odparł stary przyjaciel.

Wizje z krainy cieni zniknęły, ale przedtem jeszcze Móri zdążył usłyszeć słowa Anioła Śmierci jak bardzo, bardzo dalekie echo:

— Wprost trudno w to uwierzyć, Móri! Chylę czoła aż do ziemi, nie przed tobą, lecz przed twoim synem. Opiekuj się nim dobrze, Móri. On nosi w sobie więcej, niż ludzie są w stanie pojąć.

W końcu głos anioła się rozwiął, a wraz z nim ponure wizje. Móri powrócił do żywego świata skapanego w blasku słońca.

Proboszcz był zdumiony i cokolwiek przestraszony.

— Mój Boże, jakie by to było nieszczęście, gdybyśmy pana pochowali! Ale kto mógł przypuszczać, chcieliśmy tylko pańskiego dobra.

— Ja wiem. Wdzięczny jestem za troskliwość — Móri starał się ukryć, jak bardzo jest wstrząśnięty myślą, że mógłby zostać żywcem pogrzebany. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Choć określenie „żywcem pogrzebany” nie do końca oddawało stan rzeczy, przekroczył przecież granicę śmierci. Jednak. . . Jakże pięknie jest znowu żyć!

Nikt nie uważał za dziwne, że nogi się pod nim chwieją i musi się opierać na ramieniu Erlinga.

Zapytał przyjaciela po norwesku:

— Ale ty przecież zostałeś strącony ze skały?

— Uratowano mnie — odparł Erling. — Twoje cudowne duchy natury.

Móri był lekko zdezorientowany. Słyszał to i owo w granicznej strefie, ale może mu się tak tylko zdawało. Miał wrażenie, że to wciąż są koszarne wizje z tamtego świata, że zaraz się wszystko usunie z jego pamięci. A tego nie chciał, wydawało mu się, że powinien zachować swoje przeżycia.

W końcu przykucnął i przywitał się jak należy z Nerem, który bardzo się już tego domagał, poszczekując z cicha.

— Wierny stary towarzyszu — szepnął. — Jak dobrze znowu cię widzieć, och, żebyś wiedział, jak dobrze!

Bo właściwie to jest tak, że się bardzo często powtarza psu te same słowa, ale nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co one oznaczają pomyślał i o mało nie został przewrócony na plecy przez nie posiadającego się z radości zwierzaka.

Teraz Móri popatrzył na syna, Dolga. Na syna, którego nigdy do końca nie rozumiał, nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że było w nim coś niepojętego, nieznanego. Dolg stał przed nim niezwykle wzruszony, a jego czarne oczy były czarniejsze niż kiedykolwiek. Ojciec objął go i przytulił, obaj płakali cicho, a w końcu Móri powiedział zdławionym głosem:

— O tak wielu rzeczach musimy porozmawiać, ty i ja, kiedy nie będzie przy nas tylu ludzi. A teraz chciałbym ci tylko podziękować i wyrazić mój największy podziw.

Dolg bez słowa kiwał głową. Nie był w stanie wydusić z siebie głosu.

Tata został uratowany, wydobyty w krainy zimnych cieni i tylko ta jedna sprawa miała znaczenie.

Minęło trochę czasu, zanim mogli opuścić wieś. Tak wielu mieszkańców chciało ich ugościć, wszyscy zapraszali na posiłek i piwo, proponowano im nowy pojazd i wciąż dyskutowano o tym, co się stało, o złych obcych ludziach, którzy uprowadzili Tiril, oraz o cudownym ocaleniu Erlinga tamtego tragicznego dnia. Erling musiał wymyślić jakąś wiarygodną historię o tym, jak spadł na niewielką półkę skalną pod dużym występem i jak, czołgając się, dotarł w bezpieczne miejsce. Fakt, że nie wrócił do wsi ani nie szukał swoich przyjaciół, wyjaśnił tym, że

zabłądził w ciemnym lesie i znalazł się po drugiej stronie doliny.

Ludzie patrzyli na niego w zamyśleniu, ale przyjęli opowiadanie do wiadomości.

W końcu jednak mała gromadka zebrała się, mając teraz dodatkowe trzy konie, i opuściła wieś w nadziei, że oglądają te miejsca po raz ostatni. Wypoczęte konie bardzo im się przydały, bo jeden ze służących miał poważne problemy z własnym wierzchowcem. Koń nie mógł ani chwili ustać spokojnie, rżał głośno i odskakiwał wystraszony, kiedy służący chciał go dosiąść.

Nikt jednak dotychczas nie zauważył nietoperza ukrytego pod siodłem.

Za dnia był to mały, niegroźny nietoperz. . . którego kardynał von Graben za pomocą sztuki magicznej wyposażył w duszę umarłego przestępcy tak, by nocą mógł się przemienić w złą ludzką postać.

W wampira.

KSIEGA II
SZARY PTAK KRZYCZY
O BRZASKU

Rozdział 8

Dziewczynka była bardzo mała, bardzo drobna i przestraszona.

I bardzo, bardzo samotna.

Niby księżniczka siedziała na obitym złotą skórą krześle w swojej sypialni. „Tylko żadnych plam na pięknym obiciu mebli, Danielle!” „Nie kop nóg krzesła, Danielle!” „Siedź prosto, Danielle!”

Danielle czekała na polecenie, co robić. Nie miała odwagi się poruszyć, żeby nie uczynić czegoś, czego nie powinna. Siedziała na samym brzeжку krzesła, nie-naturalnie wyprostowana. Mimo to jej stopy, obute w zapinane na guziczki buciki, dyndały w powietrzu, bo taka była mała mimo swoich ośmiu lat.

Brązowe włosy zostały zaplecione tak ciasno, że bolała ją głowa, ale do tego już się przyzwyczała. Myślała, że tak powinno być. Nosila na głowie biały kapelusz z szerokim rondem i wstążkami spływającymi na plecy. Przestraszona sprawdzała co chwila, czy wstążki układają się równo. Ubrana była w sukienkę batystową w drobne kwiatki, bardzo piękną. Troszkę za długą, tak że niekiedy wlokła się za nią po ziemi. Wtedy Danielle musiała słuchać ostrych wymówek.

Za oknem był wczesny, nieco mglisty, ale bardzo ciepły ranek. Gdzieś daleko wołała kukułka.

Kukułka. Szary ptak, który krzyczał żałośnie, bardzo samotny... i który budził w niej takie strasznie smutne wspomnienia.

Danielle czuła, że lży dławia ją w gardle, i pośpiesznie zaczęła myśleć o czym innym. Płacz zawsze najbardziej denerwował dorosłych. I za to zawsze najbardziej krzyczeli.

Gdzieś w pobliżu znowu trzasnęły drzwi i Danielle zamarła. Bała się tak bardzo, że musiała z całych sił zaciskać nogi, żeby nie zrobić siusiu w majtki.

Drzwi do sypialni otwały się z trzaskiem i w drzwiach stanęła mademoiselle.

— Siedzisz tu jak skamieniała i nic nie robisz? Dlaczego nie zeszłaś na śniadanie? Powóz już zajechał, a ty sobie siedzisz!

Głos był skrzekliwy i gniewny. Danielle wstała i ruszyła ku wyjściu. Nie odważyła się biec, bo za to mogła otrzymać policzek. Przeszła obok mademoiselle, nie patrząc na nią, sztywna ze strachu.

Kiedy ostatnim razem wyjeżdżała z domu, zbyt wcześnie zeszła do jadalni,

wtedy mademoiselle uderzyła ją za to, że zrobiła to bez pozwolenia.

Tak trudno było się zorientować, czego dorośli od niej oczekują.

Claude, służący, przyjął ją z lodowato zimną miną. Prawie nigdy się do Danielle nie odzywał, ale jego oczy i cała twarz wyrażała pełną rezygnacji niechęć. Claude wziął kiedyś miedzianą rurkę i wymierzył jej pięć ciosów tylko dlatego, że mówiła o kimś, kogo w tym domu nie wolno było wspominać.

Danielle nie odważyła się zapytać, czy mama pojedzie dzisiaj z nimi. Czy raczej „maman”, jak kazano jej nazywać matkę. Po francusku, bo tak było z jakiegoś powodu ładniej niż po niemiecku.

Ale mama z pewnością nie pojedzie. Mama znowu ma dzisiaj migrenę. Zawsze miała migrenę, kiedy działo się coś smutnego.

Biedna mama!

Danielle z trudem przetykała owsiankę. Nienawidziła tej obrzydliwej zimnej brei, ale przecież nie mogła tego powiedzieć. Bała się, że kolejnej łyżki nie przełknie, że zwymiotuje.

— Zjadaj wszystko, dziewczyno! — upominała mademoiselle. — Stangret nie będzie w nieskończoność czekał na rozkapryszoną pannę. Nie można sobie wyobrazić, że jest się kimś tylko dlatego, że się urodziło jako von Virneburg. Nie jest się przez to panem świata!

Mademoiselle mówiła wyłącznie po francusku, żeby Danielle się uczyła. Mama Danielle uważała, że francuski jest bardzo pięknym językiem, no i, naturalnie, bardzo modnym.

Danielle wmusiła w siebie ostatnią łyżkę owsianki — „Nigdy nie zostawiaj niczego na talerzu” — i z poczuciem winy zsunęła się z krzesła. Kiedy człowiek nieustannie słyszy napomnienia, łatwo o chroniczne niezadowolenie z siebie.

Mademoiselle wiedziała o tym bardzo dobrze.

Mademoiselle była stosunkowo młodą osobą o najlepszych referencjach. Wychowała już wiele dzieci ze szlacheckich domów, odbierając im przy tym całą odwagę i wiarę w siebie. Małżonkowie Virneburg uważali, że jest znakomitą guwernantką i najodpowiedniejszą opiekunką tej trudnej do prowadzenia Danielle.

Mieliby trochę kłopotów z wyjaśnieniem, dlaczego to Danielle jest trudna, więc też nigdy tego nikomu nie tłumaczyli. Ale wciąż stała im na drodze. Była niczym poruszający się mebel, który domagał się uwagi z ich strony. Jak dobrze było mieć tę godną zaufania damę, która rozwiązywała wszystkie problemy!

Słońce oślepiło Danielle, kiedy wyszła z domu. W ogóle to nie przywykła do przebywania na dworze. Nikt nie miał czasu z nią spacerować, a sama przecież wychodzić nie mogła, bo to okropne i po prostu nie wypada.

Powóz już czekał. Stangret siedział wyprostowany i uroczyście w czarnym ubraniu, ponieważ tego dnia wybierano się na cmentarz, by odwiedzić grób starego barona, dziadka Danielle, którego ona nigdy nie widziała, ale którego pamięć otaczano w rodzinie wielkim szacunkiem. To znaczy maman zawsze, kiedy trze-

ba było jechać na cmentarz, miała migrenę, więc jeździł tylko ojciec i Danielle z guwernantką. A także kamerdyner ojca, rzecz jasna, ale on korzystał z własnego powozu.

Danielle została ubrana w czarny płaszczyk, musiała być w żałobie. Białe wstążki kapelusza nie chciały pięknie leżeć na czarnej wełnie płaszczyka i mademoiselle była zła, ale musiała opanować gniew, żeby baron niczego nie zauważył. Dziewczynka bardzo się starała ułożyć wstążki, ale nie jest łatwo patrzeć na własne plecy. Kiedy wsiadała do powozu, sukienka nieco się uniosła i mademoiselle gniewnym ruchem ją obciągnęła. Danielle przestraszyła się, że sukienka zostanie rozdarta, za co ona dostanie lanie.

Czekając w powozie na przyście ojca, spoglądała w stronę lasu.

Szary ptak milczał. Był on niemal jedynym łącznikiem Danielle ze wszystkim, co dobre, miłe i nieskończenie piękne. To on strzegł pamięci o czasach, które już nigdy nie wrócą, chociaż strzegł też pamięci o dniach pełnych przerażenia i psychicznych załamania, które wprost trudno zrozumieć.

Szara kukułka wołała zawsze o brzasku. Potem milkła.

Jakiś robotnik gracował nieprawdopodobnie długie, wysypane żwirem alejki. Danielle nie odważyła się nawet spojrzeć w jego stronę. Miała surowy zakaz pozdrawiania służby dworskiej. To ich obowiązek kłaniać się pokornie, ona nie powinna nawet na nich spoglądać.

Uważała, że to smutne. Wobec tego, by nie okazać się nieuprzejma, kiedy ktoś ją pozdrawiał, starała się w ogóle nie patrzeć na służących, wtedy oni nie musieli się kłaniać.

Unik. Ale to najlepsze wyjście.

Ogród. Wielka miłość mamana. Chciała mieć taki ogród, jaki kiedyś widziała we Francji. Starannie przyszczyżone krzewy i w ogóle wszystko pod sznurek.

Przyszedł ojciec. Danielle głęboko wciągnęła powietrze i starała się zachowywać grzecznie. Ale koścista twarz ojca wyrażała tylko jego własne zmartwienia.

Podróż przebiegała w milczeniu. Danielle wiedziała, że nie wolno jej się odzywać, jeśli jej nie pytają, a nie byłaby w stanie przypomnieć sobie, kiedy ojciec po raz ostatni coś do niej powiedział. Zachowywał się tak, jakby jej w ogóle nie widział. I tak też chyba przeważnie było, w każdym razie nigdy nie patrzył na nią wprost. Dziewczynka wiedziała, dlaczego. Ona była tylko Danielle.

Natomiast ojciec wielokrotnie spoglądał na mademoiselle, która siedziała w powozie naprzeciw niego. Zapytał swoim ostrym głosem, jak się dziewczynka zachowuje. Dyskutowali o niej ponad jej głową, mówili, jaka jest leniwa, jeśli chodzi o pracę szkolną, na przykład do tej pory nie nauczyła się francuskich przyimków, zawsze zapomina umieszczać je w zdaniach, mówili, jaka jest wybredna, jeśli chodzi o jedzenie. Tego ostatniego Danielle nie pojmowała, bo przecież zjadała zawsze wszystko bez skrzywienia, choć tak okropnie nie lubiła kalafiorów i ryby w galarecie.

Mademoiselle miała rumieńce na twarzy, kiedy rozmawiała z ojcem, a takiego słodkiego głosu Danielle nigdy u niej nie słyszała. Dziewczynka wzdychała cichutko. Chciałaby, żeby guwernantka zawsze była taka, słuchanie jej miłego głosu było niemal taką przyjemnością jak jedzenie słodkiego deseru.

Dotarli do kościoła, gdzie czekało kilkoro krewnych ojca. Danielle musiała się z nimi witać, podając rękę i kłaniając się głęboko, a mademoiselle mówiła, jak zwykle przy takich okazjach, mnóstwo bardzo pięknych słów o Danielle, o tym, jakie to ważne, że dziewczynka ma wokół siebie zdolnych i mądrych ludzi, którzy znają się na wychowaniu dzieci, i o tym, jak łatwo jej się uczyć języka metodą mademoiselle, oraz o tym, że właściwie nie jest łatwo kierować takim dzieckiem, ale mademoiselle nauczyła się tego w najlepszych rodzinach. . .

Wśród przybyłych było też kilka dziewcząt, ale starszych od Danielle, i musiała przecież rozumieć, że nie będą rozmawiać z kimś tak małym jak ona. Trzymała się więc na uboczu i miała, jak zawsze, tę wielką bolesną pustkę w piersiach.

Tak strasznie tęskniła za tym, którego imienia nie wolno jej było wypowiadać.

Już samo to, że nie można było o nim mówić, sprawiało ból.

Wkrótce wyprawa dobiegła końca i trzeba było wracać do domu.

Po tej dość żalosalnej prezentacji w świecie Danielle została znowu odesłana do swojego pokoju, zdana wyłącznie na własne towarzystwo aż do chwili, gdy trzeba będzie „mebel” przesunąć do jadalni. Tu dziewczynka zawsze musiała siedzieć w milczeniu, podczas gdy równie milcząca służba obsługiwała nie mówiących ani słowa rodziców, a na końcu także ją.

Ojciec i mamam w obecności Danielle nie rozmawiali ze sobą. Właściwie to rozmawiali ze sobą tylko przy gościach. Wtedy mamam rozkwitała, była czarująca i niezwykle piękna.

Jakie to szczęście, że mamam nigdy nie dostawała migreny, kiedy spodziewano się gości! Danielle bardzo się w jej imieniu cieszyła.

Ale każdego ranka dziewczynka wymykała się z łóżka i siadała przy oknie.

Wtedy słyszała głos szarej kukułki i wtedy pozwalała płynąć łzom.

Bo tak strasznie tęskniła za swoim jedynym towarzyszem zabaw.

„Towarzysz zabaw” to chyba zbyt dużo powiedziane. Oboje musieli być tak samo cisi, tak samo spokojni, tak samo dobrze wychowani. Ale mimo wszystko mieli siebie nawzajem!

A teraz Danielle była sama w wielkim dworze otoczonym ponurymi lasami.

Rozdział 9

Móri był tak bezgranicznie wdzięczny, czuł się wyzwolony i niewypowiedzianie szczęśliwy.

Mieszkańcy wsi proponowali im nocleg, bo było już po południu, ale oni podziękowali za tę uprzejmą propozycję, a uczynili to z dwóch powodów. Po pierwsze, chcieli jak najprędzej wrócić do domu i następnie podjąć poszukiwania Tiril, a po drugie, stanowczo pragnęli wszyscy jak najszybciej oddalić się od ruin Graben i od skał, w których kryło się wiele tak dla nich bolesnych wspomnień.

Dlatego postanowili wyruszyć niezwłocznie i jechać aż do zapadnięcia zmroku.

Gdy zbliżał się wieczór, byli już w głębokim lesie i tam też postanowili rozbić obóz.

Mieli ze sobą powóz na wypadek, gdyby Móri źle się czuł i nie mógł jechać w siodle. Na szczęście okazało się to niepotrzebne. Móri zapewniał, że szafir wyleczył go z wszystkich niedomagań. W tej sytuacji złożyli w powozie bagaże, żeby ulżyć wierzchowym koniom.

Siedzieli przy ognisku i zajadali prowiant, w jaki zaopatrzyły ich gospodynie we wsi, kiedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Rozkubaczyli konie i uprząż złożyli w powozie. Dziwiło wszystkich, że ten przez całą drogę niespokojny wierzchowiec po zdjęciu siodła zachowuje się zupełnie normalnie.

— Trzeba przejrzeć jego uprząż, jak się rozwidni — powiedział Erling. — Może coś go uwierało?

Inni kiwali głowami, że tak mogło być. Wszyscy porozkładali na ziemi derki i koce, robiąc sobie posłania, ale chętnie siedzieli jeszcze przy ognisku i rozmawiali.

Jeden ze służących z Theresenhof odłożył swój stary i zniszczony koc do powozu, a przyniósł sobie końską derkę. Cisza panowała wokół, ogień trząskał przyjemnie, ale ludzie nie czuli się dobrze w tym miejscu. Las zdawał się niebywale ciemny i ponury. Nieprzyjemny dreszcz przebiegał czasem po plecach, choć nikt nie byłby w stanie powiedzieć dlaczego. Raz po raz któryś spoglądał ukradkiem przez ramię, ale niczego szczególnego nie dostrzegał.

Zrobiło się późno. Móri chciał się dowiedzieć czegoś więcej o niebezpiecznej wyprawie Dolga na wielkie bagna, o błędnych ognikach oraz o „śpiących wielkich mistrzach”, którzy go tropili, i o tym, jak Cień ich unicestwił.

— Tak, tak, słyszałem o tym w krainie zimnych cieni — powiedział w końcu. — Wy ich naprawdę unicestwiliście, wiesz o tym, Dolg? Oni rzeczywiście już nie istnieją. Nigdzie! Ani na tym, ani na tamtym świecie.

— O, niewielka strata — mruknął jeden ze służących.

— Rzeczywiście, masz rację — potwierdził Erling.

— Jak tylko wrócimy do domu, zaraz zajmę się tymi płytami — postanowił Móri. — Może da się to jakoś załatwić, żeby się pozbyć reszty tych śpiących nędzników. Myślisz, Dolg, że moglibyśmy w tej sprawie współpracować?

Chłopiec objął mocniej woreczek z szafirem. Tego skarbu nigdy się nie wyrzeknie. Zwłaszcza po tym, jak wysłany przez kardynała puk próbował mu go ukraść.

— Na pewno dobrze nam się ułoży — uśmiechnął się do ojca.

Potem Móri dał się namówić na opowiadanie o swojej wędrówce do krainy cieni.

— Chętnie wam o tym opowiem — stwierdził. — Bo zauważyłem, że w miarę upływu czasu moje przeżycia bledną jak dogasający ogień, a przecież nie powinny. Mam do przekazania najzupełniej unikalne sprawy, myślę, że to będzie ważne dla moich następców, próbujcie więc zapamiętać jak najwięcej, bo później to wy będziecie musieli dopowiadać szczegóły. Ale co się tutaj dzieje? Czy wy czujecie to samo co ja...?

— Że nie jesteśmy tu sami? — podsunął Erling. — Właśnie się nad tym zastanawiałem, ale przyszło mi do głowy, że to może twój niewidzialny towarzysze.

— Nie — rzekł Móri z wolna. — Moi towarzysze z pewnością tutaj są, ale to nie oni budzą ów niepokój. To coś całkiem innego. Coś... niebezpiecznego. Spójrz na Nera! On nie reaguje na obecność duchów, są przecież jego przyjaciółmi, jeśli je w ogóle zauważa. A popatrz na niego teraz! Wytrzeszcza oczy, warczy i poszczekuje.

— Pewnie jestem głupi — zaczął jeden ze służących — ale zdaje mi się, że widziałem w powozie czyjąś twarz. Przyciśniętą do okienka. Co prawda szybki są dosyć mętne, ale widziałem wyraźnie.

Mówili teraz jeden przez drugiego, opowiadając Móriemu o czarach, jakie kardynał rzucił na nich, kiedy wyjechali z Theresenhof. O musze i o puku, które Dolg zdołał unieszkodliwić.

Czy to możliwe, żeby było coś jeszcze?

— Oczywiście, że możliwe — stwierdził Móri. Wstał i podszedł do powozu. Zajrzał przez okno do środka, ale zobaczył tylko stos uprzęży i niepotrzebnych derek.

Wrócił do ogniska.

— Uważam, że powinniśmy w nocy wystawiać wartę — powiedział spokojnie. — Niczego nie widziałem, ale nigdy nic nie wiadomo.

Potem usiadł i opowiedział im o krainie zimnych cieni, oni zaś słuchali z powagą, a niekiedy z niedowierzaniem. Kiedy jednak skończył, nikt nie traktował jego słów sceptycznie.

— Historia o Wielkim Świetle wydaje mi się bardzo piękna — rzekł jeden z ludzi dworskich.

— Bo Wielkie Światło jest piękne! Jeśli kiedykolwiek odczuwałem lęk przed śmiercią, to teraz już nie.

Drugi służący rzekł niepewnie:

— Ale ja jestem dobrym chrześcijaninem i wierzę w Boga.

Móri popatrzył na niego.

— I nadal powinienes wierzyć. Nikt przecież nie wie, jak Bóg wygląda. Nie jest nie do pomyślenia, że on się ukrywa właśnie w Wielkim Świetle, a może jest samym Światłem. Dobrym, kochającym Bogiem. Ale tego Boga, który karze ludzi tylko za to, że w niego nie wierzą, tego, który uderza na ślepo, na przykład zabiera ludziom jedyne dziecko, tego Boga ja nie uznaję.

— Ani ja — zgodził się służący. — Na przykład nigdy nie mogłem zrozumieć, jak Pan może pozwalać na to, by mój ojciec bił i maltretował matkę, kiedy byłem mały. A mama była taka dobra dla nas, dzieci, i tyle wciąż musiała płakać. W końcu ojciec zatłukł ją na śmierć. A sam żył sobie bardzo dobrze, zarabiał sporo pieniędzy na nielegalnym handlu, okradał ludzi i oszukiwał jak się dało. We wszystkim mu się wiodło, nawet ksiądz go považał, i dożył dziewięćdziesięciu dwóch lat. Jak można mówić o sprawiedliwości?

Móri patrzył na niego poważnie.

— Rzeczywiście, nie ma w tym sprawiedliwości. Ale Dolg już chyba zaraz zaśnie. Myślę, że wszyscy powinniśmy się położyć.

Wziął swego dzielnego syna na ręce, położył go i otulił dokładnie kocem. Delikatnie pogłaskał go po policzku. Przytomny Dolg pewnie by na to nie pozwolił, ale teraz był taki zmęczony, taki zmęczony, że nie reagował na nic.

Wokół dogasającego ogniska noc zrobiła się ciemna, pierwszy miał pełnić wartę jeden ze służących, ale był tak przerażony tym czymś nie znanym, co się koło nich kręciło, że kolega zdecydował się dotrzymać mu towarzystwa. Móri i Erling układali się powoli na spoczynek.

Dolg miał sen.

Śniło mu się, że drzwi powozu otworzyły się powoli — po tamtej stronie, żeby nikt przy ognisku nie zobaczył. Dolg jednak widział, bo akurat we śnie człowiek sam decyduje, co widzi.

Leżał między ojcem i Erlingiem otulony w swoją derkę.

Coś wysunęło się z powozu. Podskakiwało wolno, tak że wielkie czarne skrzydła, czy co to było, podnosiły się i opadały w jakiś makabryczny sposób. To coś, co musiało chyba być człowiekiem, przemknęło dokoła powozu w ten sam osobliwy, powolny sposób, tak że cała sylwetka kiwała się w przód i w tył.

Tato, chciał wołać Dolg, ale z jego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Tato, tato, ratunku!

To straszne, że otwiera się usta do krzyku, a mimo to pozostaje się kompletnie niemym.

Dziwna postać przystanęła w cieniu pod drzewami. We śnie Dolg nie widział tych dwóch ludzi, którzy mieli czuwać przy ognisku. Jeden drzemał, a drugi siedział tyłem i niczego nie dostrzegał, ale we śnie chłopca i tak ich nie było. We śnie był on w lesie sam z powozem rysującym się ostro na tle nocnego nieba i tym czymś w cieniu pod drzewami.

Tato!

Niczego nie było słychać, niezależnie od tego, jak głośno starał się Dolg krzyczyć.

To był prawdziwy koszmar z rodzaju tych, z których człowiek nie może się wyrwać.

Ojczy!

Krzyczał jeszcze głośniejsze, bo teraz ta ohydna istota była coraz bliżej. Niebo pociemniało, powóz znalazł się w mroku, stwór pochylał się nad Dolgiem...

Móri ocknął się, bo jeden z wartowników przyczołgał się do niego i lekko dotknął jego ramienia.

Oczy służącego były wielkie jak talerzyki, wyglądało na to, że się śmiertelnie boi. Bez słowa wskazywał coś drżącą ręką.

Móri zrozumiał, że nie powinien wykonywać gwałtownych ruchów. Skierował wzrok tam, gdzie pokazywał służący, i oniemiał z przerażenia.

Duża czarna postać klęczała pochylona nad Dolgiem tak, że widać było tylko zgarbione plecy pod ciemnym okryciem. Zdawało się, że głowa napastnika znajduje się tuż przy gardle Dolga.

Móri najpierw był jak sparaliżowany, nie wiedział, co to jest ani co on sam powinien zrobić. Erling miał pistolet, Móri wiedział o tym, ale Erling spał po drugiej stronie Dolga. A poza tym pistolet? Czy tutaj by się na coś przydał?

— Nauczycielu — prosił w duchu. — Pomóż mi, powiedz, co to jest i co mam robić?

Odpowiedź natychmiast zabrzmiała w jego głowie. — Wampir. Czarna magia kardynała.

— Ale co robić?

— Obudź Dolga. Szafir.

Tak, Dolg miał szafirową kulę, ale jego koc zsunął się razem z woreczkiem i teraz szafir leżał po tamtej stronie chłopca. Móri nie zdołała do niego sięgnąć. A poza tym trzymał Nera, który jeszcze niczego nie zauważył.

— Dolg! Kula! — krzyknął. — Szybko!

Erling zerwał się z jękiem. Dolg obudził się dokładnie w tym momencie, gdy wampir zwrócił swoją makabryczną gębę w stronę Móriego i wściekle parsknął. Móri zobaczył w mroku dwoje gorejących oczu i ogromne kły w twarzy, która do złudzenia przypominała pyszczek nietoperza.

Dolg szlochał ze strachu, ale Erling działał błyskawicznie. Chwytał woreczek z szafirem, wyjął z niego kulę i włożył ją w ręce chłopca, wszystko niemal jednym ruchem. Nero pomagał jak mógł oszalałym szczekaniem.

Kiedy Dolg poczuł w dłoni piękny, wypolerowany kamień, wstąpiła w niego odwaga. Chociaż może nie odwaga, raczej wola czynu.

— Nie w złej intencji, ale w dobrej — wyjąkał i przycisnął kulę do twarzy wampira. — Stań się tym, kim kiedyś byłeś! Nie chcę ci wyrządzić niczego złego.

Nie miał najmniejszego pojęcia, kim był niegdyś ten wampir, może takim samym nędznikiem jak kardynał, ale tylko takie słowa przyszły mu do głowy. Wiedział przecież, że kamienia nie można używać w służbie zła, bo wtedy jego siła wygaśnie.

I dlatego właśnie wampir przybrał swoją pierwotną postać, ale nie była to dusza złego przestępcy, którą kardynał za sprawą magicznych sztuczek wprowadził do ciała niedużego nietoperza. Dolg, wciąż leżąc na pościeli, trzymał w rękach cudowną kulę, na której siedział mały, oszołomiony tym wszystkim nietoperz.

— Nie bój się, malutki — powiedział Dolg delikatnie.

— Wybacz mi, że zostałeś przeniesiony do tego ponurego, ciemnego lasu, ale z pewnością także i tutaj znajdziesz sobie jakichś pobratymców. Powodzenia!

Ponieważ była noc, nietoperz czuł się jak ryba w wodzie, rozprostował więc skrzydełka i odleciał.

Wszyscy odetchnęli.

Z wyjątkiem Nera, który jak wściekły rzucił się w kierunku, gdzie zniknął nietoperz.

Rozdział 10

Theresa i dzieci nigdy nie wyruszyli w pełną niebezpieczeństw podróż na spotkanie Dolga, Móriego i Erlinga.

Rankiem tego dnia, kiedy mieli wyjechać, wrócili gwardziści cesarza, ci, którzy podjęli się eskortować Theresę do Hiszpanii w poszukiwaniu Tiril. Przyjechali nie tylko ci dwaj, którzy towarzyszyli jej do Heiligenblut. Cesarz okazał się hojny i oddał siostrze również tych dwóch, którzy poprzednio pod nieobecność księżnej pilnowali w domu bliźniaków. Całkowite ujawnienie matactw biskupa Engelberta tak przejęło cesarza i wzbudziło w jego sercu tyle ciepła dla nieszczęśliwej siostry, że gdyby poprosiła o całą gwardię, też by ją dostała. Cesarz sam by się najchętniej również udał w tę podróż. Ale cesarz, niestety, nie może sobie na takie rzeczy pozwalać.

Czterej gwardziści zostali przyjęci bardzo serdecznie i, oczywiście, trzeba się było nimi zająć, a konie musiały wypocząć. Gwardziści jechali długo, a odpoczywali niewiele.

Koledzy z cesarskiej gwardii drwili sobie z nich trochę przy wyjeździe. Być eskortą dla jakiejś starej ciotki i jej dzieciaków, cóż to za honor? Ci czterej jednak opowiedzieli o swoich przygodach, o walce z ludźmi kardynała, o polowaniu na rycerzy tajemniczego zakonu, którzy uprowadzili córkę księżnej Theresy, i wtedy twarze tamtych wydłużyły się z zazdrości. Rola figur na cesarskich paradach nie była taka znowu zabawna.

Odpoczywanie w Theresenhof to niełatwa sprawa. Taran i Villemann zakradali się raz po raz do pokoju gwardzistów, by zapytać, jak się obsługuje karabin albo co mówi dowódca, kiedy kieruje oddział do ataku (dzieci bawiły się w hallu w wojnę), lub też pożyczyć hełm czy inną część rynsztunku.

W końcu jednak służba zorientowała się, co się dzieje i kategorycznie zakazała bliźniakom zbliżać się do tamtego pokoju.

Później, kiedy nowo przybyli już trochę odpoczęli, zrobił się wieczór i trudno było o tej porze wyruszać w daleką drogę.

Wszyscy siedzieli przy kolacji, gdy nagle u drzwi na dole rozległo się niecierpliwe ujadanie.

Mieszkańcy dworu zamarli.

— Nero? — wykrztusił Villemann.

O Boże, pomyślała Theresa. A jeśli pies wrócił sam? Boże, bądź miłosierny, Boże...

Ale dzieci już były w hallu. Walczyły o to, które pierwsze wyjdzie na dwór.

Nie bacząc na nie jedna ze służących podbiegła i otworzyła drzwi, i w następnej chwili bliźniaki poczuły się, jakby rzucił się na nie oddział kawalerii.

Nero skomlał i lizał je po twarzach, dzieci leżały na podłodze nie będąc w stanie się bronić, a Nero popędził dalej oznajmić gospodyni, księżnej Theresie, że oto wrócił!

Pies musiał zostawić orszak jakiś czas temu i odbyć triumfalny bieg do domu sam, bo czekano dość długo na dziedzińcu, zanim dał się słyszeć tętent koni i ukazał się powóz, a przy nim grupka jeźdźców.

— Jest Dolg wykrztusiła Theresa. — I... Erling.

— I tatuś! — wrzeszczały dzieci jedno przez drugie. — Tatuś jest z nimi!

Villemann dodał trzeźwo:

— I siedzi w siodle o własnych siłach, niczym go nie musieli podierać, więc z pewnością żyje.

— Ależ, Villemann — skarciła go Theresa, ale nie miała czasu na dłuższe upomnienia. Wrócili do domu, wszyscy, którzy wyjechali, i wszyscy są zdrowi. I Móri jest z nimi.

Teraz brakowało tylko Tiril.

Tego wieczora, kiedy opowiedzieli już o swoich przygodach, zarówno Móri, Dolg, Erling, jak i Theresa, Móri wyszedł na schody prowadzące do ogrodu, by „zająć się” śpiącymi wielkimi mistrzami. Tymi, którzy jeszcze tkwili ukryci w kamiennych tablicach.

Dolga ze sobą nie zabrał, co więcej, zakazał mu w ogóle wychodzić z domu. Nie chciał, żeby się coś synowi stało. I, jak powiedział, wspaniałego szafiru nie należy więcej używać. Jest on potrzebny dla osiągnięcia pięknych i szlachetnych celów i powinien pomagać godnym tego ludziom, a jeśli tak się zdarzy, to i zwierzętom, potrzebującym pomocy.

Ale wielkim mistrzom Zakonu Świętego Słońca? Nigdy!

— Czy koniecznie musisz to robić właśnie teraz? — zapytała Theresa zmarzwiona. — Dopiero co wróciłeś do domu i pewnie nie czujesz się jeszcze najlepiej.

— Poradzę sobie — uśmiechnął się Móri. — A poza tym moi towarzysze obiecali, że pomogą w razie czego.

Księżna zamyśliła się.

— Ciebie Dolga wyeliminował czterech, którzy poszli za chłopcem. Ale ten piąty... Tomas de Torquemada... Jego zdołał unieszkodliwić Dolg, co prawda przy pomocy Cienia. Wypomniał mistrzowi wszystkie jego złe postęпки.

— Tak, a następnie, w końcowej fazie, jeśli tak można powiedzieć, błędne ogniki pomogły Dolgowi — dodał Móri. — A teraz zobaczymy, czy uda nam się pozbyć całej reszty.

I wyszedł na dwór.

Pozostali wraz z czterema gwardzistami zgromadzili się przy oknie. Również służba obserwowała rozwój wydarzeń, bo już dawno wszyscy wiedzieli o niezwykłych zdolnościach zięcia i wnuka księżnej. Zresztą Móri pomagał wielu ludziom w chorobach i zmartwieniach, więc wszyscy byli po jego stronie. Dla wszelkiej pewności okna domu zostały starannie pozamykane. Nikt nie chciał, by któryś z uwolnionych wielkich mistrzów szukał schronienia pod ich dachem.

Nero został zamknięty w odległym pomieszczeniu, od strony dziedzińca, bo, oczywiście, stanowczo wybierał się z Mórim, żeby mu „pomagać”. Słyszeli teraz jego żalosne skomlenie, aż do chwili kiedy ktoś poszedł do niego i uspokajał go cichym, pełnym wyrozumiałości głosem. Po tym w całym domu zapanował spokój.

Móri zapytał kiedyś Nauczyciela, jak długo będą mogli zachować Nera. Już i tak przez okoliczną ludność nazywany był „nieśmiertelnym psem”. Nauczyciel odpowiedział wtedy krótko i bez sentymentów: „Nero będzie żył tak długo, jak Dolg. Oni są nierozdzielni. Umrą także razem”. O więcej Móri nie pytał, nie miał ochoty się dowiadywać, kiedy umrze jego ukochany syn. Takich spraw nikt z rodziców nigdy nie bywa ciekawy.

Ale pomyślał sobie wtedy: Mógłbym przysiąc, że razem też pójdą na tamten świat.

Wszyscy licznie zgromadzeni przy oknie dworu w Theresenhof widzieli, że Móri bardzo ostrożnie usiadł na schodach tuż ponad kamiennymi tablicami. Siedział tak z głową lekko odchylną do tyłu i wyciągniętymi przed siebie rękami zwróconymi dłońmi ku górze, jakby kogoś przyzywał.

Przy oknie panowała kompletna cisza, niektórzy wstrzymywali nawet oddech. W końcu Dolg powiedział:

— Oj, pojawiły się duchy taty! O, Nauczyciel usiadł po jego prawej stronie. Duch Zgasłych Nadziei po lewej. Reszta stoi na dole. . . z twarzami zwróconymi w stronę taty i nas, jakby chcieli otoczyć tablice półkolem.

Zdawali sobie sprawę, że zdolność widzenia niewidzialnego bardzo się ostatnio u Dolga wyostrzyła, ponieważ tak często dotykał magicznego szafiru.

— Czy Nidhogg tam jest? — zainteresowała się Theresa.

— Nie, babciu, nie ma. I Zwierzęcia też nie.

— To znaczy, że są przy Tiril. — Księżna odetchnęła z ulgą. — To bardzo dobrze. Wiemy przynajmniej, że Tiril żyje.

Stała u boku Erlinga Müllera, w otoczeniu swoich wnuków i służby na zabudowanej werandzie.

— Dolg, co oni teraz robią? — zapytała cicho.

— Rozmawiają. Prawdopodobnie zastanawiają się, jak najprościej osiągnąć cel. Nie mogę, niestety, opowiedzieć tacie, co Cień zrobił, żeby unicestwić tych czterech wielkich mistrzów, bo byłem wtedy nieprzytomny. Ale jeśli chodzi o straszego Torquemadę, to musiałem mu przedstawić wszystkie jego złe uczynki. Tata nie może chyba tego zrobić.

— Nie — przyznał mu rację Erling. — Nauczyciel jest wyjątkową istotą, ale jednak nie do tego stopnia co Cień.

— Tak jest — zgodził się Dolg. — Cień wiedział wszystko o przeszłości. Czerpał wiedzę z księgi czasu świata. Pominąwszy...

— Co chciałeś powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć: Pominąwszy wiedzę o Zakonie Słońca, ale teraz widzę, że się myliłem. On przecież był jednym z nich. Ale byłem głupi!

— Wcale nie — zaprotestował Erling. — Jesteś niebywale mądry.

— Przecież on musiał wiedzieć mnóstwo rzeczy o Świętym Słońcu, ale nigdy niczego nie powiedział.

— Szkoda — westchnął Erling. — A teraz co? Masz go więcej nie widywać?

— Nie, oczywiście, że go zobaczę! Sam mi to obiecał, ale on przychodzi i odchodzi, kiedy chce. O, patrzcie! Zdaje się, że postanowili zaczynać!

Wszyscy skupili znowu uwagę na tym, co działo się na zewnątrz.

Dolg westchnął.

— Powiniennem teraz być przy tacie!

Jego podziw dla ojca przekraczał wszelkie pojęcie. I troskliwość okazywana ukochanemu tacie była równie wielka.

Theresa uśmiechnęła się, ale natychmiast znowu spoważniała.

— Erling, co Móri robi?

— Wygląda na to, jakby zamierzał podnosić jedną tablicę po drugiej. Wypuści wielkich mistrzów, zanim dokładnie przeczytamy inskrypcje. Odeśle te upiory z powrotem do krainy zimnych cieni, gdzie jest ich właściwe miejsce. Myślę, że chce zachować tylko tablicę Ordogno Złego z Leon.

— Rozumiem. Kamień z Ordogno. Klucz, czy raczej brama do starego czasu.

— No właśnie.

— Duchy taty usiadły w kucki wokół kamiennych tablic — oznajmił Dolg.

— Tak jak siadają ludzie z prymitywnych plemion. I słyszę, że śpiewają cichutko. Zawodząco.

— My słyszymy Móriego. Tamtych nie.

— Naprawdę, nie słyszycie nikogo więcej? — dziwił się Dolg. — Śpiewają bardzo wyraźnie. Teraz tata bierze jedną z tablic... O, to cud! Coś okropnego wije się i pełnie, ale oni nie pozwalają mu uciec. Mają go!

— Dokładnie tak jak wtedy, kiedy my czytaliśmy inskrypcje, Thereso — powiedział Erling cicho.

— Tak — odparła uszczęśliwiona, że on podkreśla ich wspólne działanie.

Erling zastanawiał się teraz głośno:

— Jednego w tym wszystkim nie rozumiem. Przeglądaliśmy przecież kamienne tablice w górach pod Graben i wtedy nic się nie działo. Później my oboje chcieliśmy odczytać inskrypcje dokładniej i wtedy duchom pięciu mistrzów udało się wymknąć i prześladować Dolga. Wtedy sądziliśmy, że to dlatego, iż nie ma z nami Móriego. Teraz Móri jest, a najwyraźniej jakiś duch próbuje się wyrwać.

Theresa uśmiechnęła się.

— Może ocknęli się do życia po tej kąpieli, którą im sprawiłeś? Żartuję, ale może rzeczywiście tam, pod Graben, oni nie byli do końca „przebudzeni”? Spali przecież przez kilkaset lat.

— Możliwe — Erling odpowiedział jej uśmiechem. — Chociaż nie, myślę, że to jednak chodzi o co innego.

— Ja też tak uważam — potwierdziła Theresa cicho.

Popatrzyli na siebie. Wiedzieli, że oboje mają na myśli to samo: dlaczego duchy nie wymknęły się podczas długiej podróży Erlinga do domu, kiedy tablice znajdowały się w wielkim nieporządku? Ale wtedy trwały na miejscu. Lęk przed Dolgiem i przed tym, co chłopiec mógłby im zrobić, spowodował, że umarli wielcy mistrzowie ocknęli się do życia. A pod Graben Dolga nie było. Tutaj jednak napotkali jego nie znaną siłę i próbowali... Nie, nie uciec! Próbowali go powstrzymać!

Theresa i Erling przysunęli się do chłopca, jakby go chcieli chronić.

Co też to za wnuk mi się przytrafił? — pomyślała księżna. Jakież niezwykle siły tkwią w tym chłopięcym ciele? Czy zdołamy mu pomóc, gdyby tego potrzebował?

Księżna ubóstwiała wszystkich troje swoich wnuków, ale wyjątkową czułość żywiła dla niezwyklego Dolga. Akurat teraz stanowił on cudowną mieszaninę dziecka i dorastającego młodzieńca, niespodziewanie szybko dojrzewającego, co ujawniało się przede wszystkim w jego języku. Księżna bardzo się starała, by jej wnuki posługiwały się pięknym językiem, by posiadały duży zasób słów i właśnie Dolg mieszał często niezwykle dorosłe określenia z wyrażeniami z języka dziecięcego. Ten jakiś obcy element w charakterze chłopca i w jego wyglądzie często ją przerażał. Ale z całego serca pragnęła go wspierać, dawać mu poczucie bezpieczeństwa.

Księżna omal się nie przestraszyła, gdy nieoczekiwanie Dolg zwrócił się ku niej i spojrzał jej głęboko w oczy, uścisnął jej dłoń i uśmiechnął się delikatnie.

Chłopiec czytał w jej myślach i chciał wyrazić jej swoją wdzięczność i oddanie.

Najświętsza Panienko, jak ja mam się obchodzić z tym dzieckiem? — pomyślała spłoszona własnym niepokojem, że przecież on i to odczyta.

Erling, który nie spuszczał oczu ze schodów z kamiennymi tablicami, powiedział:

— Dolg, Móri jakby nie wiedział, co robić. Jak się zachowują duchy?
Dolg powoli zwrócił wzrok ku schodom.

— Rozmawiają. Zdaje się, że muszą zmienić taktykę. Ten pierwszy wielki mistrz ich zaskoczył. . .

Chłopiec wahał się przez chwilę, ale potem zaczął pojmować, co się stało.

— Oni nie mają odwagi podnosić tablic, jedna po drugiej. Chyba w ogóle nie mają odwagi naruszyć kamiennej księgi.

— Nawet żeby wyjąć inskrypcję Ordogno?

— Nawet po to.

— Musimy to zrozumieć — powiedziała Theresa.

Villemann, który przez cały czas stał zdumiewająco spokojnie, ogarnięty uroczystym nastrojem tej chwili i tym, że może uczestniczyć w magicznym misterium, wtrącił się do rozmowy:

— Ale jeśli zniszczą wszystko razem z inskrypcją Ordogno, to nigdy się nic nie dowiemy o kamieniu.

— I tak byśmy się nie dowiedzieli — rzekła Theresa. — Myślę, że duch Ordogno nie oddały dobrowolnie posiadanej wiedzy.

— No tak, rzeczywiście — przyznał Villemann. — Patrzcie, teraz oni wypowiadają zaklęcia nad tablicami — informował Dolg, bo inni widzieli, oczywiście, tylko Móriego. Domyślali się jednak, że taka skondensowana magiczna siła, jaką reprezentowały duchy połączone z Mórim, musi dla wielkich mistrzów oznaczać całkowitą katastrofę.

Móri podniósł się i stał nad kamienną księgą z wyciągniętymi rękami. Jego zaklinający głos dochodził do nich przez zamknięte okno. Długo słuchali jego dziwnych formułek i ogarniało ich poczucie bezpieczeństwa, bo wiedzieli, że pomagają Móriemu jego potężni towarzysze, chociaż zebrani przy oknie ani ich nie widzieli, ani nie słyszeli.

W osobliwym nastroju tego wieczoru, z pięknymi górami Kärnten w tle, z niebem płonącym czerwienią zachodu, ludzie czuli, jakby znaleźli się w dawnych pogańskich czasach. Do ich świata poprzez kamienne tablice wielkich mistrzów, które przez setki lat leżały w ziemi zapomniane, wdzierały się pradawne czasy, czarownicy oraz ich przyjaciele, duchy natury oraz istoty symboliczne, jak Duch Zgasłych Nadziei albo Pustka. . . Jakby rzeczywistość straciła na znaczeniu dla nich wszystkich i żyli teraz bardziej w mistycznym świecie, reprezentowanym przez Móriego i Dolga.

Nawet czterej gwardziści zdawali się jak zaczarowani i nikt, ani spośród żołnierzy, ani spośród służby, nie roześmiał się, w żaden sposób nie naruszył nastroju. Wszyscy w takim samym skupieniu obserwowali, co się dzieje za dającymi poczucie bezpieczeństwa oknami.

— O, patrzcie! — zawołała Taran. — Ze stosu kamieni wydobywa się dym. Czarny, powiedziałałabym: wściekły dym!

— Mam nadzieję, że nie uda im się uciec — rzekł Villemann ostrożnie.

— Nie, nie — uspokoił go Dolg. — Jest tak jak mówisz, Taran. Oni zawzięcie walczą o to, by pozostać, by ich nie unicestwiono. Ale nic im to nie pomoże.

— Ja miałam rację — ucieszyła się Taran i aż pokraśniała z dumy. — Dolg mówi, że miałam rację!

Największą pochwałą dla niej były słowa Dolga.

— Patrzcie, dym się rozwiewa, niknie — zauważyła stara pokojówka księżnej.

— O... zniknął całkiem.

— Dzięki ci, dobry Boże — szepnął Erling, a Theresa była mu wdzięczna za to, że daje wyraz swojej wierze w Boga. Czasami czuła się dość niepewnie w swojej rodzinie. Taran i Villemann mogli na przykład konkurować, które szybciej odmówi wieczorny pacierz, co nie było przecież świadectwem wiary.

Jeden z gwardzistów jęknął zdumiony.

Tablice się rozpadają! Przemieniają się w kamienny pył... Znikają!

— Szkoda — westchnął Erling. — Nie zdążyliśmy odczytać, co zostało na nich zapisane.

— Nie mogli zrobić nic innego — wyjaśnił Dolg. — Zbyt wiele zła zostało tam zaczarowane. Te tablice wykonano po to, by zebrać magiczną wiedzę wielkich mistrzów oraz wiedzę na temat czarnej magii. One musiały ulec zniszczeniu. Tak powiedział wielki mistrz.

— Słyszałeś to? — zapytał Erling z niedowierzaniem.

— Oczywiście — odparł Dolg spokojnie.

Móri wrócił bardzo zmęczony. Nie zatrzymując się poszedł wprost do salonu i opadł tam bez sił na fotel.

Uśmiechał się, niemal szczęśliwy.

Służący oznajmił, że podano lekki wieczorny posiłek, co wszyscy przyjęli z radością. Rozsiedli się przy stole i jeszcze długo trwały tam ożywione rozmowy, padały najdziwniejsze pytania i niezwykle odpowiedzi.

Kiedy wyczerpano już temat wielkich mistrzów, zaczęto układać plany co do poszukiwania Tiril. Zebrani byli zgodni, że należy wyruszyć zaraz następnego dnia.

W pewnym momencie Theresa zebrała się na odwagę i powiedziała:

— Skoro kamienne tablice nie stanowią już zagrożenia dla dzieci i służby, to ja też chciałabym pojechać.

Dorośli przyjęli to milczeniem, natomiast bliźniaki wrzasnęły chórem: „My też jedziemy!”

— Mowy nie ma — uciął Móri krótko.

Głos Theresy zabrzmiał stanowczo:

— W takim razie Dolg też zostanie.

Zranionego wzroku chłopca nie miała nigdy zapomnieć.

— Ależ Dolg musi z nami jechać, nie poradzimy sobie bez niego. Ja będę go ochraniał.

— Móri — powiedziała księżna surowo. — Trzeba nareszcie skończyć z niesprawiedliwością w tej rodzinie! Ja, którą zawsze uważacie za stosowne zostawiać w domu, najlepiej wiem, jak się czują dzieci, ponieważ są „niepotrzebne”. I bardzo dobrze je rozumiem, bo i ja czuję to samo. Więc albo ja i dzieci zostaniemy, albo wszyscy jedziemy!

W ciszy, która po tym nastąpiła, Theresa słyszała szepty bliźniaków:

— Dziękuję, babciu!

— Najlepsza babcia na świecie!

Theresa spostrzegła, że Erling się z nią zgadza, ale decyzję pozostawia Móriemu.

Ojciec dzieci długo milczał, więc Theresa dodała:

— Tiril jest moją córką i matką wszystkich dzieci, nie tylko Dolga.

— Przepraszam — rzekł Móri — ja się po prostu boję, żeby się malcom coś nie stało. Ale, rzeczywiście, nikt z nas nie pomyślał o tym, jak się czują ci, którzy zostają w domu, całymi tygodniami nie mając znikąd wiadomości.

Wszyscy troje „siedzący w domu” kiwali z zapalem głowami.

— Zresztą dokonałaś wspaniałych rzeczy w Heiligenblut — dodał Móri już znacznie łagodniej.

— I ty, oczywiście, powinnaś jechać — wtrącił Erling niezbyt pewnie, bo choć bardzo chciał, by Theresa pojechała, to niepokoił się o dzieci. — Ale czy zniesiesz taką długą podróż?

Móri wyraził słowami jego myśli:

— To będzie bardzo długa podróż, dzieci. Kardynał powiedział waszej babci, że to gdzieś w Pirenejach. A to naprawdę bardzo daleko. I cały czas w siodle.

— Świetnie! — wykrzyknął Villemann.

— Ale czy nie powinniśmy zabrać ze sobą powozu? — wtrącił Erling. — Nie wiemy, czy Tiril nie będzie go potrzebować. A przy okazji dzieci mogłyby w nim podróżować.

Taka obraza wywołała gwałtowne protesty malców. Oboje wykrzykiwali, że mają przecież własne wierzchowce, a powozy to są dla starszych dam.

— Masz na myśli mnie, Villemannie? — zapytała Theresa z uśmiechem.

— Co? Nie, babciu, coś ty! Przecież nie jesteś żadną starszą damą!

Theresa uścisnęła go.

— Jesteś nieznośny, Villemannie!

Dolg patrzył na swoje młodsze rodzeństwo.

— Ja też chciałem zaproponować, byście z nami pojechali, ale nie zdążyłem. I bardzo się cieszę, że jedziecie. Potrzebuję waszego towarzystwa.

— Jesteśmy z tobą, możesz na nas polegać — oświadczyła Taran głosem zdławionym z dumy. — Teraz możesz się czuć całkiem bezpieczny.

Rozdział 11

Stanoło więc na tym, że jadą wszyscy. Dwaj dworscy ludzie, którzy podróżowali z Erlingiem i Dolgiem do Graben, z radością zostali w domu. Mieli rodziny, które z niecierpliwością wyczekiwały ich powrotu i nie chciałyby znowu się z nimi rozstawać.

Zamiast nich włączono do grupy dwóch bardziej żądnych przygód służących. Byli to bracia, silni i odważni. Może nawet trochę za bardzo odważni, niekiedy nawet skłonni do ryzyka. Móri i Erling obiecali sobie, że będą ich trzymać w cuglach, żeby nie doszło do jakichś niespodzianek.

Tak więc następnego dnia przed południem spora gromadka jeźdźców opuszczała Theresenhof. Móri, Erling, Theresa, trójka dzieci z Nerem (on oczywiście nie konno), czterej gwardziści cesarza oraz dwaj służący. Stara służąca księżnej została w domu, ale kogoś do pomocy w drodze księżna musiała mieć, zabrała więc młodą pokojówkę Edith. Czternaście osób, osiemnaście koni, z których trzy niosły bagaże, a jeden był przeznaczony dla Tiril. Do tego wszystkiego pies. Oraz... Nie należy o tym zapominać: niewidzialni towarzysze Móriego. Oni też byli z nimi, zarówno Nauczyciel, jaki Duch Zgasłych Nadziei, Pustka, Hraundrangi-Móri, Woda i Powietrze, Eliveva — opiekunka Dolga, i wiele innych duchów opiekuńczych wyruszających w drogę z ludźmi.

Tyle tylko że ludzie ich nie widzieli. Wyczuwali ich obecność i tym razem nie budziła w nich lęku, wszyscy wiedzieli już, czego duchy mogą dokonać i jak wielką pomoc mogą stanowić. Dwaj służący podjechali do Dolga, by zapytać, jak wyglądają ich duchy opiekuńcze, najpierw byli trochę skrępowani, ale kiedy Dolg w sposób bardzo naturalny wytłumaczył im, że to kobiety, odetchnęli z ulgą, a także lekkim podnieceniem. Czuli się teraz dużo bezpieczniej. Po chwili również gwardziści chcieli się dowiedzieć, jak wyglądają ich duchy opiekuńcze.

Dolg pragnął komuś powiedzieć, jak bardzo brakuje mu Cienia.

Tak, orszak musiał wyglądać imponująco, chociaż powóz zostawili w domu. Wydawało się, że łatwiej i szybciej będzie się posuwać bez niego. Nikt nie wiedział przecież, jakie drogi czekają ich na południowym zachodzie.

Theresa była uszczęśliwiona i przejęta tym, że może również jechać. Dręczący niepokój o Tiril nie opuszczał nikogo, tak zresztą było od chwili, kiedy Tiril znik-

nęła. Mimo jednak tego bolesnego zmartwienia wokół księżnej działa się wciąż wiele podniecających rzeczy.

To, co do tej pory przeżyła, jeśli chodzi o romantyczną stronę życia, nie było specjalnie budujące. Romans we wczesnej młodości, którego wspomnienie podtrzymywało ją na duchu przez lata pozbawionego uczucia małżeństwa. Kiedy się okazało, że i tamta młodzieńcza miłość miała bardzo niepewny grunt, nie pozostało jej właściwie nic.

Dlatego teraz serce rozsadzała jej głęboka radość. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że pięćdziesięcioletnia kobieta może jeszcze marzyć o miłości! Że widok bliskiego sercu człowieka może budzić takie wibracje w całym ciele.

Kiedy jechali przez doliny Kärnten, raz po raz spoglądała ukradkiem na Erlinga. Co on czuje?

Wiedziała, że na pewno odczuwa łączącą ich głęboką więź. Wzajemne zrozumienie, zwłaszcza że oni oboje byli zwykłymi duszami pośród niezwykłych.

Ale czy z jego strony to była tylko przyjaźń, czy może... coś więcej?

Trudne w tej sytuacji było też to, że to ona musiała, wykazać inicjatywę. Była księżną, a on nawet nie pochodził ze szlacheckiego rodu. Ta myśl dręczyła ją nieznośnie. Wiedziała teraz, jak trudno jest wielu mężczyznom ubiegać się o rękę swojej wybranki. Jak muszą się bać odrzucenia. Ona sama najbardziej lękała się tego, że zobaczy w oczach Erlinga lodowaty chłód.

Z drugiej strony wiedziała, że inicjatywy Erlinga spodziewać się nie może. Był na to człowiekiem zbyt dobrze wychowanym, zbyt dobrze wiedział, co wypada.

Co w takim razie mogła zrobić?

Nic, to smutna prawda, ale prawda.

W ciągu pierwszych dni zajechali daleko. Dzieci były dzielne, pod wieczór zdawały się co prawda zmęczone, ale żadne się nie skarżyło. Nawet Taran, która zawsze potrafiła odegrać wielką scenę z byle powodu. Ukąszenie owada mogła na przykład dramatycznie przeżywać przez wiele godzin.

Teraz pewnie się bała, że zostanie odesłana do domu.

Gorzej jest chyba z Dolgiem, martwiła się Theresa. Ledwo zdążył się trochę przespać po jednej długiej i niebezpiecznej wyprawie, a już zaczynała się nowa. Nie było w porządku z ich strony narażać to dziecko na takie trudy. Wszyscy jednak bardzo chcieli jak najszybciej odnaleźć Tiril, trzeba było wybierać mniejsze zło.

Taran podjechała do babki na swoim gniadym koniu.

— No i jak ci idzie, moje dziecko?

— Świetnie! — odparła dziewczynka. — Nic mi nie jest t nie robię chyba żadnych błędów.

— Bardzo dobrze — pochwaliła księżna.

Rozejrzała się po okolicy i zawołała do jadących przodem:

— Powiedzcie mi, czy my nie jesteśmy gdzieś w pobliżu Feldkirch?

— Owszem, właśnie tam dojeżdżamy — odparli Erling i Móri, którzy tę drogę pokonywali ostatnio wielokrotnie.

— Ja mam tutaj krewnych, kuzyna ze strony matki. Kiedyś byliśmy bardzo zażyjni, potem zawarliśmy małżeństwa i nasze drogi się rozeszły. Może moglibyśmy zostawić u nich bliźniaki, one są już bardzo zmęczone i... Nie, zresztą nic! Ale ja jestem okropnie głodna! Czy moglibyśmy się tutaj zatrzymać?

— Dzięki ci, Thereso — odetchnął Erling z ulgą. — Nie miałem odwagi sam tego zaproponować.

Okazało się zaraz, że wszystkim dokucza głód. Rozsiedli się więc pod jakimś drzewem i służba zabrała się do przygotowania kolacji.

— O ileż przyjemniej się podróżuje, kiedy jesteś z nami Thereso. — powiedział Erling z uśmiechem. — Dziękuję, że chciałaś się z nami wybrać.

Roześmiała się w odpowiedzi.

— Dzieci — zwróciła się do wnuków — musicie bardzo dokładnie obejrzeć sobie Feldkirch! To cudowne miasteczko. Człowiek czuje się tam, jakby się nagle przeniósł w średniowiecze. A nad miasteczkiem wznosi się Schattenburg.

Dolg potrząsał głową i śmiał się.

— Czyście wy zwrócili uwagę, ile my ciągle ostatnio widzimy starych zamków?

— A i tak nie poznaliśmy nawet połowy — wtrącił Móri. — Ale uważam, że ta sprawa ma jakiś związek z Zakonem Świętego Słońca. Rycerze zakonu często bywali właścicielami zamków, a już zwłaszcza wielcy mistrzowie. Pewnie dlatego nieustannie wpadamy na jakieś zamczyska lub ponure ruiny.

— Chyba masz rację — przyznała Theresa. — Ja sama zostałam wychowana w pańskiej siedzibie, więc dla mnie to nie jest nic dziwnego, choć dla was to rzeczywiście musi być zaskakujące.

Móri popatrzył w dal.

— A i tak jeszcze nie widzieliśmy tego najstraszniejszego zamczyska.

— Daj spokój, Móri — upomniał go Erling. — Nigdy nie będziesz miał dość? Jeden z gwardzistów podszedł z szacunkiem do rozmawiających.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, ale mam wrażenie, że jesteśmy obserwowani. Proszę tam teraz nie spoglądać, to na wzgórzu po lewej stronie...

Jedno po drugim zerkali ukradkiem we wskazanym kierunku.

— Znowu on — bąknął Erling. — Siedział w ostatniej gospodzie i przyglądał się nam bezceremonialnie.

— Widziałem go, kiedy jechaliśmy przez ten ostatni lasek — dodał młody chłopiec, Bernd. — Posuwał się za nami, ale widocznie nie chciał się za bardzo zbliżyć.

Taran zapytała:

— Czy to ten w wysokiej, futrzanej czapie z czubem, teraz w lecie, i w takim obramowanym futrem... no w takim...

— W pelerynie — uzupełniła Theresa. — Długi płaszcz bez rękawów nazywa się peleryna.

— Wygląda jak rosyjski bojar — zauważył Erling.

— Moim zdaniem to raczej Żyd — powiedziała Theresa. — Rosyjscy bojarzy raczej rzadko wędrują po Austrii.

— Czy to ten o spiczastym nosie, długiej brodzie i sumiastych wąsach? — zapytał Villemann. — Ja też go widziałem.

— Ciekawe, czego on może od nas chcieć — zastanawiała się Theresa. — Trochę to nieprzyjemne, być w ten sposób prześladowanym.

— On nie jest niebezpieczny — oświadczył Dolg spokojnie. — Nie chce nam zrobić nic złego.

— No to w takim razie trzeba iść i zaprosić go do nas — stwierdziła księżna stanowczo. — Poczestujemy go kolacją, z pewnością jest głodny.

Nigdy jednak nie mogła pojąć, jakim sposobem Dolg może tak z daleka ocenić, czy człowiek jest dobry, czy zły.

Erling z jednym z gwardzistów pojechali w stronę wzgórza. Reszta podróżnych patrzyła, jak obcy człowiek odskoczył najpierw w tył i mocniej ściągnął lejce swego konia, ale nie odjechał. Widzieli, że Erling wita się grzecznie, rozmawiali przez chwilę, następnie obcy uklonił się i ruszył za Erlingiem.

— Przyjmijmy go uprzejmie — powiedział Móri. — Dolg ma chyba rację, on nie jest niebezpieczny.

— W gospodzie to nic nie jadł — poinformowała Taran.

— Nieustannie tylko patrzył na mnie i na Villemanna. Myślę, że to biedny żebrak, którego trzeba nakarmić.

— Nie, żebrakiem na pewno nie jest — zaprotestowała Theresa. — Jest w nim jakaś wielka godność. No dobrze, już tu są.

Wstali, żeby przywitać nowo przybyłego. Jeden ze służących zajął się koniem, a nieznajomy z rękami wsuniętymi w szerokie rękawy kaftana kłaniał się uprzejmie. Nie był to człowiek młody i nawet już nie w średnim wieku, miał w sobie coś władczego.

— Zwróciliśmy uwagę, że pan nas obserwował — rzekła księżna spokojnie. — Prosimy na kolację, a przy okazji zechce nam pan wytłumaczyć, czym zwróciliśmy pańską uwagę.

Wszyscy usiedli znowu, obcy również. Poczestowano go jedzeniem, a on wyjaśnił:

— Jesteście państwo orszakiem, w którym podróżuje wiele budzących uwagę osobistości. Przede wszystkim wasza wysokość, ale i wielu innych. Najbardziej jednak interesują mnie te dzieci...

— Tak, to jasne — przyznała Theresa. — Dolg nie jest zwyczajnym chłopcem. Ale czy pan sobie czegoś od nas życzy?

— Chciałbym państwa ostrzec — oznajmił nieznajomy. — Przyjechałem dzisiaj z północy. Otóż przed paroma dniami, niedaleko stąd, spotkałem złych ludzi. Najpierw nie zwróciłem uwagi na ich rozmowę, bo mnie to przecież nie dotyczyło. Dopiero po kilku godzinach, kiedy zobaczyłem państwa w gospodzie, skojarzyłem sobie różne sprawy. Nie do końca, rzecz jasna, i dlatego nie miałem odwagi wprost się do państwa zwrócić.

— Proszę nam opowiedzieć o tych złych ludziach — poprosił Móri. — Ale najpierw chcielibyśmy poznać pańskie nazwisko i czym się pan zajmuje. . .

Obcy popatrzył na niego swymi ciemnoniebieskimi oczyma.

— Byłem rabinem — oznajmił. — Ale teraz zwróciłem się ku mistycyzmowi. Państwo wiedzą z pewnością, że my, Żydzi, mamy długą tradycję, jeśli o to chodzi.

— Tak — potwierdził Móri. — Kabała, hasydyzm, Haggada, nieznanne Księgi Mojżeszowe. . .

— Widzę, że pan jest bardzo wykształcony — rzekł rabin z uśmiechem. — Ale to zauważyłem od razu. Moje imię brzmi Etan, a historia, którą mam do opowiedzenia, jest następująca: Ludzie, których rozmowę podsłuchałem, przybyli z zachodu. Są w drodze do domu po wypełnieniu ważnego zadania. Odwozili do Francji pewną kobietę i tam oddali ją innym, bowiem ona najwyraźniej miała być przewieziona dalej. Zrozumiałem z tego, że mężczyźni, o których opowiadam, towarzyszyli jej jedynie w podróży. Z rozmowy wynikało, że kobieta była więźniem i pilnowano jej przez całą drogę. Ona pochodzi z waszego rodu, księżno.

— Tiril — szepnęła Theresa.

— Tak, oni wymieniali takie imię. I imię księżnej pani również, dlatego skojarzyłem to sobie, kiedy państwa spotkałem.

Wszyscy milczeli spoglądając na siebie nawzajem.

— Ilu było tych ludzi? — zapytał Móri bezbarwnym głosem.

— Czterech.

— Dokąd wieziono moją żonę?

— Tego się nie dowiedziałem. Myślę, że oni nie wymieniali żadnej nazwy.

Erling wyprostował się.

— Rabinie Etan. . . Wyświadczył nam pan wielką przysługę. Jedziemy właśnie na ratunek córce księżnej, Tiril, która jest moją przyjaciółką z młodych lat, żoną pana Móriego i matką tych dzieci. Gdyby zechciał pan jeszcze dzisiaj wieczorem pokazać nam drogę do miejsca, w którym zatrzymali się ci ludzie, byłibyśmy panu bardzo wdzięczni.

— Chętnie to uczynię, ale zaczekajmy do rana. Mamy czas.

— To dobrze, bo wszyscy potrzebujemy wypoczynku. Zaraz jednak pojawiły się kłopoty. Móri w żadnym razie nie chciał zabierać dzieci na spotkanie z ludźmi,

którzy mogli zachowywać się gwałtownie. Dolga tak, bo on posiadał tajemniczą siłę, ale jeśli chodzi o bliźniaki, to powinny być jakieś granice! Nigdy w życiu nie zmieni tej decyzji, upierał się.

— Ale przecież nie możemy ich tak po prostu zostawić tutaj w Feldkirch — protestował Erling. — Nawet gdyby Theresa i ktoś ze służących z nimi zostali, to i tak w obcym mieście są narażone na wielkie niebezpieczeństwo. W gospodzie może ich spotkać Bóg wie co.

— Zabrać ich nie możemy, to jeszcze bardziej niebezpieczne, a poza tym potrzebujemy na to spotkanie wszystkich naszych ludzi — westchnął Móri.

— Wiem, wiem — mruczał Villemann ponuro. — Ja i Taran, babcia i Edith zawsze przeszkadzamy, zawsze jesteśmy niepotrzebni, jak dzieje się coś pełnego napięcia.

Rabin przyglądał im się spod na wpół przymkniętych powiek. Taran otwarcie podziwiała pelerynę rabina. Szepnęła do Dolga, że nigdy jeszcze nie spotkała tak interesującego człowieka. Rabbi Etan zwrócił się powoli ku niej i uśmiechnął się zamyślony.

Wszyscy widzieli, że księżna jest bardzo przygnębiona tym, że nie będzie mogła jechać z innymi i nieprędko dowie się czegoś więcej o Tiril.

— Wasza wysokość — powiedział rabin. — Mówiła pani, że ma krewnych w pobliżu Feldkirch. Może dzieci mogłyby zostać u nich?

Twarze dzieci posmutniały, ale księżna się uśmiechnęła.

— Mój kuzyn, oczywiście! Ernst von Virneburg! Byliśmy kiedyś dobrymi przyjaciółmi. Myślę, że dzieci będą mogły tam pozostać, dopóki my nie wrócimy. Nie wiem tylko, gdzie się znajduje jego siedziba.

— Ja znam rodzinę von Virneburg — oznajmił rabin łagodnym głosem. — To niedaleko stąd. A poza tym będzie po drodze, bo to w tym samym kierunku, w którym później pojedziemy.

— Świetnie — ucieszył się Móri.

— Tylko jedno zastrzeżenie — rzekł rabin Etan. — Baron Ernst nie żyje. Teraz jego syn, Albert, jest właścicielem dworu.

— Alberta to ja prawie nie pamiętam — powiedziała księżna nieco spłoszona. — Jest ode mnie tyle młodszy.

— O ile wiem, to on ma dzieci — dodał rabin. — I chyba właśnie w wieku tych dwojga, więc się może nawet dobrze składa. Jego żona jest trochę chorowita, trochę neurotyczka, pokazuje się rzadko. Myślę jednak, że dzieci będą tam mogły spędzić bardzo miły dzień.

— A jeżeli wy nie wrócicie? — zaniepokoił się Villemann.

— Wrócimy jutro wieczorem, możesz mi wierzyć — zapewnił go ojciec.

Twarz chłopca wyraźnie wskazywała, jak bardzo czuje się dotknięty. Po chwili powiedział do Dolga:

— Dlaczego ja nie mam twoich zdolności? Wtedy zawsze moglibyśmy być razem, ty i ja.

— I ja z wami — przyłączyła się Taran.

— Nie sędzę, żeby Dolg tak bardzo się cieszył z tych swoich zdolności — wtrąciła Theresa łagodnie.

— Ale jemu wolno wszędzie być — upierał się Villemann i na jego zwykle takiej pogodnej buzi chłopca malowało się przygnębienie.

Dolg ujął ukradkiem jego rękę.

— Ja bym bardzo chciał, żebyście mogli z nami być, Villemann. Naprawdę bardzo bym chciał.

— Dorośli niczego nie rozumieją — mruknął malec ze złością.

— Teraz już naprawdę dość, Villemann — przerwał mu Móri. — Staramy się robić wszystko, co dla was najlepsze.

W momencie kiedy zawstydzony Villemann spuszczał wzrok, napotkał spojrzenie rabina. Tylko na ułamek sekundy, ale mógł w nim wyczytać pociechę. Choć akurat teraz nic nie było w stanie pocieszyć Villemanna.

Taran się nie odzywała. Pewnie wiedziała, że to się na nic nie zda. Ale zdecydowanie nie miała ochoty spędzić całego dnia u obcych ludzi.

Villemann także nie miał na to ochoty.

Chłopiec obudził się o świcie w gospodzie w Feldkirch. Wstał cichutko z łóżka i podszedł do okna. Jego maleńki pokój znajdował się na piętrze, tak że Villemann miał widok na ulicę z małymi domkami, w których po zewnętrznej stronie wszystkich okien było mnóstwo skrzynek z kwiatami, i ze sklepikami o pięknych szyldach — złote litery na ciemnozielonym albo niebieskim tle. Ulica była brukowana i miała rynsztok do odprowadzania deszczowej wody, a kiedy Villemann podniósł wzrok, zobaczył wyłaniające się z porannej mgły dachy zamku Schattenburg.

Musiało być jeszcze bardzo wcześnie, bo nie słyszał żadnych głosów na dole, ani w gospodzie, ani w miasteczku.

Villemann włożył na siebie trochę ubrania i wymknął się z pokoju.

Drzwi skrzypnęły. Po chwili skrzypnęły także schody, a kiedy znalazł się na dole, zbiegła za nim Taran. Usłyszeli, że Nero drapie w drzwi w pokoju Dolga, ale nie odważyli się go wypuścić.

— Gdzie idziesz? — zapytała Taran.

— Nigdzie, nie mogę spać.

— Ja też nie.

Udało im się otworzyć ciężkie drzwi wejściowe i włożyli kawałek drewna pomiędzy drzwi a futrynę, żeby się za nimi nie zatrzasnęły. Mieli nadzieję, że nikt nie będzie na razie tędy przechodził.

Odgłos ostrożnych kroków odbijał się od ścian.

— Jak miło być tak wcześnie rano na dworze, i to w obcym mieście — powiedziała Taran zachwycona. — My przecież nigdy nigdzie nie jeździmy, bo dorośli mówią, że za granicami Theresenhof natychmiast na nas napadną ludzie kardynała.

Jej słowa sprawiły, że Villemann obejrzał się spłoszony. Ale żaden ponury rycerz zakonny nie czał się za narożnikami domów.

— To takie niesprawiedliwe — rzekł Villemann.

— Pewnie, że tak — potwierdziła Taran.

— Nie musi wam być przykro, moje dzieci — odezwał się głęboki głos i bliźniaki podskoczyły przestraszone. Mijali właśnie niewielki ogród, a w jego furtce stał rabin.

— Wejdźcie do środka — zapraszał. — Wejdźcie do mojego ogródka, w którym uprawiam zioła, i posłuchajcie porannego śpiewu ptaków!

— Śpiewu? Przecież tu jest tak cicho — zdziwiła się Taran.

— Wcale nie. Wejdźcie, proszę!

Przytrzymał furtkę, żeby mogli przejść.

— Ty tutaj mieszkasz? — zapytał Villemann, lekceważąc etykietę.

— Czasami. Ja mam wiele domów. Dużo podróżuję. Usiądźcie na chwilę. Chcielibyście się czegoś napić?

— Nie, dziękujemy — odparła Taran, kiedy wycierali z porannej rosy ławeczkę przy stole w bardzo wygodnie urządzonej ogródki. Trochę czasu zeszło im na wsłuchiwanie się w odgłosy, określaniu zapachów przypraw i pytaniach o nazwy kwiatów. Potem rabin zmienił temat i zaczął z nimi rozmawiać o Dolgu.

— On jest czarnoksiężnikiem, tak samo jak tata — wyjaśnił Villemann. — Obaj są bardzo zdolni.

Rabin kiwał głową. Sam się tego domyślał.

— Oni się tacy urodzili — tłumaczył dalej Villemann. — Zaraz po urodzeniu mieli takie znaki czy też znamiona czarnoksiężników na ciele. To później zanika. Ale ja nie miałem niczego.

— A ja mam myszkę na nodze — pochwaliła się Taran.

— Głuptasie, to przecież zupełnie zwyczajna myszka — obruszył się brat.

Rabbi Etan wciągnął powietrze.

— Wiecie co, dzieci? Wprawdzie nie urodziłyście się magikami, ale wy też mogłybyście się czegoś nauczyć.

— Ja próbowałem — westchnął Villemann zrezygowany. — To nie działa.

— Możliwe, ale ja mógłbym was nauczyć czegoś, czego — jestem tego pewien — ani wasz tatuś, ani brat nie znają.

— Naprawdę? Znasz coś takiego? — zawołał Villemann rozpromieniony.

— Villemann, nie wolno mówić „ty” do dorosłych, dobrze o tym wiesz — upomniała go siostra.

— Nic się nie stało — powiedział rabin dobrodusznie. — Daję wam na to moje pozwolenie. Ale zaczekajcie tutaj chwilkę, zaraz przyniosę coś, czego może chcielibyście się nauczyć.

Wszedł do małego domku. Dzieci spoglądały na siebie roześmiane. Wspaniale! Nadzwyczajnie!

Rabin wrócił.

W jakiś czas później dzieci siedziały nad zwojem pergaminu i były bogatsze o wiele umiejętności.

— No to powtórzmy wszystko jeszcze raz, ostatni — zaproponował uczony człowiek, a tymczasem mgła nad zamkiem Schattenburg zdążyła się rozrzedzić. — Zaczynamy od początku. Villemann, ten znak oznacza więc... no właśnie, co to oznacza?

— To jest Osiemnasta Tablica, Tablica Słońca — powiedział chłopiec z zapamiętaniem. — To pomaga na... eech... Nie, Taran, ja to umiem! O, wiem, to pomaga przy honorowych zadaniach. A duchy tej tablicy zapewnią mi również dopływ srebra, złota i kosztowności. To z honorowymi zadaniami to mi się bardzo podoba, ale złoto i kosztowności mnie nie interesują!

— Tak mówią tylko ludzie, którzy nigdy nie posmakowali goryczy ubóstwa. Pieniądze same w sobie nic nie znaczą, z wyjątkiem sytuacji, kiedy się ich nie ma. Zapamiętajcie to sobie, dzieci, bieda człowieka nie uszlachetnia. Prowadzi jedynie do zazdrości, dręczących zmartwień, niszczy małżeństwa i upokarza. Bo to człowiek sam może być szlachetny, a nie cierpienie czy jego konsekwencje. Trzeba być niewiarygodnie silnym, by przez wiele lat znosić cierpliwie i niedostatek. Ale popatrzcie teraz bardzo uważnie na tę Osiemnastą Tablicę, byście nauczyły się na pamięć zapisanego na niej tekstu i rozpoznały ją natychmiast, gdy będzie wam to potrzebne.

Pokazał Villemannowi tablicę.

— I proszę tekst, Villemann. Na pamięć, chciałbym usłyszeć!

— Villemann zaczął recytować:

„Ja, Jon Wilhelm Filip, syn Móriego, zaklinam cię przez Wrje Dalia, Ika Doluth przez Auet, Dilun przez Beal. Anubin przez Meho Ixfan przez Ymij Eloi tak, że będziesz musiał przyjść do mnie tak samo jak Zebaoth, którego wymienił Mojżesz, i wszystkie rzeki Egiptu zostaną przemienione w krew”.

Chłopiec miał zmierzwione włosy, a w jego wzroku można było wyczytać pragnienie pochwały.

— Bardzo dobrze!

Villemann uśmiechał się zadowolony.

— Mnie bardziej interesuje Tablica Dziewiąta — powiedziała Taran.

— Chętnie w to wierzę, mała panienko. Ale piękna krynolina i wielka pewność siebie... nie, nie, to wcale nie zła cecha. Nieśmiałość i powściągliwość to wspaniałe cnoty, ale daleko się na tym nie zajdzie. Bez pewności siebie człowiek jest narażony na wiele niepotrzebnych cierpień. Bardzo dobrze, przesłucham cię z Dziewiątej Tablicy. Tablica Venus sprawia, że człowiek jest wciąż kochany i otrzymuje we śnie różne tajemnice. Duchy tej tablicy niosą pomoc we wszystkich działaniach. Tę tablicę powinnaś zapamiętać.

Teraz więc była kolej na Taran, by z pamięci wyrecytować tekst tablicy:

„Keta Kjimah, Yamb, Yheloruvesophijael, wzywam cię przez ducha Avela z pomocą Boga Tetragrammatona, przez Uhal Pomatiachina tak, byś musiał słuchać moich rozkazów tak samo jak przez imię Eserchejena, który jest wspomniany przez Mojżesza, w następstwie czego grad spadł taki gwałtowny, jakiego nie znano od samego początku. Fiat, Fiat, Fiat.”

Odetchnęła uradowana. Z wyjątkiem trudności w wymówieniu „Yheloruvesophijael”, poradziła sobie znakomicie.

Rabin chwalił oboje za żywy umysł i znakomitą pamięć. Potem rzekł w zamyśleniu:

— Wydaje mi się, że powinniście też poznać Pierwszą Tablicę Świata Duchów Atmosfery. Jeśli przyswoicie sobie tę tablicę, duchy będą gotowe wam pomagać, gdy tylko o nich pomyślicie. I wtedy zostaniecie uwolnieni od wszelkiego przymusu.

— Ja mogę się nauczyć na pamięć wszystkich dwunastu tablic — oświadczył Villemann. — To żadna sztuka.

Rabbi Etan uśmiechnął się.

— Co byś powiedział na taką, która zapewnia powodzenie w grach i kłótniach? Wiele z tych tablic odnosi się do niegodnych ziemskich pożytków, takich jak przyciąganie do siebie bogactwa albo zwycięstwo w sporach. To naprawdę niegodne.

— No ale ta dwunasta? Czy ona nie jest najsilniejsza ze wszystkich?

— Owszem, i tej nie możecie dostać. Jesteście za młodzi na to, by się nią posługiwać. To jest tablica Schemhamforaschina, dla wszystkich duchów. Zarówno tych w służbie Światła, jak i Ciemności. Ale teraz posłuchamy, czy zapamiętaliście Pierwszą Tablicę.

Rabin uniósł tablicę w górę.

— Tekst jest dość niejasny — powiedziała Taran. — Zwłaszcza że został umieszczony w różnych rubrykach.

— No to narysujcie ją!

Taran zabrała się do rysowania z pomocą niecierpliwącego się Villemanna:

Jehowa	Deus
Ojciec	Schadday
Deus	Eead
Adonay	Zaklinam cię
Elohe wzywam cię przez Jehowę	przez Adonaya

— Bardzo dobrze — pochwalił rabin kiwając głową. — Teraz już umiecie. Wracajcie do gospody, zanim inni się pobudzą i zaczną się zastanawiać, gdzie się podziewacie. A tu, proszę, kartki z waszymi rysunkami, rulon pergaminu zostanie u mnie. Zobaczmy się niedługo.

— Tak, bo chyba pojedziesz z nami do tego, jak się to nazywa?

— Ja tylko pokażę drogę. I pamiętajcie o jednym: to jest nasza tajemnica!

— Nikomu o niczym nie powiemy — obiecała Taran z taką śmiertelną powagą na swojej anielskiej buzi, że rabin z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

— Ani słowa! — potwierdził Villemann głosem drżącym z podniecenia. — Teraz to my umiemy czarować!

— No właśnie — przyznał rabin. — I miejcie oczy i uszy otwarte!

Obiecowali z zapałem, nie do końca wiedząc, wobec czego mają zachowywać tę specjalną czujność.

Potem podskakiwali i tańczyli na ulicy ze swoimi tajemniczymi tablicami dobrze ukrytymi pod ubraniami.

Rabin patrzył w ślad za nimi rozradowanym wzrokiem. Potem wyraz twarzy uległ zmianie, stała się ona lodowato zimna, jak wyrzeźbiona w kamieniu.

Rozdział 12

Rezydencja barona von Virneburg znajdowała się na północ od Feldkirch. Był to wspaniały dwór, zbyt może mały, by zasługiwać na miano pałacu, ale na tyle wytworny, że budził powszechną uwagę. Pańska siedziba, to z pewnością najodpowiedniejsze określenie.

Główny budynek sprawiał wrażenie stosunkowo nowego i kiedy cały liczny orszak jeźdźców zbliżał się do bramy, rabin wyjaśnił:

— Niedaleko stąd znajdował się zamek, to był niegdyś Virneburg, ale mieszkało się tam nie bardzo wygodnie, więc wybudowano ten dom.

— Bardzo rozsądnie — stwierdziła Theresa. — Ja wiem wszystko o tych pełnych przeciągów starych zamczyskach, niewygodnych i ponurych, gdzie nieustannie ze ścian kapie woda.

Rabin Etan tutaj miał ich opuścić, musi wracać do Feldkirch, tłumaczył, ale otrzymali dokładne informacje, jak odnaleźć tych ludzi, którzy odwozili Tiril do francuskiej granicy. Poza tym, jak mówił, nie jest zbyt chętnie widziany w Virneburg. Rodzina jest bardzo katolicka, on zaś jest żydowskim rabinem.

Tu Theresa musiała zaprotestować. Ona też jest wierną katoliczką, a przecież zaakceptowała go od pierwszej chwili.

— Nie wszyscy są tacy tolerancyjni jak pani, wasza wysokość — odparł rabin, spoglądając na nią spod grzywki. — Gdy tylko panią zobaczyłem, wiedziałem, że pani jest kimś wyjątkowym, znacznie wyprzedzającym swój czas, jeśli chodzi o stosunek do ludzi z innych warstw społecznych. W wychowaniu dzieci także nie jest pani zbyt surowa.

Theresa patrzyła na niego zakłopotana.

— Mam to przyjąć jako komplement czy raczej jako upomnienie? — roześmiała się nerwowo.

— Ja chciałem powiedzieć komplement. A teraz żegnam państwa i życzę powodzenia!

Zawrócił konia i odjechał.

Móri patrzył w ślad za nim zamyślony. Dolg, który stał przy ojcu, powiedział cicho:

— Myślałem, że rabin to tytuł, który już dawno wyszedł z użycia.

— Na określenie człowieka uczonego w piśmie? Ja też tak myślałem — potwierdził Móri. — Wiesz, Dolg, ten człowiek jest tak samo Żydem jak ja.

— Dlaczego tata tak myśli?

— Zwróciłem uwagę na to, co on jadł w gospodzie, i wczoraj, i dzisiaj. Żydzi mają bardzo surowe przepisy, jeśli chodzi o jedzenie, a rabin zupełnie się tym nie przejmował.

— On ma niebieskie oczy.

— Tak. Taran i Villemann są nim najwyraźniej zachwyceni. On zresztą także odnosił się do nich wyjątkowo uprzejmie. Chyba nie będziemy niczego dociekać, Dolg. Niech sobie żeglują pod fałszywą flagą!

Dolg nie był całkiem zadowolony.

— Wygląda na to, że moje rodzeństwo i rabin mają jakieś wspólne tajemnice.

— Naprawdę? Jakoś nie zwróciłem na to uwagi. Ale skoro ty tak mówisz! No cóż, on już odjechał, więcej go nie spotkamy! Dolg, wiesz, ja myślę... Że nie ma potrzeby, żebyś jechał z nami do dworu... .

Chłopiec uśmiechnął się ze smutkiem.

— Wiem, ojczu. Wiem przecież, jak ludzie reagują na mój widok.

— Ja miałem na myśli twoje dobro, nie ich.

— O tym wiem również. Zostanę tutaj z Nerem.

— Bardzo dobrze. Gwardziści i służba będą z tobą. Zresztą i ja bym najchętniej został z Wami.

Pogoda była niepewna. Świeciło wprawdzie słońce, ale nad horyzontem zbierały się ciemne chmury. Móri miał nadzieję, że nie zacznie padać. Bez powozu bardzo trudno jest się chronić przed niepogodą.

Taran i Villemann spoglądali na pańską siedzibę rozłożoną na zboczu niewysokiego wzgórza. Następnie niezadowoleni popatrzyli po sobie. Więc to tutaj mieli spędzić cały dzień, a może nawet i noc, gdyby reszta orszaku wróciła zbyt późno.

Narzucać się ludziom, którzy może w ogóle nie będą chcieli na nich patrzeć!

Zostali jednak przyjęci bardzo dobrze przez pana domu, barona von Virneburg, który co prawda z początku był nieco zaskoczony, ale potem rozpromienił się słysząc tytuły Theresy i uświadamiając sobie jej koligację z cesarzem.

— O, tak, droga Thereso, przecież już się kiedyś spotkaliśmy — wołał uprzejmie. — Tylko że ja byłem wtedy bardzo mały, więc mnie chyba nie pamiętasz.

Czy on naprawdę musi mi wypominać mój wiek, oburzyła się w duchu Theresy i jej szacunek dla dalekiego kuzyna wyraźnie się zmniejszył.

Jestem przewrażliwiona baba, pomyślała z niechęcią do samej siebie.

Małżonka barona zeszła łaskawie do salonu, żeby się przywitać. Ubrana na biało, z włosami blond starannie ufrizowanymi w długie francuskie loki, spływające do ramion. Skórę miała przezroczystą, a rękę tak szczupłą, że Taran, która

ścisnęła ją mocno, przestraszyła się, że ją zmiążdży. W każdym razie chrupnęło ostrzegawczo.

Pani uśmiechnęła się blado do obcej dziewczynki z wyrazem mężnie znoszonego cierpienia w niebieskofioletowych oczach.

Wydaje jej się pewnie podobna do niezdarnego żołdaka, pomyślała Taran gniewnie, ale zaraz zauważyła, że babcia przeżywa to samo.

— Słyszałam, że państwo mają dzieci w wieku naszych — mówiła księżna po tym, gdy młoda pani uświadomiwszy sobie wysoką pozycję Theresy obiecała, że, oczywiście, dzieci będą się u nich na pewno dobrze czuły. W domu jest mnóstwo służby, która może się nimi zająć.

Głupia gęś, pomyślała Taran ze złością.

Niech to diabli, oburzył się Villemann. Ona chyba myśli, że my jesteśmy jakieś dzidziusie, które potrzebują niańki.

Spłoszony łowił jednym uchem gwałtowny hałas dochodzący z dziedzińca. Nero wdał się w bójkę z miejscowymi psami i Móri z pomocą gwardzistów starał się je rozdzielić.

Młoda pani drżała słysząc ten harmider.

— Tak — odpowiedziała na pytanie Theresy. — Mamy małą córeczkę, ale ona jest chorowita i bardzo wrażliwa. Natomiast wspaniałe dzieci państwa wyglądają bardzo... krzepko. Chyba więc nie warto...

— Nie, Danielle nie powinna się przemęczać — wtrącił jej ojciec. — Mała odziedziczyła słabe zdrowie swojej matki.

— Jaka szkoda — rzekła Theresa. — Ale mnie się zdawało, że państwo mają więcej dzieci.

— Nie, nie — odparli oboje pospiesznie. — Nie, nie, mamy tylko Danielle.

Bardzo trudno było się dzieciom rozstać z całym towarzystwem i zostać w obcym domu.

Z oczywistych powodów nie mogły też zatrzymać przy sobie Nera. Z krwawiącym uchem i bardzo podniecony po bójce został niemal siłą wyciągnięty z dworu. Miejscowe psy, równie podniecone, stały powiązane na dziedzińcu w przekonaniu, że to one zwyciężyły. Jeszcze bardzo długo obie strony czekały na siebie najgłośniejszym jak umiały.

Grupka jeźdźców z uszczęśliwionym do granic ekstazy Nerem zniknęła na skraju lasu w drodze do wsi, gdzie zatrzymać się mieli ci, którzy odprowadzali Tiril do Francji. Oni mogli przekazać jakieś informacje o zaginionej.

Taran i Villemann stali z ponurymi minami przed wejściem.

Pani domu wycofała się do swoich pokoi z dłonią teatralnie przyciśniętą do czoła. Wyjaśniła, że jej nadwrażliwa skóra nie znosi światła. Głośna rozmowa męża z gośćmi udręczyła ją ponad wszelkie wyobrażenie, a bójka psów o mało jej nie doprowadziła do ataku serca.

Baron Albert spoglądał na bliźniaki bez sympatii.

— Dzieci, może byście sobie obejrzały park? Tylko nie podchodźcie za blisko starego zamku! Mury nie są zbyt pewne, mogłyby się zawalić i przysypać was.

Mali goście kiwali głowami. Wobec tego pan baron poszedł szybkim krokiem do powozu i pośpiesznie wsiadł. Interesy, powiedziały. Chociaż naprawdę było to spotkanie w męskim gronie przy paru kufelkach piwa.

Na schodach została młoda służąca, śmiertelnie znudzona, która najwyraźniej czekała na jakieś polecenia.

— Zechciałabyś pokazać nam drogę do parku i do ogrodu? — zapytał Villemann. — Potem nie będziesz już musiała się nami zajmować. My przywykliśmy radzić sobie sami.

Spoglądała na nich niepewnie, wahała się chwilę, ale potem twarz jej się rozjaśniła.

— Naprawdę?

— Oczywiście! — potwierdziła Taran.

— I mogę w tym czasie spotkać kogoś innego?

— Ilu tylko chcesz.

— Wystarczy mi jeden. Uderzę w dworski dzwon, jak będzie czas na obiad — obiecała. — Chodźcie teraz tędy!

Dzieci bawiły się przez chwilę w dziwacznym, na wpół urządzonym parku, ale szybko im się to znudziło. Odkryły drzwi do oranżerii i weszły do środka.

Panował tam przyjemny, stłumiony zapach, ale nie było żywej duszy, wobec tego dzieci poszły dalej, minęły drzwi prowadzące do głównego domu.

— Nikt nie mówił, że nie wolno nam wchodzić do środka — szepnęła Taran.

— Mówili tylko, że zamek jest niebezpieczny. Patrz! Jakie kręte schody na górę!

— Oj, chodź, wejdziemy tam!

Wchodzili po nieskończonej ilości stopni, aż znaleźli się na strychu i wyżej wspiąć się już nie mogli.

Strych był dla nich nieprzebrany skarbcem. Badając go natrafili na pomieszczenie pełne zabawek. Konie na biegunach, lalki, ołowiane żołnierzyki...

— Ołowiane żołnierzyki? — zastanawiał się Villemann. — Dziewczynki się chyba czymś takim nie bawią?

— Może należały do jej taty? Są tu przechowywane z powodów sentymentalnych.

Villemann wziął jednego żołnierzyka i dokładnie obejrzał.

— Nie, są na to zbyt nowe. Przed trzydziestu, czterdziestu laty nie było chyba takich mundurów!

— Chyba masz rację. Ale chodź, zejdziemy na dół, zanim złączą nas szukać!

— Phi! Myślisz, że w ogóle zauważą, że nas nie ma? Zapewniam cię, cieszą się, że się nas pozbyli. Ale przejrzelismy już chyba cały strych, więc...

Zaczęli schodzić na dół, tym razem innymi schodami, ale nie tymi największymi, na to nie mieli odwagi. Wydawało się, że te, które wybrali, prowadzą do

bocznej części domu.

Nie tak znowu bezszelestnie znaleźli się na piętrze, które chyba należało do służby. Panowała tu cisza, wszędzie było pusto, w sumie nic interesującego. Odgłosy z dołu dochodziły stłumione, najwyraźniej wszyscy zajęci byli swoją pracą.

— Idziemy na dół — zaproponował Villemann.

Zrobili zaledwie kilka kroków i nagle u podnóża schodów ukazała się jakaś mała istota, spoglądająca w górę. Chudziutka, mała dziewczynka z bardzo dobrej rodziny. Kiedy napotkali jej wzrok, zaległa głęboka cisza.

Pierwszy ocknął się Villemann. Wspiął się na poręcz schodów i zjechał w dół, a Taran natychmiast poszła za jego przykładem. Wylądowali u stóp dziewczynki, która patrzyła na nich kompletnie przerażona. Nie dlatego, żeby się ich bała, ona była przerażona tym, co zrobili.

Nagle odwróciła się i błyskawicznie przepadła w głębi korytarza. Usłyszeli tylko trzaśnięcie drzwi.

Dzieci pobiegły za nią.

— To musiało być tutaj — szepnął Villemann. — Wchodzimy.

— Powinieneś chyba zapukać i... — zaczęła siostra, ale Villemann już otworzył.

Sypialnia. Mała dziewczynka siedziała na samym skraju łóżka i patrzyła na nich wytrzeszczonymi, pełnymi przerażenia oczyma.

— Dzień dobry — przywitał się Villemann. — Ty pewnie jesteś tą słabowitą Danielle, prawda?

Dziewczynka długo siedziała bez ruchu, a potem skinęła głową sztywno jak lalka.

— Ja mam wiele imion, ale wszyscy nazywają mnie po prostu Villemann — rzekł chłopiec. — A to moja siostra, Taran. Mamy spędzić w waszym domu dzisiejszy dzień, bo czekamy na powrót naszego taty i babci.

Wyciągnął rękę do Danielle, która po chwili wahania ujęła ją wciąż tak samo sztywna. I zaraz uczyniła coś, co ich kompletnie zaszokowało: zsunęła się z łóżka i dygnęła przed nimi głęboko.

Na ten widok nawet Taran oniemiała. W końcu jednak odzyskała mowę.

— Jaką masz piękną sukienkę! Mnie nigdy nie pozwalają się ubierać na białe, bo natychmiast się brudzę. Zresztą ja też wcale nie chcę, to takie męczące przez cały czas uważać i myśleć tylko o tym, żeby nie zrobić jakiejś plamy.

Danielle słuchała jej w zdumieniu. Do tej chwili dziewczynka nie wypowiedziała jeszcze ani słowa.

— Czy nie mogłabyś się z nami pobawić? — zapytał Villemann. — Na przykład w chowanego albo coś takiego. Znasz pewnie tutaj świetne kryjówki.

— Nie można się bawić w chowanego, skoro jest nas tylko troje — kaprysiła Taran. — Ale mogłabyś nam pokazać swoje ulubione miejsca. Z pewnością masz takich wiele.

Nareszcie Danielle otworzyła usta.

— Mnie nie wolno wychodzić na dwór — szepnęła.

— Dlaczego? — zdziwił się Villemann. — Jesteś chora?

— Nie, ale zawsze muszę prosić o pozwolenie. Bliźniaki patrzyły na siebie z niedowierzaniem, po czym Taran wzruszyła ramionami.

— To może mogłabyś mi pokazać swoją szafę? Dużo masz ładnych ubrań?

Wreszcie coś poruszyło Danielle. Podbiegła do wielkiej, ciężkiej szafy i otworzyła ją.

Taran wykrzykiwała „Oj!” i „Och!”, i „To jest nawet piękniejsze od ubrań mojej babci, która jest księżną!”, i w końcu: „Czy mogłabym to przymierzyć?”

Danielle, w której pięknych oczach pojawiła się jakaś nieśmiała radość, znowu się przestraszyła.

— Musiałabym najpierw zapytać o pozwolenie.

— Kogo musisz się tak ciągle pytać?

— Mademoiselle.

— Kto to taki?

— To jest... Mademoiselle.

— To ona decyduje o tym, co masz robić?

— Tak

Villemann wyglądał przez okno.

— Czy ona ma ciemne, wysoko upięte włosy i ciemnozieloną sukienkę? I jest dość młoda?

— Tak, to jest mademoiselle.

To właśnie wychodzi z domu. Idzie z jakimś panem w kierunku miasteczka. Możecie spokojnie przymierzać sukienki.

— A twoja mama? — zapytała Taran.

— Mama nigdy tu nie zagłada.

Bliźniaki zdumione potrząsały głowami.

Danielle była najpierw pełna wyrzutów sumienia, czy wolno jej „się odważyć”. W końcu jednak wyszukała białą sukienkę ślicznie haftowaną w bukietki kwiatów.

— Ta jest największa — pokazała onieśmielona. — Może będzie dla ciebie dobra.

Taran natychmiast wyskoczyła z własnej sukienki, przy czym z kieszeni wypadła jej kartka, którą dostała od rabina. Wszyscy troje pochylili się, żeby ją podnieść.

Danielle jęknęła przerażona. Stała z kartką w ręce, jakby nie mogła się poruszyć.

— Co się stało? — spytała Taran, ponownie wkładając swoją sukienkę.

Na dźwięk jej słów mała dziewczynka, blada niczym ściana, odrzuciła kartkę, jakby się oparzyła.

— To jest niebezpieczne — powiedziała głosem tak smutnym, że serce się krajało. — Czy wy też jesteście niebezpieczni?

— Co? My? — wykrztusiła Taran. — Nie, my byśmy co prawda bardzo chcieli być troszkę niebezpieczni tak jak nasz starszy brat, który tyle potrafi, ale nie, nie jesteśmy ani trochę niebezpieczni, nie ma też w nas niczego tajemniczego.

Danielle wciąż jak zaczarowana wpatrywała się w kartkę.

— On też miał taki papier, a potem umarł.

— Kto?

Dziewczynka zrozumiała, że ujawniła coś niedozwolonego, i zakryła usta dłonią. Oczy miała pełne łez.

Villemann starał się zapanować nad sytuacją.

— Nie chcielibyśmy cię dręczyć, Danielle. I nikomu o niczym nie powiemy ani słowa, ale mojej babci się zdawało, że twoi rodzice mają więcej niż jedno dziecko. To do niego należały te ołowiane żołnierzyki, prawda? Widzieliśmy je na strychu.

— Danielle przełknęła dławiące ją łzy. Odwróciła głowę i zobaczyli teraz, jaki ma piękny profil.

— Mnie nie wolno o nim rozmawiać.

— Dlaczego?

— Maman będzie bardzo smutna. On... on zwariował. I umarł.

— Jakie to straszne — rzekła Taran ze szczerym współczuciem. — Jak miał na imię?

Danielle wahała się. Następnie rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, po czym szepnęła prosto do ucha Taran:

— Rafael.

— Twój brat?

Dziewczynka kiwnęła kilka razy głową.

— Był od ciebie starszy czy młodszy? — zapytał Villemann. On również mówił szeptem, żeby podkreślić, że to wszystko tajemnica, która pozostanie pomiędzy nimi trojgiem.

— Starszy — odparła Danielle. — Miałby teraz dwanaście lat.

— To tak samo jak nasz brat, Dolg — rzekła Taran cicho. — Ale on żyje.

Danielle się rozjaśniła. Choć nadal spłoszona, cieszyła się, że mają coś wspólnego. Dwunastoletniego starszego brata. Stłumiona radość w jej oczach trwała tylko chwilę, wkrótce jednak powróciło poczucie winy i przerażenie.

— Jesteś najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałem — powiedział Villemann przejęty i jak to on, bez zbędnych ceregieli.

Oczy Danielle zrobiły się ogromne. Śliczny rumieniec zabarwił jej policzki.

— Mademoiselle mówi, że jestem beznadziejna. Nic nie leży na mnie ładnie, bo sama jestem okropna.

— Ta stara jędrza? A cóż ona może o tym wiedzieć?

— Villemann, jak ty się wyrażasz? — upomniała go Taran, ale zgadzała się z nim w pełni.

Danielle, zaszokowana słowami chłopca, próbowała opanować bardzo, bardzo delikatny uśmiech.

— Dołg umie czarować — oznajmiła Taran.

Mała zmrużyła oczy.

— Czarować? Rafael też umiał czarować. A potem dostał te rysunki od pewnego złego człowieka i zwariował, widywał duchy. A pewnego ranka umarł. Ja tak strasznie za nim tęsknię!

Dziewczynka ocierała dłonią łzy.

— Rozumiemy cię bardzo dobrze. — Taran i Villemann kiwali współczująco głowami.

— Rafael umiał tyle rzeczy! Ale nigdy nie wolno mu było nikomu tego powiedzieć. Kiedyś znalazł na strychu skrzypce i nauczył się na nich grać, sam z siebie. Ale nie wolno mu było tego robić, bo skrzypce to nie jest piękny instrument. I potrafił naśladować kukułkę. I nauczył mnie grać na organkach, ale bał się tak samo jak ja. Biedny Rafael bał się bardzo przez cały czas.

— Czego się bał?

— Że zrobi coś złego, coś nie tak jak trzeba. Przecież tyle rzeczy człowiek może robić źle, prawda? I nigdy się tego nie wie, dopóki nie dostanie się lania.

Wskazała na ścianę przy drzwiach. Wisiała tam wiązka używanych różeg brzożowych.

— O! — westchnął Villemann. — Mnie się też zdarzyło dostać, ale zawsze wtedy zrobiłem coś naprawdę złego, coś, czym mogłem wyrządzić komuś krzywdę na przykład. Ale to się zdarzyło tylko parę razy.

— A ja to mogę dostać lanie kiedykolwiek i nawet nie wiem za co — westchnęła Danielle. — Dostaję codziennie. Mademoiselle mówi, że jestem niemożliwa.

— Tego nie mogę zrozumieć — rzekł Villemann oburzony.

Danielle spojrzała na niego tak, jakby była zwiędłym kwiatem doniczkowym, któremu właśnie dostarczono wody. Ożyła na moment, natychmiast jednak zwiędła znowu.

— Mademoiselle mówi, że tatuś i mama już się nie cieszą. Bo już nie mają syna. Tylko mnie. Że oni by mnie chętnie wymienili na Rafaela, żebym to ja nie żyła. Tak mówi mademoiselle.

Znowu przeraziła się śmiertelnie.

— Och, przepraszam, mnie nie wolno wymawiać jego imienia.

— My nie naskarżymy — zapewniła Taran. — Ale czy nie moglibyśmy pójść pobawić się na strychu?

— Mnie nie wolno.

— Ale mademoiselle nie ma w domu.

Danielle nie wiedziała, co zrobić. Walczyło w niej przerażenie ze szczerą chęcią, żeby się pobawić z rówieśnikami.

Nagle drgnęła i skuliła się jak od ciosu. Na schodach dały się słyszeć kroki.

— Claude idzie! O, co my zrobimy?

— Kto to jest?

— Służący. On jest zawsze wściekły.

— Ale to chyba nic nie szkodzi, że my tutaj jesteśmy?

— Owszem. On mnie zabije. I was też może zabić.

— Schowamy się w szafie.

— Czy to wolno? — spytała w panice.

Ale jej goście wpełzli już do wnętrza wielkiej szafy. Taran wysunęła jeszcze rękę i wciągnęła do środka piękną haftowaną sukienkę Danielle. Oboje z Villemannem trzymali drzwi od środka. Całkiem szczelnie nie dały się zamknąć i Villemann musiał trzymać tak mocno, że aż mu palce zdrętwiały.

Mieli tylko nadzieję, że nie zaczną kichać wśród tych zwiewnych sukienek, które łaskotały ich w nosy.

Służący wszedł do sypialni i zapytał ostro:

— Co to za hałasy tutaj?

Danielle nie odpowiedziała. Zamknięci w szafie mogli sobie wyobrazić, jak bardzo się boi.

— Jej wysokość niepokoją jakieś głosy. I tupot nóg.

A myśmy tylko szeptali i nie mieliśmy odwagi nawet się ruszyć, pomyślała Taran. Danielle, powiedz, że tańczyłaś i że mówisz sama do siebie, prosiła w myśli.

— Odpowiadaj! — ryknął nagle służący.

Nareszcie Danielle otworzyła usta.

— Ja... Ja... Nie wiem.

Słyszeli, że płacz dławi ją w gardle. Najwyraźniej Danielle nie umiała kłamać. Po prostu uważała, że nie ma do tego prawa, że jej nie wolno.

Claude zbliżył się do szafy. Rodzeństwo stało wstrzymując dech z twarzami wykrzywionymi z napięcia. Rozległo się głośne plaśnięcie i stłumiony jęk Danielle, po czym kroki służącego skierowały się ku drzwiom.

Kiedy wyszli z szafy, Danielle pociągała nosem. Na policzku miała czerwony ślad.

Villemann, nie zastanawiając się, uściskał ją. Spragniona serdeczności dziewczynka wybuchnęła płaczem.

— Będzie chyba najlepiej, jeśli stąd pójdziemy — szepnęła Taran niepewnie.

— Żeby cię nie narażać na więcej nieprzyjemności.

Nie, nie odchodźcie, mówiły zapłakane oczy dziewczynki, ona sama zaś wykrztusiła mężnie:

— Możemy. . . możemy iść na strych. Tam nikt nas nie zbędzie słyszał. Z Rafaelem też tam byliśmy kilka razy, kiedy wiedzieliśmy, że przez jakiś czas nikt nas nie będzie szukał. Ale kiedy on zmarł, nie odważyłam się iść sama.

— Jak dawno temu on. . . ?

— Niedługo minie rok. Ale mnie nie wolno odwiedzać jego grobu. Chciałabym położyć tam kwiaty, ale mi nie pozwalają. Trzeba o nim zapomnieć, ponieważ był szalony i ściągnął taki wstyd na rodzinę.

— W jaki sposób ściągnął ten wstyd na rodzinę? — zapytał Villemann.

— On mówił o tym, że widuje duchy. Mówił o tym gościom, którzy do nas przyjeżdżali. I służbie. A to nie wypada. Tatuś i mamana byli strasznie źli, mamana wstydziła się tak bardzo, że nie pokazywała się przez wiele tygodni. A potem Rafael zmarł. Służące mówią, że to te duchy przyszły i go zabrały.

— I co, nie wolno ci nawet odwiedzać jego grobu? — pytała Taran wstrząśnięta. — Bardzo dziwne! Chodź, przemknijmy się na strych.

Ostrożnie uchylili drzwi i wyjrzeli na korytarz. Danielle z policzkami płonącymi z powodu tej niedozwolonej wyprawy wymknęła się za nimi. Villemann na palcach podszedł do schodów prowadzących na strych. Dziewczynki zrobiły to samo i Danielle czuła się niebywale dzielna.

Była zarazem podniecona i przerażona. Takiego nieposłuszeństwa nie dopuściła się od śmierci Rafaela i bliźniaki domyślały się, że w życiu tych dwojga samotnych dzieci był przede wszystkim strach i prawie wcale nie było radości.

Jak cichutkie myszki minęli piętro służby, a kiedy znaleźli się na strychu, Danielle stała się swobodniejsza. Nie oglądając się poszła w kierunku skrzyń z zabawkami.

— Bardzo dobrze — powiedziała. — Skoro Claude był niedawno w moim pokoju, to teraz przez jakiś czas się nie pokaże. A o tej porze na piętrze dla służby nie ma nikogo, więc nikt nas tu nie usłyszy.

Pokazała im swoje stare zabawki, wzruszona, że może je znowu oglądać. Wszystko wskazywało na to, że nie przychodziła tu od dawna.

— Opowiedz nam o Rafaelu — poprosiła Taran. — Ja myślę, że ty sama potrzebujesz z kimś o nim porozmawiać. Bez przerwy przecież o nim myślisz, a nie wolno ci powiedzieć ani słowa. To naprawdę bezlitosne! Wiem bardzo dobrze, co czujesz, bo to jest tak samo, jak kiedy człowiek nie może opowiedzieć o prezencie, który chce komuś dać, i o mało nie pęknie z dumy i z chęci zwierzenia się.

— Opowiedz, bardzo prosimy — poparł siostrę Villemann.

Danielle milczała długo. W końcu szepnęła:

— On był najmiłym człowiekiem na świecie. Był marzycielem. To on nauczył mnie czytać swoje książki i wiersze, które napisał. — Po chwili dodała ledwie dosłyszalnie: — Tak strasznie mi go brakuje!

— No a twoi rodzice? Czy oni nie są sympatyczni?

— O, tak, z pewnością są — szepnęła z wahaniem. — Ale ja ich nie znam. Tata nigdy na mnie nie patrzy, a maman ma ból głowy albo co innego. Prawie nigdy ich nie widuję. Chyba tylko wtedy, kiedy trzeba mnie przedstawić gościom. No i przy stole, oczywiście. Ale tam przecież nie mogę się odzywać.

— Dlaczego nie możesz? — zdziwił się Villemann.

Danielle spojrzała na niego wielkimi oczyma.

— Dzieciom nie wolno się odzywać przy stole, chyba o tym wiesz!

— Nie, wcale nie wiem. U nas w domu roztrząsa się różne problemy i rozmawia o wszystkich sprawach. Babcia, która jest siostrą cesarza, mówi, że ona sama była wychowywana zbyt surowo, więc nie chce, żeby jej dzieci i wnuki przeżywały to samo. Oczywiście, na nas też krzyczą czasami, kiedy na to zasłużymy. Wtedy milczymy. I my wszyscy troje uczestniczyliśmy w różnych naradach, kiedy trzeba było rozwiązać jakiś problem czy zagadkę naszej rodziny, i zabierają nas na niebezpieczne wyprawy, na przykład takie jak ta. . .

— Ale najwięcej to Dolga zabierają — stwierdziła Taran. — Bo on potrafi wszystko.

— Rafael też umiał. Dopóki nie przyszedł ten zły człowiek i Rafaela nie zabiły jego czary.

— Ten zły człowiek — zaczęła Taran niepewnie. — Czy on był bardzo ciemny? Z brodą i długim nosem? I w wysokim kapeluszu z futra?

Danielle przestraszona mrugała szybko.

— Tak, tak wyglądał.

Rodzeństwo popatrzyło na siebie w półmroku.

— Co on tutaj robił? — zapytał Villemann głucho.

— On. . . Mieszkał tutaj. Kilkakrotnie. Tata nazywał go wujem. Ale potem się na siebie pogniewali. I wuj taty więcej się nie pokazał.

Villemann uwielbiał rozwiązywać zagadki.

— Czy to było przed śmiercią Rafaela, czy później? — spytał, przekonany, że to bardzo przenikliwe pytanie, choć przecież było po prostu bardzo rozsądne.

Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę.

— Na krótko przed jego śmiercią. Rafael dostał przecież od wujka te rysunki, i potem mój brat zwariował, ale wtedy to już wuj się u nas od dawna nie pokazywał.

Znowu zaczęła płakać.

— Powiadasz, że on zwariował. Czy dlatego tak sądzono, bo chodził i opowiadał, że widuje duchy?

— Tak.

— Ale to nie musi oznaczać, że człowiek jest szalony! — wybuchnęła Taran ze złością. — My przez cały czas widzimy duchy!

— Naprawdę?

— No pewno! — potwierdziła Taran z niejaką przesadą. — A tatuś i Dolg to nawet z nimi rozmawiają.

To przynajmniej była prawda.

— Rozmawiają z nimi? — Danielle nie wierzyła własnym uszom.

— Bo ty nie znasz Dolga, Danielle — rzekł Villemann. — Gdybyś go tylko zobaczyła, od razu zrozumiałabyś wszystko.

— Chyba słyszałaś, jak dzisiaj psy walczyły na dziedzińcu? — zapytała Taran. — I wyjrzałaś przez okno?

— Psy słyszałam — odparła Danielle zdeorientowana.

— Ale nie wyglądałam, bo tego nie wolno mi robić.

— Co? — krzyknął Villemann. — Nawet przez okno nie wolno ci wyglądać?

— Nie. Mademoiselle mówi, że dziewczynki z dobrych domów nie powinny okazywać ciekawości.

— I ty się słuchasz?

— Tak.

Danielle rozjaśniła się i zaczęła się usprawiedliwiać.

— Słucham, ale wcześniej rano to nie. Wtedy wyglądam. O brzasku, bo wtedy nikt nie może mnie zobaczyć. Wtedy siadam przy oknie, wpatruję się w poranną mgłę, oglądam wschód słońca i słucham, jak woła kukułka. To jest tak, jakby przyjaciel do mnie przemawiał. Dzisiaj rano też siedziałam i słuchałam.

— I słyszałaś kukułkę? — zapytał Villemann sceptycznie.

— Tak.

Bliźniaki popatrzyły na siebie.

— Ale przecież mamy już prawie jesień — rzekła Taran matowym głosem.

— Tak, no to co? — zdziwiła się Danielle. — Słyszę ją prawie każdego dnia. Przez cały rok.

— Kukułkę?

— Tak. Zczekajcie do jutra rana, to też ją usłyszycie.

— Nie mamy czasu, żeby czekać tak długo, musimy jechać na zachód — powiedziała Taran nieobecna myślami.

Danielle wyciągnęła do niej rękę.

— Och, nie odjeżdżajcie ode mnie, nie chcę was utracić! Zczekajcie przynajmniej do jutra!

Myśli Villemanna też błądziły daleko.

— Danielle — zaczął w końcu. — Kukułka to ptak, który kuka w maju i właściwie nigdy więcej. Czasem może zacząć pod koniec kwietnia albo zahaczy jeszcze o czerwiec, ale to wszystko. A teraz zbliża się wrzesień!

— Nic z tego nie rozumiem — bąknęła nieśmiało. — Ja ją przecież słyszę!

Villemann ujął jej drobne, przemarznęte dłonie w swoje.

— Danielle, powiedziałaś, że twój brat umiał wspaniale naśladować kukułkę, prawda?

Dziewczynka rozpromieniła się.

— O, tak! Robił to dokładnie tak samo, jak . . .

Umilkła. Na strychu zapanowała kompletna cisza.

KSIĘGA III

JESIENNA MIŁOŚĆ

Rozdział 13

Podczas gdy dzieci starały się rozwiązywać zagadki w domu baronostwa von Virneburg, orszak księżnej Theresy podążał na zachód.

Dolg był niespokojny.

— Tato! — zawołał w końcu cicho i Móri podjechał do niego.

— Co się stało, mój chłopcze?

— Bardzo się niepokoję o Taran i Villemanna.

— Więc ów tajemniczy rabin okazał się jednak niebezpieczny?

— Nie o niego mi chodzi. W samej rodzinie von Virneburgów coś jest nie tak jak powinno.

— W to akurat nietrudno mi uwierzyć, ale czy naszym malcom grozi jakieś niebezpieczeństwo?

— To zależy — rzekł Dolg z wolna. — Zależy, czy nie będą przesadnie ciekawi.

— Uff, nie brzmi to dobrze — westchnął Móri i roześmiał się ponuro. — Nie ma chyba na ziemi dzieci bardziej ciekawskich niż oni.

— No właśnie. Tato, ja myślę, że powinienem zawrócić.

— Ale my możemy cię potrzebować.

— Nie sądzę. Ty, ojczu, masz przecież prawie takie same zdolności jak ja. . .

— Ale ja nie mam szafiru.

— A ja nie mogę go zostawić. Cień powiedział, że nie wolno mi się z nim rozstawać. Zastanawiam się tylko, czy on będzie tu potrzebny? Czterech strażników. . . Poradzicie sobie z nimi bez uciekania się do czarów. A siły tej cudownej kuli nie należy nadużywać.

Móri zastanawiał się chwilę. Spoglądał na swojego niezwykłego chłopca, czasami czuł się, jakby był jego sługą, albo, mówiąc inaczej, Dolg był kimś, na kogo on, czarnoksiężnik z Islandii, spoglądał z wielkim podziwem. To dość dziwny stosunek do własnego, na dodatek dwunastoletniego syna. Nagle przemknęło mu przez głowę wspomnienie: w krainie zimnych cieni o Dolgu powiedziano „Nowy”.

Droga, którą jechali, była szeroka i porośnięta trawą. Biegła pośród dużych drzew rzucających ogromne cienie. W koronach widać już było wyraźne oznaki

zbliżającej się jesieni. Tu i tam złote liście i w ogóle nastrój rezygnacji. Zieleń poszarzała, trawa przy drodze miała coraz więcej brunatnych plam.

Ciemne chmury, które wisiały nad horyzontem, kiedy opuszczali Virneburg, spiętrzyły się teraz i lada moment mogły przesłonić słońce. Na razie jednak słoneczny blask wciąż wyłacał liście drzew. W dalszym ciągu na zachodnich, górzystych krańcach Austrii trwała niepewna już co prawda i płochliwa, ale wciąż wyraźnie wyczuwalna atmosfera lata.

Móri podjął decyzję.

— Masz rację, Dolg — westchnął. — Wracaj do swojego rodzeństwa, jeśli sądzisz, że tak będzie najlepiej! Ale weź kogoś ze sobą, nie powinieneś podróżować sam.

— Nie, naprawdę nie ma niebezpieczeństwa. A poza tym uważam, że troje dzieci może osiągnąć więcej niż dorośli, widoczni z daleka. . .

— Więc ty wiesz, o co chodzi?

— Nie. Odbieram tylko impulsy. Teraz odkąd mam kamień, często mi się przytrafia, że odbieram impulsy. Tato, ty wiesz, że babcia bardzo chce jechać z wami, prawda? No i potrzebujecie wszystkich gwardzistów i obu służących.

— Absolutnie.

— No więc widzisz. Edith na nic mi się nie przyda, poza tym nie chciałbym jej rozdzielać z Berndem, bo przecież oni przez cały czas są razem.

— Aha, więc to też zauważyłeś — uśmiechnął się Móri.

— Musiałbym być ślepy — odparł Dolg. — Najgorzej, że nie mogę zabrać ze sobą Nera, bo on by się zaraz znowu wdał w bójkę z dworskimi psami.

— Tak, tak — potwierdził Móri. — Czy jesteś pewien, że nie grozi ci tam żadne niebezpieczeństwo?

Spojrzeli sobie z wielką powagą w oczy.

— Jestem pewien — rzekł Dolg spokojnie.

Skinął ojcu głową na pożegnanie i zawrócił konia. Minęło sporo czasu, zanim ktokolwiek zauważył, że chłopca nie ma.

Wszyscy niechętnie czekali na pierwsze krople deszczu, który dosłownie wisił w powietrzu.

Erling Müller jechał obok księżnej Theresy. Bardzo dobrze się orientował w jej mieszanych uczuciach: niepokój o Tiril, radość z tego, że może być z Erlingiem, i jednocześnie niepewność, jak powinna się w stosunku do niego zachowywać.

Erling wiedział, że Theresa jest w nim zakochana. On również żywił dla niej wielkie oddanie. Sytuacja jednak była niewypowiedzianie skomplikowana. Kiedy wyruszał do Graben na ratunek Móriemu, powiedział jej, że po powrocie chciałby z nią porozmawiać. Zdawało mu się wtedy, że ma Bóg wie ile czasu na to, by

znaleźć odpowiednie słowa. Teraz był przy niej... I nie znajdował nic, po prostu nie wiedział, jak się odezwać.

Etykieta wymagała, by okazywał powściągliwość. To ona musiała zrobić pierwszy krok. A Theresa nie należała do kobiet, które tak postępują.

Powinien jakoś jej przekazać, że ewentualna inicjatywa zostanie przyjęta jak najserdeczniej. Ale jak się zachować uprzejmie, a zarazem dać do zrozumienia coś tak trudnego?

Erling nigdy nie miał kłopotów w stosunkach z kobietami. Catherine co prawda była baronówną, więc towarzysko stała znacznie wyżej niż on, ale w tamtym przypadku nie miał żadnych skrępowań, żeby przystąpić do rzeczy.

Theresa jednak pod każdym względem przewyższała Catherine, zwłaszcza jeśli chodzi o osobistą godność. Tamta była wulgarna, Theresa natomiast należała do kobiet bardzo delikatnych, wrażliwych, które łatwo zranić. Jak nie mający szlacheckiego tytułu kupiec z prowincjonalnej Norwegii powinien się zachować, żeby jej do siebie nie zrazić?

Żadne z nich nie szukało taniej przygody, tak jak to było z Catherine. Zresztą takie właśnie przygody wypełniały dawniej życie Erlinga, ale teraz już z tym skończył. Teraz chciałby zaznać spokoju przy kobiecie takiej jak Theresa. Żeby tylko ona nie...

Erling drgnął, kiedy Theresa się do niego odezwała. Czerwone plamy na szyi świadczyły, ile musi ją kosztować zadanie tego pytania.

— Erlingu, czy ty nie powinienesz teraz być w Bergen?

— Nie. Napisałem listy i zawiadomiłem, że wrócę trochę później. Najpierw musimy odnaleźć Tiril, a potem dopiero będę się zajmował swoimi sprawami.

— Tak, oczywiście, rozumiem. — Po chwili dodała jeszcze przyciszonym głosem: — I nie tęsknisz do domu?

— Nie — odparł krótko, a Theresa milczała, bo nie chciała być natrętna.

Erling natychmiast pożałował szorstkości swego tonu.

— Thereso, ja... — zaczął, ale nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Uśmiechnął się tylko niepewnie. Oboje byli wdzięczni, że ktoś z końca orszaku coś zawołał. Przed nimi w malowniczej kotlinie leżała wieś. Tam właśnie ludzie, którzy odwozili Tiril do Francji, mieli przebywać od kilku dni. Móri i Erling zastanawiali się wspólnie, jak przeprowadzić całą sprawę. Towarzyszyli im czterej doświadczeni gwardziści, którzy mogli w tej sytuacji okazać się bardzo przydatni, ale wszyscy otrzymali bardzo surowe polecenie, by do przemocy uciekać się wyłącznie w razie absolutnej konieczności. Obie kobiety miały za zadanie zająć się Nerem i w ogóle powinny były czekać gdzieś na uboczu.

W gruncie rzeczy chodziło przecież o zdobycie informacji na temat Tiril i ci ludzie w ogóle nie dopuścili się żadnych przestępstw, tak to przynajmniej wyglą-

dało. Mogli natomiast powiedzieć, gdzie znajduje się kardynał.

Poszukiwanych znaleźli dokładnie tam, gdzie zdaniem rabina powinni byli być. Wciąż jeszcze spali po pijaństwie poprzedniego wieczora, chociaż słońce przesunęło się daleko na niebie, już dawno minęło południe.

Zostali obudzeni uprzejmie, ale stanowczo. W istocie byli ludźmi kardynała, ale przecież mogli być całkowicie niewinni. Zwyczajni wiejscy chłopcy, którzy wierzyli, że służą dobrej sprawie.

W izbie, w której cuchnęło przemoczonymi juchtowymi butami i potem onuc, próbowali się rozbudzić na tyle, by udzielać jako tako rozsądnych odpowiedzi. Nagle zrobiło się bardzo tłoczno, bo wszyscy wybierający się Tiril na odsiecz weszli do środka. Nera jeden ze służących musiał mocno trzymać za obrożę.

Dwaj z ludzi kardynała krzyknęli głośno ze strachu, na widok Móriego i Erlinga.

— Wy nie żyjecie! — wrzeszczał jeden. — Ja sam widziałem, jak umieraliście! Jeden został zepchnięty ze skały, a drugi przeszyty mieczem przez naszych kamratów.

— A więc to wy dwaj uprowadziliście naszą ukochaną Tiril — powiedział Erling z goryczą.

Za każdym razem, kiedy padało imię Tiril, Nero zaczynał wściekłe ujadać.

Tamci milczeli, szcękając zębami.

— Nic wam nie zamierzamy zrobić — rzucił Móri krótko i ze złością. — Jeśli tylko opowiecie nam o Tiril. Nie, Nero, jeszcze ich nie bierz!

Obaj, wciąż, dygocząc ze strachu na widok „upiorów”, opowiadali: Tak, na rozkaz kardynała odwoziliśmy jedną heretyczkę do Francji.

— Heretyczkę? — zapytała Theresa. — Czy to kardynał tak twierdził?

Nie, oni przecież nie rozmawiali z kardynałem osobiście, bo kardynał był w złym humorze. Ale taki dostali rozkaz.

A z kim rozmawiali?

Z panem Johannesem.

Ach, tak! To ten sam brat zakonny, którego spotkał Dolg na bagnach i na którego spuścił zasłonę niepamięci. Musiał on zostać ułaskawiony przez kardynała. Bo najwyraźniej w zakonie zaczynało chyba brakować braci. . .

Pytanie, jakie zadała po chwili Theresa, wyrażało niepokój wszystkich:

— Czy dobrze traktowaliście moją córkę?

— O, tak, wasza wysokość — zapewnił jeden z czterech. — My daliśmy jej spokój, ale jacy są woźnice we Francji, to nie wiemy.

Przyjaciele Tiril odrobinę zbledli.

— Powiadacie, że daliście jej spokój — powtórzył Móri zgnębiony. — Ale czy dostawała coś do jedzenia? Czy była związana i zakneblowana przez całą drogę?

Jechała konno? Czy może siedziała w powozie?

Ludzie kardynała ze wstydem przyznawali, że nieszczęsna leżała przez całą drogę w odkrytej furcie, do której była przywiązana, i że uwalniano ją tylko na chwilę rano i wieczorem. Jedzenie dostawała, ale...

Człowiek, który mówił, zawahał się. Jego kamraci wyglądali na wyraźnie skrzepowanych, wpatrywali się w podłogę.

— No, coście zamierzali powiedzieć? — ponaglał Erling.

— Ja nie myślę, żeby we Francji coś jej się mogło stać — odparł tamten niechętnie. — Bo w niej coś było, a może to było z nią, co odstraszało wszystkich.

Wielu z przybyłych kiwało głowami.

— To się zgadza — powiedział Móri. — Z nią coś było. Wyższa siła, która ją ochrania.

— Czy ona jest święta? — zapytał jeden z tamtych, wytrzeszczając oczy i rozdziawiając gębę.

Móri długo na niego patrzył.

— W pewien sposób tak — oznajmił. — Chociaż nie w rozumieniu Kościoła. Albo... Może też. Ona jest najpiękniejszym człowiekiem o najczystszej sercu, jakiego kiedykolwiek spotkałem. I była moją żoną przez, wiele cudownych lat. Więc nie zasłużyła sobie na takie traktowanie, jakiegoście jej zgotowali. Chcę ją odzyskać za wszelką cenę, możesz to zrozumieć?

Było oczywiste, że ludzie kardynała są przerażeni z trzech co najmniej powodów: Po pierwsze, Móri powinien być martwy. Po drugie, jego wygląd robił na tych prostakach wielkie wrażenie. I po trzecie wreszcie, Móri najwyraźniej się wściekał, i to na nich.

Mogli uczynić tylko jedno. W ich izbie znajdowali się dwaj mężczyźni, którzy powinni być martwi, oprócz tego żołnierze cesarza, szarpiący się ze złości pies i wielu innych ludzi z lepszych sfer. Oni zaś, nadzy, pozbawieni wszelkiej godności, siedzieli skuleni pod kołdrami i dygotali ze strachu.

W tej sytuacji opowiedzieli o Tiril wszystko, co wiedzieli.

To znaczy jeden nie mówił nic. Siedział przez cały czas w ponurym milczeniu. Kiedy Móri spoglądał w jego kierunku, zawsze napotykał posępne spojrzenie, które nie wróżyło niczego dobrego.

Pozostali jednak gadali jeden przez drugiego. Już nie mieli odwagi wymawiać imienia Tiril, bo za każdym razem pies zaczynał się miotać jak wściekły. Mówili więc po prostu „ona”.

Miała zostać odwieziona do zamku, Castellon el Viejo, w małej wiosce w Pirenejach. Tam „oni” zwykle przetrzymywali swoich więźniów. Brat Lorenzo miał ją przesłuchiwać, zanim zostanie odesłana dalej, bo będzie sądzona przez Wielką Radę.

Nazwa zamku wskazywała, że chodzi o hiszpańską stronę Pirenejów, nie o francuską. Ale czyż tego nie wiedzieli już przedtem? Czy księżna Theresa nie

wydobyła już większości informacji od kardynała? Otóż nie.

— Gdzie w Hiszpanii ma być sądzona?

Nie, tego nie wiedzieli, a ich niepewne, spłoszone spojrzenia świadczyły, że mówią prawdę.

— Z nazwy wnosimy, że chodzi o jakiś stary zamek, ten w Pirenejach — powiedziała Theresa. — Ale ja chciałabym się dowiedzieć dokładniej, jak tam dojechać, i poznać więcej szczegółów na temat położenia.

— Tak, tak — potwierdził Erling. Zaczął wypytywać ludzi o ich własne wrażenia z tej podróży. Wiele ich kosztowało odpowiadanie na wszystkie pytania.

Swoim przyjaciołom Erling wyjaśnił, że jego zdaniem ten stary zamek leży gdzieś po drodze do miejsca, w którym Tiril miała być sądzona.

— Może więc sami go odnajdziemy?

— I tam odnajdziemy też pewnie samo jądro Zakonu Świętego Słońca — szepnął Móri.

— Ja też tak myślę — przyznał Erling, a Theresa kiwała głową.

Ludzie kardynała musieli więc jeszcze raz bardzo dokładnie opisać swoją drogę do Francji, ale ich w najwyższym stopniu nie proszeni goście wciąż nie byli zadowoleni.

— I teraz jedziecie, żeby ze wszystkiego zdać sprawę kardynałowi von Grabenowi, co? — zapytał Erling.

— Nie, nie, on przecież mieszka w Szwajcarii. My jedziemy do brata Johanesa.

Tak, to mogła być prawda. Woźnice minęli już przecież Szwajcarię.

— Czy kardynał jest teraz w domu, w Sankt Gallen? Tego nie wiedzieli. Ale wciąż milczący woźnica spuścił wzrok w bardzo szczególny sposób. Ten wie, gdzie przebywa kardynał von Graben, pomyślał Móri.

— A brat Lorenzo? Czy on jest w Castellon el Viejo?

Tego też nie wiedzieli, ale przypuszczali, że nie. Raczej właśnie tam jedzie. Czy to nie było tak, że najpierw miał pojechać do zamku Graben? I tam szukać... szukać.. Patrzyli przestraszeni na Móriego. On przecież znajdował się tutaj!

Brat Lorenzo miał jechać do zamku Graben?

O, to też wydawało się prawdopodobne. Erling podziękował im za dobrą wolę i w końcu, w końcu to straszne towarzystwo opuściło izbę.

Trzej woźnice odetchnęli z ulgą. Byli to zwyczajni mieszkańcy Austrii. Czwarty natomiast nadal nie mówił nic, ale jego oczy skrzyły się niebezpiecznie. Wkrótce też ubrał się pośpiesznie i opuścił swoich kamratów. W chwilę później wyjechał konno ze wsi.

Rozdział 14

Taran, Villemann i Danielle siedzieli na strychu Virneburg i spoglądali na siebie w stłumionym świetle dostającym się tutaj przez małe, zakurzone okienko.

Usta Danielle zrobiły się kompletnie białe.

— Wy sądzicie... że ta kukułka, którą często słyszę wczesnym rankiem... to nie jest kukułka? Wy myślicie, że to Rafael?

Bliźniaki z przejęciem kiwały głowami, robiąc przy tym bardzo mądre miny.

— Ale przecież Rafael... nie żyje! I został pochowany. Czy wy sądzicie, że on również stał się duchem? Najpierw widywał duchy, a potem sam...?

Villemann czuł się bardzo dorosły i przenikliwy.

— Czyś ty go widziała po śmierci?

— Nnie — odparła Danielle niepewnie.

— A pogrzeb widziałaś? — wtrąciła pospiesznie Taran.

— Nie, ja wtedy nie mogłam być nawet w domu, musiałam wyjechać.

— Danielle — zapytał Villemann bardzo poważnym głosem. — Czy ty kiedyś słyszałaś w domu albo w pobliżu domu jakieś krzyki?

Dziewczynka zastanawiała się. Widać było, że te wszystkie nowe problemy, które spadły na nią tak nagle, bardzo ją zmęczyły.

— Możliwe. Na samym początku. Oni mówili, że to pawie. Ale pawie krzyczą inaczej.

Villemann pochylił się do przodu tak, że jego twarz znajdowała się tuż przy twarzy Danielle.

— To bardzo ważne! Czy kukułkę słyszałaś z różnych stron?

Jego przenikliwy wzrok sprawił, że dziewczynka spuściła oczy.

— Nie, nie, kukanie dochodzi zawsze z tej samej strony.

— To znaczy, skąd?

— Z lasu, tego za starym zamkiem.

— Za zamkiem, powiadasz? A czy nie mogło być tak, że głos dochodził z zamku, z jego tylnej części?

Pięknie zarysowane brwi dziewczynki uniosły się w zamyśleniu.

— Tak, to możliwe. Czy nie moglibyście sami tego posłuchać jutro wcześniej rano? Proszę was jeszcze raz: Zostańcie tutaj na noc!

— Niestety, to niemożliwe, musimy odnaleźć naszą mamę. To jest bardzo ważne, bo ona znajduje się w niewoli i oni mogą ją zabić. Jak tylko uda im się wydobyć z niej informacje, które mama zna, a oni nie, to od razu ją zamordują.

— Och, to straszne! — jęknęła Danielle.

— Ale zaraz przeszukamy starannie zamek, a ty wskażesz nam drogę.

— My nie możemy tam pójść — wykrztusiła przerażona. — Zamek jest niebezpieczny, może się w każdej chwili zawalić.

— A mnie się zdaje, że wygląda całkiem solidnie — oświadczyła Taran. — Ech, właśnie dzwonią na obiad, a my obiecaliśmy, że przyjdziemy coś zjeść. Zresztą ja naprawdę jestem głodna. Chodźcie, najpierw obiad!

Danielle nie ruszała się z miejsca.

— Mnie dzwon nie dotyczy.

— A to dlaczego? — zapytał Villemann zdumiony.

— Bo dzwon jest tylko dla służby i ludzi niższej rangi. Po mnie przyjdzie mademoiselle.

— O Boże, całkiem o niej zapomniałem! Danielle, musisz wracać do swojego pokoju! I nikomu nie wspominaj o spotkaniu z nami! O kukułce zresztą też nie.

Mała dziewczynka drżała z przejęcia. Bliźniaki poważnie się obawiały, czy nie zdradzi komuś ich najświeższej tajemnicy, ona zapewniała jednak, że nie piśnie ani słowa.

— Tylko obiecacie, że po obiedzie znowu się spotkamy — prosiła. — Musimy zbadać, czy rzeczywiście w zamku znajduje się ten, co to wiecie. O, ja tego nie wytrzymam, jak ja doczekam końca obiadu?

Zaciskała małe piąstki, zagryzała wargi.

— Rafaelu — szeptała ze łzami w oczach. — Nie, to nie może być prawda. Ja z pewnością śnię!

Taran i Villemann bardziej dziwili się temu, jak rodzice mogą ogłosić, że ich żyjące dziecko umarło. Jeśli ich przypuszczenia były słuszne, rzecz jasna.

Bliźniaków nie zaproszono do stołu w jadalni, wysłano je do niewielkiego pokoiku opodal, gdzie usługiwała im dziewczyna prawie nie zwracająca na nich uwagi. Danielle siedziała z rodzicami, którzy uznali, że dziewczynka jest jakaś podniecona i rozgorączkowana, chcieli więc odesłać ją do łóżka, przeciwko czemu ona zaprotestowała gwałtownie.

Ponieważ Danielle nigdy przedtem nie oponowała, ojciec spojrział na nią surowo i postraszył różgą.

Mała dobrze wiedziała, co jest dla niej najlepsze, przeprosiła więc i stała się znowu dawną, pokorną Danielle. Ku zadowoleniu rodziców. I później nie było już mowy ani o różgach, ani o odesłaniu do łóżka.

Najwyraźniej nikt z dorosłych mieszkańców Virneburg nie miał pojęcia, że dzieci spotkały się za ich plecami.

Bliźniaki podziękowały za jedzenie i oznajmiły, że najchętniej wróciłyby do przerwanej zabawy w parku. Prośba padła na podatny grunt, upomniano je tylko ponownie, by niczego nie zniszczyły. Ciekawe, co tam jest do niszczenia? — zastanawiały się dzieci. Te proste i nudne żwirowane alejki, czy idiotycznie strzyżone krzewy? Niektóre przypominały śmieszne podskubane kurczęta, inne były jak obdarte ze skóry zające, przeważnie jednak przypominały jakieś skrzyżowanie koślawego osła z niedorozwiniętym wielbłądem.

Dzieci umówiły się na spotkanie w oranżerii, bo tam mało kto zaglądał. Była zresztą pora odpoczynku dla pracujących we dworze i trójka spiskowców mogła bezpiecznie wymknąć się z parku do lasu na tyłach starego zamku.

Danielle nieczyste sumienie ciążyło bardziej niż kiedykolwiek. Raz po raz powtarzała swoje: „Ale czy to naprawdę można?” Albo: „Mnie tego nie wolno...” Wszystko było niebezpieczne, wszystko zakazane i biedactwo kuliło się przerażone przy najmniejszym szeleście, a kiedy z drzewa, pod którym przechodzili, zerwał się gołąb, wybuchnęła histerycznym płaczem.

Była niemal sztywna ze zdumienia i podziwu dla wszystkiego, co Taran i Villemann odważyli się robić. Niestety chłopiec zaczynał się popisywać, bo przecież niecodziennie człowiek ma najzupełniej bezkrytyczną wielbicielkę. Taran musiała ostrym tonem przywoływać go do rozsądku, prosić, żeby się w ten sposób nie wygłupiał. Przecież nie mogą za żadną cenę wzbudzać niczyjej uwagi, a on ryzykuje wszystko, bo zachciało mu się robić przewroty na balustradzie w parku albo puszczać kaczki na wodzie. Tak, widziała, że jeden kamień wywołał aż siedem kręgów, ale powstał przy tym hałas.

Villemann uznał, że skrzyczała go niesprawiedliwie, i szedł dalej naburmuszony, ze wzrokiem wbitym w ziemię kopał trawę i kamienie.

Najrozsądniejsza z całej trójki okazała się Taran. Widząc, jak bardzo Danielle jest zdenerwowana, pociągnęła ją za krzaki, żeby, jak powiedziała, „ukoić nerwy”. Dziewczynka, która nie знаła takiej typowej kobiecej cechy, pozwalającej pójść razem do toalety, tam się zwierzać i plotkować w niezwykłym poczuciu wspólnoty, była trochę zaszokowana. Kiedy jednak obie ukucnęły w trawie i Taran powiedziała: „Chyba ci się zabrudzi ta śliczna biała sukienka, Danielle”, najpierw zrobiła wielkie oczy ze strachu, a potem oświadczyła: „Mam to w nosie!”

I nagle obie zaczęły chichotać jak szalone, a Villemann uznał, że ma okazję do rewanzu. Kiedy nareszcie do niego wróciły, wciąż rozchichotane, rzekł z wyrzutem: „No i kto tutaj jest nieostrożny?”

Po tej uwadze wszyscy się uspokoili i równowaga została przywrócona.

Villemann popatrzył w niebo.

— Będzie padać.

— Tak — potwierdziła Taran. — Musimy się jak najszybciej znaleźć pod

dachem, zanim przyjdzie tu ktoś z dorosłych i nas przyłapie.

— Myślę, że nikt nie wyjdzie — mruknął Villemann. — Dotychczas nikt nam zainteresowania nie okazywał.

Danielle zadrżała. „Pod dachem” oznaczało zamek. Przemykali się wśród drzew i krzewów, coraz bardziej zbliżali się do zamku, gdy nagle Villemann gwałtownie przystanął i dziewczynki na niego wpadły.

— Spójrzcie tam — powiedział cicho. — Od dworu aż do zamku prowadzi dobrze wydeptana ścieżka.

— No jasne, przecież on musi dostawać coś do jedzenia — przyznała Taran szeptem.

— Och, Rafael — zawodziła cichutko Danielle. — O Boże, spraw, żeby on żył!

Teraz znajdowali się już wewnątrz murów starego zamku i nikt od strony dworu nie mógł ich zobaczyć.

— Nie wydaje mi się, żeby mur gotów był się zawalić — stwierdziła Taran.

— Nie, stoi całkiem pewnie — zgodził się Villemann. — Ale popatrzcie tutaj, ścieżka wiedzie wprost do tamtych drzwi. Czy myślicie, że moglibyśmy wejść do wnętrza?

Taran zakradła się do narożnika, żeby zobaczyć, jak się sprawy mają na tyłach zamku. Po chwili wróciła.

— Od tamtej strony nie ma żadnych drzwi, ale tutaj też nikt nas nie zobaczy. Musimy próbować tutaj.

— A jeśli ktoś przyjdzie?

— Pozostaje tylko mieć nadzieję, że już tu byli, żeby na przykład przynieść mu jedzenie.

Popatrzyli w górę na mury, gdzie tylko otwory strzelnicze stanowiły jakiś wyłom w ciężkich, gładkich kamiennych powierzchniach.

— Mieszkałaś tutaj, Danielle? — zapytał Villemann sceptycznie.

— Nie, nie, jeszcze mój pradziadek zbudował nowy dom.

— Bardzo rozsądnie postąpił — stwierdził Villemann. — Ale jak my się tam dostaniemy?

Mówili szeptem, by zwiększyć napięcie.

— Drzwi są, oczywiście, zamknięte na klucz — rzekła Taran.

Były to ciężkie, brzydkie drzwi, które nie wyglądały na specjalnie stare, w każdym razie nie pasowały do spatynowanych i na swój sposób szlachetnych murów. Wyglądało na to, że zostały tu zamontowane długo po wzniesieniu zamku, sprawiały wrażenie, jakby je przyniesiono z obory, kuźni czy innego budynku gospodarczego. Deski krzywe i nie heblowane.

Ale zamknięte nie były. To zdziwiło trójkę poszukiwaczy i powinno było skłonić ich do większej czujności.

Weszli do mrocznego korytarza, w którym kroki odbijały się głośnym echem.

— Gdzie my jesteśmy? — spytała Taran.
— Poczekaj, aż oczy przywykną do ciemności — poradził Villemann.
Taran poczuła, że dłoń Danielle szuka jej ręki. Wzruszyło ją to i mocno uści-
snęła drobną rączkę, chcąc dodać dziewczynce odwagi.
Wyglądało na to, że znajdują się w bocznej części zamku, być może szli, prze-
jściem dla służby. W końcu jednak Villemann wymacał schody, na które z otworu
wyżej spływało słabe światło.
— Patrzcie — pokazał. — Schody są brudne i pokryte kurzem z wyjątkiem
balustrady i wąskiej ścieżki z boku przy balustradzie.
— Świetnie — rzekła Taran zadowolona. — To znaczy, że ktoś tędy chodzi,
prawda?
— To właśnie miałem na myśli.
Kiedy znajdowali się już prawie na górze, nagle skulili się przerażeni. Wyglą-
dało na to, że ktoś tu wszedł tą samą drogą co oni.
Nie byli w stanie oddychać, ale na dole panowała cisza.
— To pewnie tylko wiatr, który poruszył jakieś drzwi — stwierdził wreszcie
Villemann. — Chodźcie, idziemy dalej!
Wkrótce znaleźli się na piętrze w pomieszczeniu przypominającym hall.
— Uff! I pomyśleć, że można mieszkać w takim zamczysku duchów — wes-
tchnęła Taran. — Gdziekolwiek się ruszysz, wszędzie pajęczyny. Gdzie my jeste-
śmy?
— Trzeba iść po śladach — nakazał Villemann.
Ruszyli w stronę największych drzwi w tym hallu. Ostrożnie, bardzo ostrożnie
je otworzyli.
— Ooo! — jęknęła Taran.
— To musi być sala rycerska — powiedział Villemann. — Ale niespecjalnie
elegancka. Uważajcie na podłogę, może być zdradliwa.
Poszli wolną od kurzu ścieżką do innych drzwi w krótszej ścianie sali.
Ale jeszcze raz przystanęli zdjęci strachem. Gdzieś nad nimi, prawdopodobnie
na strychu, trzasnęły jakieś drzwi. Ciężkie, zdecydowane kroki kierowały się ku
sali rycerskiej.
— Chowajcie się, szybko! — syknął Villemann w panice.
W samej sali raczej nie było widać żadnych kryjówek. Pomieszczenie było
całkiem po prostu puste.
— Tam — wskazała Taran, która dostrzegła w pobliżu jakieś nieduże drzwi.
Wszyscy troje wślizgnęli się do środka, przymykając za sobą drzwi. Stali bez
ruchu wstrzymując dech i słyszeli, jak otwierają się drzwi wiodące ze strychu
do sali rycerskiej. Ktoś szedł szybkim krokiem tą drogą, którą oni dopiero co
przebyli.
Na koniec drzwi wejściowe zamknęły się ze skrzypnięciem, a w zamku został
przekreślony klucz.

— Dzięki! — warknął Villemann. — Teraz jesteśmy zamknięci od zewnątrz.
— Ale i tak nam się udało — rzekła Taran cicho. — Weszliśmy do zamku akurat w czasie, kiedy ktoś był na górze. I prawdopodobnie dzisiaj już tu nikt nie przyjdzie.

— Chyba masz rację.

W końcu rozejrzeli się z zainteresowaniem po pomieszczeniu, w którym znaleźli schronienie. Była to mała izdebka, w której stało łóżko. Izba miała prawdziwe okno, a nie tylko otwór strzelniczy. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat ktoś tu mieszkał.

— Dzięki ci, mały pokoiku — powiedziała Taran. — Uratowałeś nas przed ujawnieniem.

— Idziemy dalej? — spytał Villemann.

— Oczywiście!

Wśliznęli się z powrotem do sali i posuwając się wydeptaną ścieżką, wkrótce stanęli przed nowymi schodami, tym razem węższymi i niższymi. Taran wyjrzała przez otwór.

— Jesteśmy na tyłach zamku — szepnęła. — Las podchodzi pod sam mur.

Schody na strych trzeszczały złowieszczo, musieli więc iść ostrożnie. Po kilku minutach znaleźli się na górze.

— Faj, jak tu okropnie! — skrzywiła się Danielle.

— Tak.

Strych zdawał się ogromny. Ale w głębi zobaczyli jeszcze jedne drzwi. I ślady wiodły właśnie tam.

Dzieci spoglądały po sobie.

— Albo służba trzyma tu domowej roboty alkohol, po który ktoś od czasu do czasu przychodzi — powiedział Villemann. — Albo też...

— Albo też... — powtórzyła Taran.

Poszli w stronę drzwi w głębi strychu.

Tak jak się spodziewali, były zamknięte na klucz. I chociaż szukali bardzo uważnie, nigdzie go nie znaleźli.

— Może ja zawołam? — zaproponowała Danielle.

— Dobrze, ale niezbyt głośno — zgodził się Villemann.

Dziewczynka przysunęła się do drzwi.

— Rafael?

Wewnątrz panowała kompletna cisza.

Taran pochyliła się i zajrzała przez dziurkę od klucza.

— Widzisz coś? — dopytywał się Villemann.

— Nic. Tam musi być jakaś ściana. Albo kolejne drzwi.

Nagle Taran wyprostowała się. Wszyscy odwrócili głowy, kiedy drzwi na strych, przez które dopiero co tu weszli, otworzyły się ponownie.

Nie widzieli żadnej możliwości ukrycia się. Wszyscy troje stali bezradni, słuchając, jak ktoś do nich idzie.

I wtedy ulewny deszcz zadudnił po dachu.

Rozdział 15

Drugą grupę deszcz napotkał później, ale został równie niechętnie przyjęty. Nie mieli się czym osłonić, musieli więc szukać schronienia pod dużymi drzewami w lesie. Nie najlepsze miejsce, biorąc pod uwagę, że burza z piorunami zbliżała się coraz bardziej.

Nie zostało to co prawda świadomie zaaranżowane, jakoś tak wyszło samo z siebie, ale Theresa znalazła się z Erlingiem pod jednym drzewem. On instynktownie starał się ją ochraniać przed niepogodą, ona instynktownie szukała jego opieki.

Stanęli pod koroną wielkiego drzewa, natomiast reszta orszaku rozproszyła się wokół nich, jedni bliżej, inni dalej, szukając najbardziej rozłożystych i najgęściej pokrytych liśćmi koron.

Przez listowie przedostała się mimo wszystko jakaś pojedyncza kropla i Erling rozpostarł nad głowami obojga swoją pelerynę. Jakbyśmy stali w jakimś małym domku, pomyślała Theresa.

Zamiast wygłaszać banały w rodzaju: „Ale nas złapało”, księżna próbowała wymyślić coś inteligentniejszego, ale nie bardzo jej się to udawało, bo nieoczekiwana intymna sytuacja powodowała gwałtowne bicie serca.

— Zaskakująco łatwo poszło nam z tymi czterema woźnicami — powiedziała, uśmiechając się niepewnie.

— Tak, rzeczywiście, poradziliśmy sobie bez kłopotu — przyznał Erling, nie wspominając o nieprzyjemnym uczuciu, jakiego doświadczał, patrząc na czwartego, uparcie milczącego człowieka kardynała.

Znowu zaległa cisza. Oboje stali po prostu, rozkoszując się niezwykłą atmosferą tej chwili, i oboje starali się rozpaczliwie znaleźć coś, co można by powiedzieć nie burząc nastroju, a raczej go spotęgować.

— Dobrze jest wiedzieć, że dzieci są bezpieczne — zaczęła znowu Theresa. — Tylko Dolg tak zupełnie nieoczekiwanie postanowił do nich wrócić — uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście — przyznał Erling, bo tylko Móri i on wiedzieli o niepokoju Dolga, że u Virneburgów coś jest nie tak jak powinno. — Rzeczywiście — powtórzył. — Bardzo się cieszę, że do nich pojechał.

Theresa uznała jego słowa za pochwałę miłości pomiędzy rodzeństwem, nic więcej.

Włosy księżnej dotykały twarzy Erlinga. Czuł ich ładny, czysty zapach. Theresa należała do kobiet, które przywiązują wielką wagę do higieny, zawsze zadbana, zawsze pachnąca, starannie uczesana. Erling bardzo to sobie cenił. Nie reagowała jednak histerycznie na brud, nie na tym to polegało. Zresztą tak już bywa, niektórzy ludzie, żeby nie wiem jak często się myli, i tak sprawiają wrażenie zaniedbanych i brudnych. Może to jakaś cecha skóry, a może zależy od nastawienia do życia?

Nie, teraz jego myśli zajmują się jakimiś głupstwami. Ale Erling bardzo dobrze wiedział, dlaczego tak się dzieje. To bliskość Theresy. Ona sama najwyraźniej śmiertelnie się bała, że zachowa się wobec niego zbyt poufale. Poznawał to po sposobie, w jaki wspierała rękę na drzewie, pod którym stali, by się trochę odsunąć od Erlinga. Poznawał to też po wyraźnej sztywności Theresy, po jej bardzo ostrożnym oddechu.

Zresztą on zachowywał się mniej więcej tak samo. Również bardzo uprzejmie się od niej odsuwał, choć najchętniej przygarnąłby ją mocno i powiedział, jak bardzo jest mu droga.

Erling w ogóle dość łatwo się zakochiwał. Jego miłosne historie były niezliczone, ale większość przemijała szybko, nie zostawiając w duszy godnych wzmianki śladów. Ożenił się natomiast tylko raz z tą Catherine, wesołą, zabawną, ale całkowicie nieodpowiedzialną kobietą.

Wtedy się sparzył, i to poważnie. Poza tym jednak jego nieważne romanse przeminęły bez śladu.

Z Thesą sprawy miały się odmiennie. Skończył właśnie czterdzieści dziewięć lat i pod wieloma względami był bardziej dojrzały. W jego stosunku do księżnej było coś delikatnego, bardzo ładnego i prawdziwego. Cała historia zaczęła się od przyjaźni, a to bardzo dobry początek. Zwykle daje to uczuciom większą stabilność. Powoli uświadamiał sobie, że jego tęsknota za tym, by przez resztę swego życia mieszkać w Theresenhof, ma za podstawę nie tylko jego zauroczenie posiadłością i okolicą. Głównym obiektem jego tęsknoty była właśnie Theresa.

Erling ubóstwiał jej małą rodzinę. Przyjaciela Móriego i Tiril, którą kiedyś, bardzo dawno temu, sam był dość poważnie zajęty i dlatego zazdrosny o Móriego, trójkę dzieci, które uważał za swoich podopiecznych, zresztą jedyne dzieci, jakie lepiej znał. Tak, bo mało interesującego potomstwa swojej siostry nie liczył. Było rozpieszczone i wymagające, chciwe na rodzinne pieniądze, które w istocie należały do Erlinga, ale którymi on hojnie się z nimi dzielił. Kiedyś najzupełniej przypadkiem podsłuchał rozmowę dwojga swoich siostrzeńców. Mówili oni ze złością, że ich matka twierdzi, iż to właściwie ona i jej mąż powinni zarządzać rodzinną firmą, bo wuj Erling niczego nie potrafi, jest zanadto ostrożny i tak dalej. Gdyby więc wuj nie stał im na drodze, to dzisiaj dzieci byłyby bogate i należały do

najlepszych kręgów towarzyskich Bergen. Erling dowiedział się też, że jest nudny i skąpy oraz że nie zasługuje na nic lepszego niż to, co otrzymywał od Catherine, która ośmieszała go przed całym miastem. Ale że jego wstyd i upokorzenie spadło też na rodzinę i przez jakiś czas oni, nieszczęsne dzieci, nie mogli się pokazywać w mieście.

Po tych wszystkich rewelacjach podróż do Austrii była dla Erlinga wielką ulgą.

Nigdy jednak nie oczekiwał, że będzie się tu czuł aż tak dobrze.

Była jeszcze jedna istota, która go uwielbiała. Teraz też w deszczu podbiegła czworonożna, czarna, kudłata postać, szukając przy nich schronienia.

Oboje, Erling i Theresa, zaczęli się śmiać, i oboje serdecznie głaskali Nera, a on tulił się do ich nóg, żeby pokazać, jak bardzo jest szczęśliwy.

W pewnym momencie Erling się wyprostował i wtedy dotknął policzkiem policzka Theresy, a ona się nie cofnęła. Zamilkła tylko i zaczęła się wpatrywać w kark Nera. Tutaj pod drzewem było dość sucho, ale poza nim deszcz spływał strumieniami.

Erling nie miał odwagi się poruszyć. Czuł jej policzek przy swoim zaledwie przez chwilę, ale to wystarczyło, by wzbudzić w nim mnóstwo uczuć. Czułych, szczerych, lecz także bardziej natrętnych. Tym ostatnim nie chciał się poddawać. Jeszcze nie teraz. Nie w ten sposób chciał się zbliżyć do Theresy.

Nagle zagrzmiało potężnie, wyładowanie nastąpiło szybciej, niż się wszyscy spodziewali. Musiało uderzyć gdzieś bardzo blisko, bo słyszeli świst pioruna i zostali oślepieni blaskiem. Konie zamarły, Nero przysunął się bliżej do ludzi, a Theresa instynktownie przywarła do Erlinga. On objął ją obiema rękami i szeptał jakieś uspokajające słowa. Potem jedną rękę przesunął w górę i przytulił do siebie jej głowę tak, że twarz Theresy opierała się o jego szyję.

Żadne się teraz nie poruszało. Wargi Erlinga dotykały jej włosów, a ona nie usuwała głowy. Wiedział, że musi słyszeć, jak bardzo wali mu serce, jak drży jego oddech. Ale on też czuł, że Theresa drży, że ciało się napina i że to drżenie nie ma nic wspólnego ze strachem przed burzą, więc starał się nie reagować. Erling pragnął, żeby ona zrozumiała, czym dla niego jest jej bliskość. Ile pięknych uczuć teraz dla niej żywił, ile czułości, serdeczności, miłości przepelniało jego serce.

Czy ona to rozumie?

Theresa nie miała odwagi oddychać. Atmosfera wokół nich nabrzmiała była nadzieją przemieszaną z lękiem.

I tak właśnie powinno być, myślała. Spontaniczne zbliżenie wywołane okolicznościami zewnętrznymi. O, pozwól mi to zachować jak najdłużej, nie poruszaj się, Erlingu, nie cofaj się teraz, nie odchodź ode mnie!

Czy on nie myśli, że ja się narzucam, skoro się nie wycofałam z jakąś dowcipną uwagą na temat niepogody? Czy zbyt otwarcie nie ujawniam swoich uczuć?

Czuję jego wargi na swoich włosach. Jego rękę. Ramiona obejmujące mnie

mocno. Jakie ten Erling ma piękne ręce. Jaki czysty profil. Kocham jego profil. Ja... Myślę, że on mnie lubi.

Ciepło jego ciała. Jak mocno bije mu serce. Oddycha tak ostrożnie, jakby się bał, że mnie przestraszy.

Jaka niezwykła cisza w centrum szalejącej burzy. Powietrze pod peleryną jest bardzo gorące od naszych uczuć

Nie chcę się poruszyć, żeby tego nie zniszczyć.

Drgnęła przestraszona, kiedy głos Erlinga zawibrował w jego piersi tuż pod jej wargami. Ale słowa, które usłyszała, były zwyczajne:

— Wygląda na to, że deszcz ustaje.

Całkiem instynktownie podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Tak.

Jego dłoń wciąż spoczywała na jej karku. Było więc czymś zupełnie naturalnym, że podniósł też i drugą, a potem długo, bardzo długo trzymał jej głowę w swoich dłoniach.

Patrzyli na siebie w półmroku.

Długo.

O Boże, myślała Theresa, jaka magiczna chwila. Co ja mam teraz zrobić?

On posunął się już tak daleko, jak tylko mógł w stosunku do osoby postawionej znacznie wyżej. Teraz kolej na mnie.

Powinna uczynić następny krok, ale nie jestem w stanie.

Nie zniósłabym myśli, że on czuje się zobowiązany do dalszych działań, żeby mnie nie upokarzać.

Świat wokół znieruchomiał.

Patrzyli na siebie jak zaczarowani, oboje przepełnieni takim samym szacunkiem, oboje tak samo spragnieni bliskości.

Ale psy są bardzo wrażliwe na tego rodzaju sytuacje. Koniecznie chcą też być z ludźmi, kiedy widzą, że oni się obejmują.

Nero wspinał się na tylnych łapach i stał się niemal tak samo wysoki jak oni. Oboje zaczęli go ze śmiechem poklepywać i obejmować, on zaś cieszył się jak szalony, że może być jednym z „nas trojga”.

— Kochany, stary druhu — powiedział Erling, głaszcząc go serdecznie po wielkim łbie. — Żebyś ty wiedział, jak cię lubię!

— Ja także — dodała Theresa. — No i patrzcie, już całkiem przestało padać.

Wyszli spod swojego prowizorycznego namiotu, ale kiedy wracali do reszty towarzystwa, Erling wciąż trzymał ją za rękę, a ona na to pozwalała.

Nie wiedziała, czy ta wielka ulga, jaką odczuwała, spłynęła na nią dlatego, że deszcz przestał padać, czy też z innego powodu.

Prawdopodobnie i jedno, i drugie.

— No to możemy ruszać dalej! — zawołała.

Móri spoglądał na Erlinga spod oka, poprawiając uprząż swojego konia.

Mój Boże, pomyślał Erling bliski szoku. Ja się przecież zalecam do teściowej mego najlepszego przyjaciela! Pomyśleć, gdyby...

Myśl, że mógłby zostać teściem Móriego, najpierw sprawiła mu przykrość. Potem napotkał jednak promienne spojrzenie przyjaciela i wargi obu mężczyzn zaczęły drżeć w powstrzymanym śmiechu. Ale zaraz zajęli się przygotowaniami do drogi.

— Możemy ruszać! — zawołał Erling. — Do Virneburg jest daleko, a dzień ma się ku końcowi.

Kiedy potem jechał wąską ścieżką, myślał o tym, co zaszło między nim a Theresą.

Dwoje pięćdziesięciolatek powinno mieć trochę więcej rozumu.

Ale właściwie dlaczego? Żadne z nich nie zaznało zbyt wiele szczęścia w swoim życiu, zanim nie pojawili się w nim Tiril i Móri. I Erling był pewien, że te uczucia, jakie żywił obecnie, były bardziej dojrzałe, czystsze i piękniejsze niż w młodości. I nie mniej silne. Nie mniej!

Czuł, że gotów jest dać Theresie tyle miłości, ile tylko zdoła w sobie wzbudzić. Jeśli ona mu na to pozwoli.

Była to jesienna miłość, miłość dwojga ludzi, w których życiu minęła już i wiosna, i lato.

Mieliby nie być w stanie przyjąć tego, co zaczynało się między nimi rozwijać? Uczynić z tego pięknej i bardzo ważnej sprawy. Oboje mieli przecież za sobą samotne życie. Ale czekało ich jeszcze wiele, wiele lat.

Dlaczego mieliby spędzić je oddzielnie, z dala od siebie?

Wybrać samotność zamiast poczucia bezpieczeństwa, jakie daje obecność drugiego człowieka, kogoś, kto rozumie, kogoś, kto dzieli z nami radości i zmartwienia. Więc cóż to szkodzi, że towarzysko i społecznie on stoi o wiele niżej od niej i może nawet nie jest godzien zawiązać sznurowadeł przy jej butach. Mimo wszystko jednak powinien jej pozwolić wybierać i decydować, czy da mu kosza, czy też jeszcze raz zlekceważy panujące w jej środowisku zasady.

Ale z drugiej strony, nie chciał całej odpowiedzialności składać na jej barki, nie chciał jej zmuszać do wykazywania inicjatywy. Powinien więc chyba postępować dalej drogą, na którą wkroczył, to znaczy nieznacznie posuwać się naprzód, ale też w żaden sposób się nie narzucać.

Tak, to właściwa droga.

A kiedy czas dojrzeje, dowie się na pewno, czy może już prosić o jej rękę.

Rozdział 16

Na starym strychu zamku Virneburg panowała głęboka cisza.

Dzieci słyszały dobrze, ktoś wszedł za nimi do wnętrza.

Może był to ten człowiek, który dopiero co opuścił zamek, ale coś zwróciło jego uwagę i zawrócić?

Odległość pomiędzy nimi a tym, który stał na podeście schodów, była znaczna, poza tym wszystko tonało w mroku, więc dzieci widziały tylko zarys sylwetki. Kogoś niewysokiego, to widać było wyraźnie.

Danielle stłumiła krzyk strachu. Mocno trzymała Villemanna i Taran za ręce.

— No to zostaliśmy odkryci — szepnął Villemann z rezygnacją.

— Nie, to jest duch — wykrztusiła Danielle głosem nabrzmiałym od łez. — Nikogo takiego w naszym dworze nie ma. To ten duch, którego widywał Rafael.

— Taran? Villemann? — doleciało do nich z dołu.

Bliźniaki odetchnęły z ulgą.

— Dolg! To jest Dolg — powtarzali oboje uszczęśliwieni.

Ich niezwykle starszy brat podszedł bliżej.

— Chodź, Danielle, to nasz brat.

— Ten, który wszystko potrafi?

— Tak — odparła Taran pociągając ją za sobą. — I nie przejmuj się jego wyglądem. On jest najsympatyczniejszym chłopcem na świecie.

Spotkali się pośrodku strychu.

— O, Dolg, jak dobrze znowu cię widzieć — cieszyła się Taran. — Zaplątaliśmy się chyba w największą przygodę świata, ale. . .

Villemann jej przerwał.

— Właśnie rozwiązujemy wielką zagadkę. To jest Danielle, i ona myślała, że to kukułka, a to jest Rafael. . .

Teraz dopiero spostrzegli, jak bardzo Dolg ostatnimi czasy wyrósł, jakoś wcześniej o tym nie myśleli. Obok tej małej, szczupłutkiej Danielle wyglądał niemal jak dorosły. No, może nie całkiem, ale i tak byli z niego strasznie dumni.

Wyciągnął rękę do panienki, która stała jak sparaliżowana widokiem tego zjawiska. Dokładnie tak jak ojciec, Dolg najbardziej lubił ciemne ubrania, ale zamiast ciemnobrązowych on wybierał antracytowo-niebieskie. Długie, czarne jak

węgiel loki spływały na ramiona, a w bladej twarzy oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle w tym mrocznym świetle starego strychu.

Taran przestraszyła się na moment reakcji Danielle. A jeśli on się jej nie spodoba? Może zdjęta strachem ucieknie?

Danielle jednak ujęła wyciągniętą dłoń i dygnęła głęboko tak samo jak wtedy, kiedy witała się z bliźniakami. O, Dolg, tylko nie zacznij się teraz śmiać, prosiła Taran w duchu. Ale nie potrzebowała się niczego obawiać, z wielką godnością i powagą Dolg odwzajemnił pozdrowienie dziewczynki męskim ukłonem. Jego rodzeństwo pojęcia nie miało, że Dolg w ogóle coś takiego potrafi.

Villemann odetchnął głośno.

Dolg zwrócił się do niego, co młodszego brata przepełniło dumą.

— Przyjechałem przed wszystkimi, ponieważ przeczuwałem, że coś się może stać. Mów teraz dalej, Villemannie, jak to było. A ty, Taran, mu nie przerywaj. Twoich komentarzy wysłucham później.

Deszcz przestał padać równie nagle, jak zaczął. Teraz o dach stukały cicho pojedyncze krople. Villemann opowiadał, co zaszło, a Taran niecierpliwie przeprowała z nogi na nogę.

Nareszcie przyszła też i jej kolej i dziewczynka upiększała opowieść brata szczegółami, dopóki Dolg nie podniósł ręki. Kazał wszystkim podejść do zamkniętych drzwi.

— A teraz ty, Danielle. Czy mogłabyś odpowiedzieć na kilka pytań?

— Oczywiście — odparła dziewczynka cieniutkim głosikiem przejęta, że Dolg zwraca się do niej, jakby była kimś ważnym.

— Czy wiesz, jaki pokój mieści się za tymi drzwiami?

— Nie wiem. Ja nigdy przedtem w zamku nie byłam. Przynajmniej odkąd pamiętam.

Dolg oglądał uważnie drzwi. Były, niestety, bardzo dokładnie zamknięte.

— Myśmy to już obejrzeni — mówił Villemann z zapalem. — Klucza nie mogliśmy nigdzie znaleźć. Ja wspiałem się nawet, żeby zobaczyć, czy futryna nie da się wyrwać, ale nie.

Jego starszy brat skinął głową.

— Mówisz, Danielle, że twój brat, Rafael, widywał duchy. Czy kiedy to się działo, nikt inny niczego nie widział?

— Nikt nie widział. W noc księżycowe duch poruszał się między drzewami tutaj, niedaleko zamku, a potem rozpływał się w powietrzu.

— I działo się to po tym, jak Rafael dostał te rysunki, które mi przed chwilą pokazywaliście? Od wuja waszego ojca.

— Tak. Tatuś i mamam mówią, że on zwariował od tych rysunków.

Dolg stał przez chwilę pogrążony w myślach. Potem zdecydował:

— Musimy otworzyć te drzwi, zanim ktoś tu przyjdzie.

— Tak, ale w jaki sposób?

— Danielle, czy możesz zaświadczyć, że twój brat Rafael jest dobrym człowiekiem?

W oczach małej pojawiły się łzy.

— O, tak, najlepszym, jaki istnieje! On był taki samotny i nieszczęśliwy!

Niezwykły Dolg uśmiechnął się do niej.

— To samo odnosi się też pewnie do ciebie? Dwoje samotnych, dobrych dzieci na okrutnym świecie.

Po reakcji Danielle poznali, że bardzo jej się jego słowa podobały. Villemann pojmował, że teraz Dolg jest jej bohaterem, ale, choć to może dziwne, nie odczuwał zazdrości. Był po prostu dumny ze swego brata.

Chyba zaczyna mi się poprawiać charakter, pomyślał. Może to znaczy, że staje się dorosły?

Dolg rozwiązał swój woreczek.

— O, Danielle — jęknęła cichutko Taran. — On ma zamiar użyć swojego kamienia!

— Tak — potwierdził Dolg. — Rafael jest dobrym człowiekiem i zasługuje na wszelką możliwą pomoc. Zresztą ja wiem, że duchy istnieją. To nie jest powód, żeby zamykać małych chłopców. Dlatego myślę, że moja cudowna kula tutaj pomoże. A trzeba ci wiedzieć, Danielle, że nie zawsze jest to takie pewne, nie zawsze mogę pomagać, bo zły człowiek mógłby skazić i uszkodzić szlachetny kamień.

Danielle wpatrywała się w kulę, którą Dolg unosił oburącz.

— O, jaka piękna!

— To jest szafir — wyjaśniła Taran fachowo. — Największy na świecie. Ale nie wolno ci nikomu o nim opowiadać, bo jeszcze by ktoś chciał go ukraść.

— Nikomu nie powiem.

Dolg poprosił, żeby się trochę odsunęli. Sam uniósł kamień przy drzwiach i szeptał coś, czego nie rozumieli.

W ciszy słyszeli drżący oddech Danielle, kiedy już nie była w stanie go wstrzymywać. Szafir wysyłał swoje piękne, przypominające błyskawice promienie.

Po chwili rozległ się jakiś dźwięk, jakieś stuknięcie w zamku i drzwi powoli się otworzyły.

— Ale... jak to się... — zaczęła Danielle.

— On robi wszystko, o co go proszę. Jeśli cel jest szlachetny. A ten najwyraźniej jest.

Danielle wyglądała tak, jakby się zastanawiała, czy nie pora przestać się dziwić wszystkiemu, co Dolg mówi i robi.

Tak jak sądziła Taran, za pierwszymi drzwiami znajdowały się drugie. Ale te wewnętrzne nie miały zamka i stały lekko uchylone.

— Danielle — szepnął Dolg, a oczy dziewczynki wyrażały najgłębsze skupienie. — Ciebie on zna. Idź ty pierwsza, żeby się za bardzo nie przestraszył, jeśli on się tam znajduje i jeśli jeszcze żyje. Ale nie bój się! Nawet gdyby wewnątrz było więcej osób, to ja i Villemann idziemy za tobą.

— I ja — dodała szeptem Taran. — A ja jestem bardzo silna.

— Tak, oczywiście — zgodził się Dolg. — Ale teraz idź na końcu! Bo gdyby ktoś szedł za nami. . .

Taran natychmiast obejrzała się przez ramię z bardzo zdecydowaną miną.

— Musisz teraz otworzyć, Danielle — szepnął Dolg. — Tylko ostrożnie.

Dziewczynka posłuchała natychmiast, chcąc jak najszybciej pokazać, ile naprawdę potrafi teraz, kiedy inni jej ufają. Kiedy pozwolili jej z sobą być, kiedy ona się też liczy.

Zapomniała o sobie samej, o własnym strachu, myślała tylko o tym niewiarygodnym, fantastycznym zadaniu.

Rafaël? Nie, nie powinna sobie niczego wyobrażać. On nie żyje. Dlaczego dorośli mieliby mówić takie straszne kłamstwa?

Powoli, powoli uchyliła drzwi. Jak dobrze jest mieć za sobą dwóch dużych, silnych chłopców. I Taran. Najlepszą przyjaciółkę. Danielle nigdy nie miała najlepszej przyjaciółki. Ani przyjaciółki w ogóle. A dorośli nie chcieli z nią rozmawiać, bo była mała i bała się wszystkiego.

Myśli krążyły w głowie Danielle niczym przestraszone ptaki, nie miały odwagi zatrzymać się na tej jednej sprawie, którą ona właśnie się zajmowała.

Drzwi zostały otwarte.

Duży pokój. Łóżko z baldachimem. Piękne staroświeckie meble. Ciężkie zasłony na małych okienkach.

Za oknami las.

Drobna postać w wielkim łożu. Błada z braku słońca buzia, sine cienie pod oczyma. Brązowe gładkie włosy pozbawione blasku. Prawie nietknięte jedzenie na tacy obok.

Wielkie oczy wpatrywały się z przerażeniem w drzwi.

— Rafaël? To ja, Danielle.

— Danielle? Ja myślałem, że ty nie żyjesz. Oni mówili, że umarłaś. Danielle?

Pytanie zabrzmiało jak wołanie o ratunek. A potem chłopiec dodał przestraszony:

— Uwważaj! Nie wchodź tutaj, bo i ciebie zamkną.

— Nie, Rafaelu, ja mam ze sobą przyjaciół — mówiła pociągając nosem Danielle. — Ach, Rafaelu, Rafaelu! Oni mówili, że ty nie żyjesz!

Podbiegła do łóżka i rodzeństwo ze szlochem rzuciło się sobie w ramiona.

— Taka byłam bez ciebie samotna, braciszku. Ale teraz przyszedliśmy, żeby cię stąd zabrać. Zaraz, natychmiast, zanim ktoś nas zobaczy. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Wycieńczony drobny chłopczyk ocierał oczy i raz po raz spoglądał w stronę drzwi. Patrzył na dwoje dzieci rozpromienionych jak szczęśliwe słoneczka, jak anioły, które dokonały wielkiego i miłosiernego czynu, oraz na większego chłopca, którego wygląd przerażał go i fascynował. Jak zaczarowany musiał stale spoglądać na Dolga.

— Czy to jest król elfów? — zapytał wreszcie, a Taran aż drgnęła, takie jej się to pytanie wydało uzasadnione. Rzeczywiście, król elfów musiał wyglądać właśnie tak.

— Nie, on ma na imię Dolg — wyjaśniła Danielle. — I wszystko potrafi, dokładnie tak jak ty.

Teraz wszystkie obce dzieci podeszły do łóżka.

— Ja słyszałam wołanie szarej kukułki — tłumaczyła Danielle promieniejąca szczęściem. — Ale potem przyszli Taran i Villemann i powiedzieli, że kukułka kuka tylko w maju, a wtedy zrozumieliśmy, że to musisz być ty.

— Tak — przyznał Rafael z powagą. — Claude każdego wieczora otwiera okno, więc rano, kiedy wszyscy jeszcze śpią, próbuję udawać kukułkę. Boję się wołać normalnym głosem. Mam tylko nadzieję, że ktoś mnie usłyszy i zrozumie. Jeśli jeszcze w ogóle ktoś żyje. Dziękuję ci, że przysłaś. Dziękuję wam wszystkim!

— Ale ty musisz stąd wyjść! — zawołał Villemann rozgorączkowany. — Chodź, trzeba się spieszyć. Znacie może jakąś dobrą kryjówkę?

Zmęczona twarzyczka Rafaela wyrażała głęboką rozpacz.

— Ja nie mogę, ale dziękuję wam, że przyszliście! Wnieśliście tyle radości do mojego życia.

— My możemy cię wziąć na ręce — oświadczył Dolg.

— To się na nic nie zda. Ja stąd nie wyjdę. Idźcie już teraz, zanim Claude przyniesie kolację!

— Czy on jest dla ciebie sympatyczny? — zapytała Danielle.

— Sympatyczny? Claude? Dla niego jestem nikim. On mnie w ogóle nie widzi.

— Rozumiem, co masz na myśli — potwierdziła jego siostrzyczka. — Claude jest jak lód.

— Tak. On mnie zabija.

Dolg nie miał czasu na rozmowę o Claudzie.

— Powiedz mi, dlaczego nie możesz stąd wyjść?

Twarz Rafaela wyrażała śmiertelne zmęczenie.

— Zobacz sam — powiedział.

Chłopiec wskazał na koldrę. Dolg uniósł ją i wszyscy jęknęli ze zgrozą. Rafael był przykuty do łóżka żelaznymi kajdanami. Na nogach wokół kostek miał głębokie rany.

— Dlaczego? — wyszeptał Villemann.

— Raz próbowałem uciec. Ale nie udało mi się wydostać z zamku.
Dolg zdążył już dokładnie obejrzeć ciężkie łańcuchy.
— Gdzie są klucze?
— Ma je Claude.
— Czy twoi rodzice na to pozwalają? — Taran była wstrząśnięta.
— Moi rodzice? A czy oni żyją? Claude powiedział, że umarli.
— Nigdy tutaj nie byli?
— Nie. Czy Claude ich oszukał? Powiedział, że ja umarłem? Dziękuję! Och, dziękuję! O, jakże oni się ucieszą, kiedy mnie znowu zobaczą! Musicie im powiedzieć, że... tutaj jestem!
— Nie ma czasu na rozmowy — rzekł Dolg z powagą, podchodząc do łóżka.
— Musimy się spieszyć.
— Kula? — zapytała Taran.
— Tak, Dolg ma kulę ze szlachetnego kamienia — wyjaśniała Danielle z przejęciem. — Ona otwiera wszystkie dobre drzwi.
Rafaël nie bardzo zrozumiał jej tajemnicze wyjaśnienia, co może nie było takie bardzo dziwne. Ale Dolg ponownie wyjął szafir i uniósł go nad kostkami Rafaëla. Kamień zaśnił płomiennym błękitem, zaiskrzył i oto kajdany spadły z nóg chłopca.
— Nie mam teraz czasu na leczenie ran — powiedział Dolg i pospiesznie schował znowu kulę do woreczka. — Później się tym zajmiemy. Teraz musimy iść.
Villemann, który stał obok łóżka, kiedy Dolg unosił cudowną kulę i otwierał kajdany, nie mógł się nadziwić, jaki „światlisty” stał się ostatnio jego starszy brat. I stawał się bardziej światlisty za każdym razem, kiedy dotykał kamienia. Nie był eteryczny i raczej nie należało się obawiać, że za chwilę rozpułynie się w powietrzu i zniknie. Była w nim wielka siła i dobroć. A także mądrość. Dolg musi teraz być bardzo mądry, myślał Villemann z podziwem.
Ocknął się z zamyślenia, kiedy starszy brat poprosił go, by pomógł mu nieść Rafaëla. Villemann podpierał chłopca z jednej strony, Dolg z drugiej. Villemann o mało nie pękł z dumy, że może być tak potrzebny.
Dziewczynki zebrały ubrania Rafaëla, które mogły mu się przydać, ale nie było czasu na przebieranie się. Na razie Rafaël musiał pozostać w nocnej koszuli.
Bardzo powoli schodzili w dół, bo Rafaëlowi było trudno poradzić sobie z nową sytuacją, nogi się pod nim uginały, rany po kajdanach bolały przy każdym ruchu, w ogóle chodzenie, inne otoczenie niż pokój na strychu, a przede wszystkim wielkie wzruszenie, że jest wolny, że będzie mógł opowiedzieć rodzicom, że żyje i o tym, co mu zrobili Claude i mademoiselle, wszystko to sprawiało, że bliski był omdlenia.
Tak, mademoiselle też brała udział w przestępstwie, poinformował Rafaël swoich wybawców, kiedy byli już na schodach. Przychodziła dwa razy dzien-

nie, żeby się nim zajmować, myć, przebierać, a on nienawidził, żeby go dotykała, bo nie okazywała mu ani odrobiny troskliwości. I ona, i Claude uwielbiali wygłaszać złośliwe i raniące uwagi, które odbierały chłopcu resztki odwagi, o co zresztą im chodziło. Przeważnie mówili, że szalone dzieci należy trzymać w zamknięciu albo, że powinny na nie spadać wszelkie możliwe kary świata. Celowała w tym zwłaszcza mademoiselle. Claude, jak powiedziała Danielle, był zimny niby lód. Rzadko kiedy co mówił, ale jeśli już, to na pewno nie było to nic przyjemnego.

Zatrzymali się wszyscy przy drzwiach wyjściowych.

— Wymyśliłaś jakąś dobrą kryjówkę, Danielle? — zapytał Dolg.

— Nie, o niczym takim nie wiem — szepnęła dziewczynka i dodała z zalem: — Początkowo myślałam, że zaproponuję, byśmy poszli do mojego pokoju, bo tam prawie nigdy nikt nie zagląda, ale przecież mogłaby przyjść mademoiselle, więc nie można...

Rafael niecierpliwiał się.

— Ale nie potrzebujemy żadnej kryjówki! Przemkniemy się do pałacu tak, żeby Claude i mademoiselle nas nie zobaczyli, i od razu pójdziemy do taty i do mamy!

Reszta przyglądała mu się niepewnie.

Dolg westchnął.

— Masz rację, Rafaelu. Tak byłoby najlepiej. Ale zanim stąd wyjdziemy, chciałbym usłyszeć nieco więcej na temat tego ducha, który ci się ukazywał.

— Ech, co tam — bąknął Rafael, odwracając głowę. — I tak nikt mi nie wierzy.

— Ja sam widuję upiory — oznajmił Dolg spokojnie. — Dość swobodnie poruszam się po różnych rejonach tamtego świata, dlatego wiem, że mówisz prawdę. Ale muszę dowiedzieć się nieco więcej o tym, co widziałeś, bo wydaje mi się, że to ważne. Rozumiesz mnie?

Rafael patrzył na niego takim wzrokiem, jakby po długotrwałej nocy zobaczył wschód słońca.

— Czy ty naprawdę widzisz upiory? I naprawdę wierzysz w to, co mówię?

— Oczywiście! No to ruszajmy! Nie mamy zbyt wiele czasu.

Znaleźli niedużą piwniczkę, pod której ścianami stały kamienne ławki. Usiedli, a Rafael raz po raz głęboko wzdychał, jakby w ten sposób chciał wyrazić samotność wielu miesięcy i radość z niespodziewanej życzliwości, jaką go otoczyło. Dolg okrył jego szczupłe ramiona swoją kurtką, bo w piwnicy było zimno i wilgotno. Rafael zdążył tymczasem włożyć długie spodnie, nie miał tylko butów. Ale też na razie ich nie potrzebował, bo owinięto mu poranione stopy kocem, który Taran zabrała z sypialni.

— No, to opowiadaj! — zachęcał Dolg.

Równy mu wiekiem Rafael był od niego o wiele mniejszy, widocznie więc rodzeństwo von Virneburg odziedziczyło po matce te drobne, delikatne figurki.

Rafael, który przez cały rok skazany był wyłącznie na własne towarzystwo i na niechciane wizyty Claude'a i mademoiselle, siedział teraz wśród rówieśników i rozkoszował się ciepłem płynącym z poczucia wspólnoty, które przepędzało chłód panujący w pomieszczeniu, jak i wewnętrzny chłód samotności. Raz po raz ocierał łzy ulgi.

W końcu opowiedział o starszym mężczyźnie, którego widywał z okna swego pokoju. O tym, jak ta dziwna postać przemykała się między drzewami, a potem niedaleko zamku rozpływała w powietrzu.

— Ty mówisz teraz o oknie twojego pokoju w pałacu, prawda? — uściślił Villemann, który bardzo lubił takie rozsądne pytania.

— Tak, i myślałem wtedy, że to bardzo ważne, bym o wszystkim opowiedział rodzicom, ale oni się bardzo gniewali i od tego czasu zawsze, kiedy mieliśmy mieć gości, musiałem siedzieć w swoim pokoju, zamknięty na klucz.

Taran wtrąciła trzeźwo:

— Ja ci wierzę, że widywałś tego starego człowieka. I myślę, że to ten sam, którego i my spotkaliśmy. Rabin Etan.

Rafael spojrział na nią.

— Wuj Etan? Nie, to nie on. Wuj Etan zwykł przychodzić do mojego pokoju, kiedy nikt nie widział. A zanim jeszcze zacząłem widywać ducha, wuj Etan bardzo wiele mnie nauczył.

— Takich rzeczy jak te? — zapytała Taran, wyciągając kartkę z rysunkami. Villemann pokazał też swoją.

— Tak, właśnie takich. I musiałem się tego wszystkiego uczyć na pamięć. Ale tylko tego, co masz ty, Villemann. Rysunku Taran nigdy nie widziałem.

— Nie, ona to dostała tylko dlatego, że jest dziewczyną — wyjaśnił Villemann nie bez złośliwości.

— Ale to właśnie moje tablice są ważne! — prychnęła Taran.

— No, no — uspokajał ich Dolg. — Popęlniasz błąd, Taran, sądząc, że duch wygląda jak żywy człowiek. Ja też widziałem tego ducha, kiedy jechałem teraz do zamku. Wyjechałem z lasu i natychmiast zobaczyłem go w parku. To starszy mężczyzna i rzeczywiście rozpływa się w powietrzu.

— Och! — jęknęła Danielle wytrzeszczając oczy.

Rafael poszukał ręki Dolga. Bardzo potrzebował wspólnoty i zrozumienia.

Z dającą poczucie bezpieczeństwa ręką w swojej dłoni mógł opowiadać dalej.

— Wuj Etan nigdy więcej potem nie przyszedł.

— Tak, ja też o tym wiem — przyznała Danielle. — On się bardzo kłócił z rodzicami, nie pamiętasz?

— Pamiętam. I oni wypędzili go, zakazali mu się pokazywać we dworze, powiedzieli, że służba będzie do niego strzelać, jak jeszcze kiedyś przyjdzie.

— Ale dlaczego? — zapytała Taran.

— Tego nie wiemy — odpad Rafael. — Natomiast ja próbowałem opowiadać o swoich widzeniach służbie i trochę też ludziom z miasteczka. Próbowałem nawet rozmawiać o tym z pastorem. . . I następnej nocy po tym przyszedł Claude i zaniósł mnie do zamku.

— A wszystkim powiedzieli, że umarłeś — westchnęła Danielle ze smutkiem. — Na początku słyszałam, że ktoś krzyczy. Czy to byłeś ty?

— Tak. Siadywałem na oknie i krzyczałem. Wtedy Claude zaczął mnie wiązać. Ale pewnego razu udało mi się wyrwać i już byłem blisko drzwi zamku, przyszła jednak mademoiselle. Musieli biegać za mną długo, zanim mnie złapali. Od tamtej pory leżałem w kajdanach.

Reszta dzieci mogła sobie bez trudu wyobrazić drobnego, przerażonego chłopca, biegającego po ponurym zamczysku, i dwoje pełnych nienawiści dorosłych ludzi, którzy go gonią. Taran czuła w piersiach bolesny skurcz.

— No tak, to wszystko, co miałem do opowiedzenia — zakończył Rafael pokornym głosem. Dolg skinął głową.

— Dobrze, to teraz pozostaje pytanie, dlaczego ty i Villemann dostaliście te kartki? Sądzę, że na rysunek Taran możemy nie zwracać uwagi, Villemann ma chyba rację, ona swój dostała niejako na pocieszenie, jako dziewczynka. Co oznacza ten tekst?

Odpowiedział Villemann:

— Osiemnasta Tablica, czyli Tablica Słońca, ma służyć szlachetnym uczynom. Duchy tablicy mogą też przyciągać do mnie złoto i kosztowności. Mam przeczytać tekst?

— Nie, teraz nie mamy czasu — rzekł Dolg w zamyśleniu. — Ale już to, co powiedziałaś, jest dość wymowne. Taran, dla wszelkiej pewności powiedz i ty, co oznacza twoja tablica.

Taran wyprostowała się dumnie.

— Wiem to bardzo szczegółowo. Tablica Dziewiąta jest tablicą Venus. Sprawia ona, że człowiek jest zawsze kochany, a poza tym ona może przekazywać tajemnice we śnie. Duchy tablicy pomogą mi bardzo w rozmaitych działaniach.

Starszy brat patrzył na nią z uwagą.

— To niemądre z twojej strony, że nie próbowałaś tłumaczyć snów. Może mogłabyś się dowiedzieć czegoś ciekawego.

— Głuptasie, przecież ja nie spałam od czasu, kiedy mam tę tablicę.

— No tak, słusznie, wy oboje macie za sobą bardzo długi dzień. Wstaliście przecież bardzo wcześnie.

— W środku nocy — oznajmił Villemann z przesadą.

— Rafaelu — Dolg zwrócił się do chłopca, który, choć taki młody, miał już pozbawione iluzji spojrzenie dorosłego człowieka. — Co oznacza tekst na twojej tablicy?

— To samo co Villemanna. Ze wszystkimi szczegółami.

Tego właśnie Dolg się spodziewał.

— Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli tu zostać jeszcze jeden dzień — powiedział z niecierpliwością. — Bo teraz już się zaczyna zmierzchać. No ale trudno, zostać nie możemy, musimy działać dziś wieczorem.

— Możemy przecież wrócić — zaproponowała Taran nieśmiało. — Kiedy już znajdziemy mamę.

— Nie! — odparł Dolg stanowczo. — Wtedy będzie już za późno.

Troje dzieci Tiril i Móriego spoglądało po sobie. Bliźniaki rozumiały ostrzeżenie Dolga. Jeśli chodzi o Rafaela, to sprawa mogła być załatwiona teraz albo nigdy.

Serca im się ścisnęły. Patrzyli na dwoje malców, którzy nigdy nie mieli zapomnieć tej chwili wspólnoty z innymi dziećmi. Jakież to bezgranicznie ubogie życie, skoro chwila spędzona w zimnej i wilgotnej piwnicy ma pozostawić niezapomniane wrażenie!

— Rafaelu! — rzekł Dolg zdecydowanie. — Na dworze zapada już zmierzch i tak jest dla ciebie lepiej. Jeśli teraz wyjdziemy do parku, do tego miejsca, w którym widywałeś upiora... To czy myślisz, że z głównego budynku ktoś mógłby nas zobaczyć?

— Tylko z okien mojego dawnego pokoju. Ale tam chyba nikt nie zagląda.

— Znakomicie! W takim razie idziemy! Zaczyna znowu kropić deszcz, ale to nic nie szkodzi.

Zbite z desek drzwi wejściowe były nadal zamknięte na klucz, wobec czego dzieci musiały wyjść inną drogą, Dolg bowiem nie chciał zużywać siły kamienia na otwieranie byle drzwi. W piwnicy znaleźli niskie okienko i przeszli tamtędy.

Okienko było wąskie, ale dzieci zdołały się bez trudu prześlizgnąć. O takim pełnym przygód dniu Danielle nie odważyłaby się nigdy nawet śnić. Przez cały czas robiła rzeczy, które normalnie w ogóle by jej nie przyszły do głowy.

Chłopcy pomogli jej przedostać się przez okno, a ona stała zdyszana i przejęta. Ale najwspanialsze ze wszystkiego było to, że uwolnili Rafaela. Otrzymała na powrót tego brata, którego opłakiwała przez tak wiele samotnych dni i nocy.

Rafael, ubrany tylko w nocną koszulę i spodnie, z wielką przyjemnością wciągał do płuc świeże powietrze. Był dumny, że może swoim wybawcom pokazywać drogę. Ale i Dolg sam z siebie wyczuwał, którędy powinni iść.

Kiedy okrążyli zamek i znaleźli się w parku, otulonym wciąż gęstniejącym mrokiem, Rafael, któremu marzły obolałe nogi, powiedział:

— To było tutaj! Czy też widziałeś go w tym miejscu, Dolg?

— Właśnie w tym miejscu zniknął mi z oczu.

Znajdowali się jeszcze bardzo blisko gładkiej ściany zamku. No, może nie tak całkiem gładkiej... Mur był bardzo zniszczony.

— Czy nie mógłbyś posłużyć się kulą? — zapytała Taran cicho.

— Nie — odparł Dolg. — Wyczuwam tutaj jakieś elementy zła. Bądźcie teraz cicho! Stójcie spokojnie!

Ujął rękę Rafaela.

— Chciałbym wzmocnić wrażenia nas obu — szepnął, pozostała trójka stała bez ruchu, wstrzymując dech i nie pojmując, co się dzieje.

— O... — wykrztusił Rafael i szarpnął się, jakby chciał uciekać. — Idzie! On idzie! Upiór!

Troje małych widzów nie zauważało niczego, ale mogli śledzić upióra, patrząc na twarze dwunastolatków. Danielle ścisnęła ręce bliźniaków aż do bólu.

Wyglądało na to, że ten niewidzialny zbliża się do zamku.

— Tam... On zniknął — szepnął Rafael. — Tuż przed murem.

Dolg puścił jego rękę i podszedł do muru. Dotykał kamienia, ale nie znajdował niczego szczególnego.

Rafael stał bez ruchu z mocno zaciśniętymi wargami.

— Ja go poznałem — powiedział po chwili cichutko, prawie nie otwierając ust.

— Naprawdę? — zapytał Dolg. — Kto to był? Myślę, że to ważne.

— To był... Nie pamiętam, jak on się nazywał. Ty będziesz wiedziała, Danielle. To człowiek z portretu, który wisi w bibliotece.

— To baron Rupert von Virneburg — oznajmiła jego siostra. — Dziadek naszego taty. Ostatni, który mieszkał w starym zamku, to on wybudował nowy dom i się do niego przeprowadził.

— No dobrze — odetchnął Dolg. — Czyli już wiemy, kim był. A teraz ciekawe, dlaczego nie znalazł spokoju na tamtym świecie?

Rozdział 17

Nigdy jeszcze Móri i Erling nie widzieli Theresy tak wyniosłej, takiej... habsburskiej. Była teraz księżną każdym włókniem swego ciała, była córką cesarza i siostrą innego cesarza. Stała we wspaniałym salonie von Virneburgów i patrzyła na gospodarzy miazdzącym wzrokiem.

— Ulokowaliście moje wnuki w pokoju kredensowym? — pytała lodowatym głosem.

Młoda baronowa ze swoją francuską delikatnością jąkała jakieś odpowiedzi.

— Nno, nnie, to znaczy tak, ale one same chciały.

Jej małżonek potakująco kiwał głową. Uznał, że to najlepsze rozwiązanie tego nieprzyjemnego problemu.

— A gdzie nasze dzieci są teraz?

— Ja nie... Owszem, wiem, to znaczy w parku.

— W parku? Przecież na dworze pada! A poza tym robi się ciemno.

— Dobrze, to pewnie jakaś służąca zabrała je do środka.

— Zabrała do środka? Czy oni są praniem, które się wywiesza albo zabiera do środka? Proszę natychmiast odszukać dzieci, dobrze państwu radzę! A gdzie jest Dolg, mój najstarszy wnuk? On tu przyjechał, żeby się zająć swoim rodzeństwem.

Małżonkowie byli najwyraźniej zakłopotani. Pani nerwowo dzwoniła na służbę, ale zanim ktokolwiek zdążył się pokazać, z głębi domu przybiegła mademoiselle.

— Wasza wysokość... panienka Danielle zniknęła.

— Co? — krzyknęła baronowa. — Pewnie ją uprowadziły te wstrętne dzieci!

Jej mąż, właściciel posiadłości, chciał jakoś załagodzić histeryczny wybuch małżonki.

— Moja droga, istnieje z pewnością jakieś całkiem naturalne wytłumaczenie. A te dzieci były przecież bardzo miłe, przynajmniej na takie wyglądały. Szanowna księżno, zapewniam, że zostały tutaj przyjęte najlepiej jak można... .

— Ale gdzie one teraz są? — chciał wiedzieć Móri. — Przyznaję, że Taran i Villemann bywają czasami trochę nieodpowiedzialni, lecz Dolg nigdy! I nie rozumiem, czemu go tutaj nie ma.

— Kiedy widziano dzieci po raz ostatni? — zapytał Erling.

— Eee, nooo — stękał gospodarz. — To było... w czasie obiadu.

— Który dzieci jadły w pokoju kredensowym — wtrąciła Theresa gniewnie.

— Potem zostały wysłane na dwór, żeby się tam bawić — wyjaśniła mademoiselle. — Bo same tak chciały. Bardzo się spieszyły, żeby wyjść. Ale teraz najważniejsze jest to, gdzie się podziała panienka Danielle. Nigdy przedtem się nie zdarzyło, żeby opuściła swój pokój. Nigdy!

I właśnie w tym momencie dzieci gromadnie wkroczyły do salonu. Za nimi nadbiegł Claude i dorośli widzieli, że bardzo się starał odciągnąć Rafaela od chłopców z powrotem do hallu. Villemann jednak kopnął służącego w goleń tak, że tamten zaczął z bólu skakać na jednej nodze. Wtedy Taran podstawiła mu nogę i Claude jak długi rymnął z hałasem na podłogę.

— Mamo! Ojczy! — wołał Rafael zdławionym głosem. — Oto jestem! Jak widzicie, żyje!

Widząc go młoda baronowa zemdląła, jej mąż natomiast zrobił się purpurowy i ryknął:

— Co ty tu robisz, Rafaelu? Kto cię wypuścił na wolność?

Teraz zaległa przytłaczająca cisza. Dzieci stały jak sparaliżowane, radość w oczach Rafaela zgasła. Goście przyglądali się baronostwu von Virneburg z niedowierzaniem.

Pani ocknęła się z jękiem. Usiadła i przetarła oczy.

— Ja myślałam... ale jest dokładnie tak, jak widziałam... Rafael. On nie powinien się tutaj pokazywać! I co to za potworek przyszedł razem z dziećmi?

— Mamo — zaczął chłopiec matowym głosem. — To znaczy... maman.

Nareszcie oboje rodzice otrząsnęli się z szoku. Rzucili się do Rafaela i zaczęli go obejmować.

— Och, dziecko najdroższe, czy to naprawdę ty? A my myśleliśmy, że umarłeś. Gdzieś ty się podziewał, nasze kochanie? Mamusia i tatuś tak strasznie za tobą tęsknili — szczebiotali jedno przez drugie.

Ale było za późno. Nikt, a już zwłaszcza Rafael, nie wierzył ich słowom.

I nic też nie pomogło, że starali się winą za wszystko obciążyć Claude'a i mademoiselle, że to oni uwięzili ich synka. Wszyscy słyszeli i widzieli ich pierwsze reakcje, i tego nie dało się już cofnąć.

— Czy moglibyśmy się dowiedzieć, co to wszystko znaczy? — zapytał Móri.
— Villemann, ty byłeś tu przez cały czas, mów ty.

Chłopiec pojmował, że jest ważne, by zrobić dobre wrażenie, w związku z czym powinien się wyrażać jasno i wyraźnie, i dosłownie przeszedł sam siebie. Taran przyznała później, że ona sama nie zrobiłaby tego lepiej.

— Oni powiedzieli, że mamy iść na dwór i tam się bawić, więc tak zrobiliśmy. Po pewnym czasie trafiliśmy do oranżerii po tamtej stronie domu i przez nią weszliśmy do środka, a stamtąd schodami na strych, gdzie znaleźliśmy całkiem

nowe ołowiane żołnierzyki. Później spotkaliśmy Danielle. Poszliśmy z nią do jej pokoju i . . .

— O, łobuzy! — krzyknęła mademoiselle. — Tam akurat nie mieliście nic do roboty!

Villemann mówił dalej nie zrażony jej uwagami:

— I zrozumieliśmy, że ona jest strasznie samotna, ona opowiedziała nam o kukułce, która krzyczy zawsze nad ranem, przez cały rok, i powiedziała nam, że jej brat, Rafael, nie żyje i że on umiał bardzo ładnie naśladować kukułkę, to wtedy my się domyśliliśmy, że to nie kukułka, tylko on, i . . .

— Chwileczkę, Villemann — przerwał mu Móri. — Bądź łaskaw od czasu do czasu nabierać powietrza. A poza tym opowiadasz bardzo dobrze. Mów dalej!

Odetchnąwszy głęboko Villemann podjął opowieść:

— I wtedy Danielle powiedziała nam, z której strony słyszy tę kukułkę, i to było od tylnej strony starego zamku, więc tam poszliśmy i znaleźliśmy Rafaela, a . . .

Claude, który stał przy drzwiach i rozcierał bolące nogi, ryknął:

— Jakim sposobem się tam dostaliście?

— Drzwi na dole były otwarte, bo wy byliście właśnie w zamku — odparł Villemann.

Claude zaklął cicho, a potem zapytał:

— A drzwi na górze? Nie mogliście ich otworzyć!

— Mogliśmy, bo kiedyśmy tak stali na strychu, przyszedł Dolg. On też wszedł do zamku w czasie, kiedy wy byliście u Rafaela, słyszeliśmy, że ktoś wszedł za nami. A Dolg potrafi otworzyć każde drzwi, byleby tylko za nimi znajdowało się dobro — oznajmił Villemann z dumą.

— Co to znowu za gadanie? — wybuchnął baron.

— Owszem, to prawda — wtrącił Móri. — Dolg nie jest takim człowiekiem jak my i posiada środki działania, o jakich wielu mogłoby tylko marzyć. Ale to należy wyłącznie do niego. A poza tym on nie jest potworkiem, zapewniam państwa! Wprost przeciwnie!

Villemann skinął głową.

— Rafael leżał w łóżku, przykuty kajdanami. Pokaż im, jakie masz rany na nogach, Rafael!

Chłopiec usłuchał. Baronowa krzyknęła i ponownie zemdląła, ale księżna i jej pokojówka miały łzy w oczach.

— Jak można coś takiego zrobić niewinnemu dziecku? — wykrztusił Erling.

— Niewinnemu? — wrzasnął von Virneburg. — On jest szalony! Chłopak zwariował, a my i tak jesteśmy bardzo humanitarni, że nie odesłaliśmy go do domu wariatów. Miał u nas dobrze, Claude i mademoiselle mogą potwierdzić. A skoro się szarpał w kajdanach, to sam jest sobie winien, że porobiły mu się rany na nogach.

— Na czym opieracie to przekonanie, że chłopiec „zwariował”? — zapytała Theresa bardzo spokojnie, co nie wróżyło nic dobrego.

— Miał halucynacje — odparł jego ojciec krótko. — To było bardzo nieprzyjemne dla nas wszystkich.

— To nie były halucynacje — powiedział Dolg. — Ja sam widziałem upiora. Móri skinął głową.

— Rafael ma prawdopodobnie zdolność widzenia duchów tak samo jak mój syn i ja sam, a także wielu innych ludzi, którzy we wszystkich epokach byli zamknięci w domach wariatów. Nic to oczywiście nie pomogło. Ci ludzie mają po prostu dar, którego inni nie są w stanie pojąć, a przecież istnieje na świecie bardzo wielu głupich ludzi, którzy uważają, że coś, czego oni nie widzą, nie może istnieć.

— Ja wiedziałam — pisnęła Danielle uszczęśliwiona. — Ja wiedziałam, że Rafael nie był. . .

— Danielle! — ryknął jej ojciec, a następnie ciągnął już swoim zwykłym, lodowatym głosem: — Jak ty się zachowujesz? Kto ci pozwolił odzywać się w obecności dorosłych?

Dziewczynka skuliła się przestraszona, a Taran wcale nie poprawiła sytuacji, gdy warknęła:

— Zamknij się, stary dziadu!

— Taran! — upomniał ją Móri surowo. — Mów dalej, Villemann.

— No i my zabraliśmy, oczywiście, Rafaela ze sobą, a później oni obaj jednocześnie, to znaczy Rafael i Dolg, widzieli upiora i Rafael go poznał. A Danielle umiała nawet powiedzieć, jak on się nazywa. To był baron Rupert von Virneburg, i zaraz potem zniknął w zamkowym murze. . .

— Nie, Villemann, on tego nie zrobił — przerwał mu Dolg. — On się rozplynął w powietrzu i zniknął przed zamkowym murem.

Zaległa cisza. Umilkły gwałtowne protesty barona, a jego żona, która doszła jakoś do siebie po ostatnim omdleniu, siedziała na kanapie i nerwowo oblizywała wargi.

Erling zwrócił się do Theresy:

— Właściwie powinniśmy jak najszybciej ruszać dalej na zachód. Ale, jak widać, nie będziemy mogli opuścić państwa von Virneburg, dopóki nie wyjaśnimy tej zagadki.

Głos jego brzmiał złowieszczo i Theresa uzupełniła to, co Erling miał na myśli. Wyprostowała się, przybrała bardzo cesarską pozę i rzekła:

— Masz całkowitą rację! Nie możemy zostawić tych dzieci na pastwę takich rodziców i takich opiekunów.

Baron zrobił się błądy z wściekłości, ale Móri się go nie zląkł.

— Załatwimy to wszystko dzisiaj wieczora, nie mamy przecież czasu do stracenia. Dolg i Rafael, pokażecie nam, gdzieście dokładnie widzieli tego upiora, to ja potem postaram się pomóc w rozwiązaniu zagadki.

— Znakomicie! — ucieszyła się Theresa. — Ale najpierw, na Boga, niech się ktoś zmiłuje nad tym biednym dzieckiem i zajmie jego ranami. I dajcie mu jakieś ciepłe, porządne ubranie!

Dolg spojrział pytająco na ojca.

— Czy powinienem użyć szafiru?

Móri zastanawiał się przez chwilę.

— Tak, uważam, że tak będzie najlepiej. Nie mamy za wiele czasu, a wygląda na to, że rany są w fatalnym stanie.

Przewrażliwiona pani baronowa wstała.

— Bądźcie tak dobrzy i nie dotykajcie mojego dziecka! Ja sama się nim zajmę!

— Ach, tak? — zdumiał się Erling chłodno, ale wszyscy widzieli, że jest wzruszony, a oczy lśnią mu podejrzenie.

— Tak, i zaraz skończymy z tym bezwstydnym wtrącaniem się w nie swoje sprawy — zagrział znowu baron von Virneburg. — Nie zapraszaliśmy was tutaj, zajęliśmy się waszymi dziećmi najlepiej jak można, a teraz takie podziękowanie. . .

— Żołnierze! — wezwała Theresa krótko. — Proszę pilnować tę czwórkę, naszych gospodarzy, służącego i mademoiselle. Oni pójdą z nami, pilnujcie więc, żeby nie próbowali uciec!

Czterej gwardziści cesarza przystąpili do wykonania rozkazu.

Baron i baronowa byli oburzeni, mademoiselle krzyczała tak samo histerycznie jak jej pani, klęła przy tym jak woźnica i w ogóle panował okropny harmider. Claude próbował opierać się żołnierzom, ale skończyło się to dla niego nie najlepiej. Został związany i zamknięty w garderobie.

W końcu cała czwórka musiała się podporządkować. Pani von Virneburg, która dobrze strzeżona przez gwardzistów nadal siedziała na kanapie, zobaczyła, że młody Dolg wyjął niewiarygodnych rozmiarów szafir. Na moment baronowa zapomniała o powadze sytuacji i postanowiła, że ten kamień musi należeć do niej. Już widziała, jak inne panie z towarzystwa będą jej zazdrościć! Zaraz jednak myśli pięknej baronowej musiały wrócić do bolesnej rzeczywistości. Dolg pochylił kamień nad kostkami Rafaela pokrytymi ropiejącymi ranami. Kamień mienił się i skrzył, wysyłał długie niebieskie promienie, a rany chłopca powoli się zablizniały. Postanowiła, że znowu zemdleje, ale zaraz uznała, że chyba na nikim nie wyrze to wrażenia, więc dała spokój.

Jej mąż siedział poblady i patrzył na dokonujący się cud. Co sobie przy tym myślał, trudno powiedzieć, był przecież mężczyzną, przy tym do niedawna także oficerem gwardii. Nikt jednak nie zwracał uwagi na jego zapewnienia o wysokiej randze, jaką posiada, która przyćmiewała tych nędznych gwardzistów.

— Dzieci, czy ja mogę zobaczyć te wasze rysunki? — zapytał Móri, a Taran i Villemann wyciągnęli swoje kartki. Zapewniali, że rysunki Rafaela były dokładnie takie jak Villemanna.

Erling zaglądał Móriemu przez ramię.

— Co to na Boga jest? — zapytał. — Jakieś orientalne znaki?

— Ja to rozpoznaję — rzekł Móri krótko. — Uczyłem się o nich w szkole kościelnej w Holar. Pochodzą one z Szóstej lub z Siódmej Księgi Mojżeszowej, ale chyba z Siódmej.

— Czy istnieje aż tyle Ksiąg Mojżeszowych? — zapytał Bernd zdumiony.

— Właściwie to nie — wyjaśnił Móri. — Te dwie ostatnie to apokryfy i niewiele wiadomo o ich pochodzeniu. Zawsze były wykorzystywane w służbie magii.

— I mają jakieś działanie? — zapytał Erling.

Móri uśmiechnął się sam do siebie.

— Tego nie wiem. Ja się tym nigdy nie zajmowałem. Natomiast mam coraz mniej zaufania do naszego przyjaciela rabina, bo to wszystko jest tak nabazgrane, że można odczytać zaledwie jedną czy drugą literę tu i ówdzie. Ale to nie ma znaczenia. Pytanie natomiast brzmi: Dlaczego on to dał akurat tym chłopcom?

— I mnie — wtrąciła Taran.

— Tak, i tobie — potwierdził Móri z uśmiechem, spoglądając przelotnie na córkę. — I dlaczego dzieci musiały się nauczyć tego tekstu na pamięć? Nawet tego pierwszego tekstu musieliście się nauczyć na pamięć, prawda?

Dzieci kiwały głowami.

— No dobrze, nie mamy czasu się nad tym zastanawiać — skwitował Móri. — Teraz idziemy. Bernd i Siegbert, weźcie latarnie!

— Czy mógłbym przypomnieć, że to moja posiadłość? — przerwał mu baron cierpko. — Tutaj ja wydaję rozkazy.

Móri nie zaszczycił go nawet jednym spojrzeniem.

— Chodźcie, chłopcy! Jesteście gotowi?

Rafał włożył już ubranie i szedł teraz ręką z Dolgiem na samym przedzie. Na dworze nie było jeszcze całkiem ciemno, zarysy gór odcinały się na tle płonącego nieba, tak że widziało się jeszcze bardzo dobrze bez latarni. Deszcz ustał. Nero tańczył radośnie, biegnąc przodem oszczekiwany z daleka przez dworskie psy.

Kiedy podeszli do starego zamku, wszyscy zgromadzili się wokół Dolga i Rafaela. Opowiedzieli raz jeszcze, co widzieli, a Móri słuchał z wielkim zainteresowaniem.

Taran i Danielle trzymając się za ręce stały w pobliżu chłopców. Danielle drżała, trochę od wieczornego chłodu, ale jednak przede wszystkim z wielkiego napięcia i podniecenia. Jakim sposobem aż tyle może się wydarzyć jednego dnia, skoro tak długo nie działo się nic?

Tatus i maman pilnowani przez żołnierzy? Danielle poczuła lekki skurcz żołądka, może powinna odczuwać coś więcej?

Coś chyba ze mną jest nie w porządku, pomyślała. Tak, z pewnością, nie jest całkiem normalna, wcale nie lepsza od brata, tak, przecież mademoiselle powtarzała to każdego dnia.

Danielle spojrzała na innych, których pilnowali żołnierze, to znaczy Claude siedział zamknięty w garderobie, więc pozostała tylko mademoiselle.

Że tych dwoje zostało ukaranych, to Danielle uważała za słuszne i sprawiedliwe. Cieszyła się z tego. Zwłaszcza za to, co zrobili Rafaelowi, ale ona sama też się czuła spokojniejsza. Ona, która zawsze musiała wysłuchiwać, że jest winna, niezależnie od tego, jak było naprawdę. I oto teraz przyjechała ta sympatyczna rodzina Taran i powiedziała, że tamci byli wobec Danielle niesprawiedliwi i źli.

Danielle czuła, że w piersi dławi ją płacz, ale teraz był to dobry płacz. Odczuwała wzburzenie tak wielkie, że z trudem śledziła wydarzenia związane z upiorem.

Ten pan, o którym jej nowi przyjaciele mówili „wuj Erling”, niósł Rafaela przez ostatni kawałek drogi do zamku, ale teraz brat Danielle stał na własnych nogach wspierany lekko przez Dolga. Dolg to najwspanialsza istota, Danielle nie bardzo wiedziała, czy może nazywać go człowiekiem, bo chyba tak do końca to nim nie był. Z tymi swoimi oczyma i z tą cudowną twarzą tak przypominającą elfa. Ale jakżeż ona go podziwiała!

Ojciec dzieci też zdawał się niezwykłym człowiekiem, ale nie do tego stopnia jak Dolg, teraz robił dokładnie to samo, co Dolg, mianowicie badał mur.

Potem cofnął się o kilka kroków i potrząsał głową.

Nagle Rafael pisnął:

— On idzie! Cofnijcie się, żeby nie wszedł na was!

— Kto idzie? — zapytał jego ojciec ostro.

— Upiór — odpowiedział Dolg zamiast Rafaela. — I to prawda, idzie wprost na pokojówkę Edith i obu gwardzistów, którzy stoją za nią.

Wymienieni natychmiast uskoczyli w bok.

— Głupstwa! — wrzasnął baron, a jego żona zapiszczała przenikliwie: — Ja nic nie widzę!

— A ja owszem — wtrącił Móri.

Móri stanął za plecami barona i pilnującego go gwardzisty, położył obu mężczyznom ręce na ramionach. Obaj drgnęli tak gwałtownie, że Móri to odczuł. Dzięki jego wpływowi oni też zaczęli „widzieć”.

— Dobry Boże — szepnął żołnierz. — Nigdy bym nie wierzył, że coś takiego jest możliwe...

Przerwał mu okropny krzyk barona:

— Dziadek! To jest mój dziadek!

— Baron Rupert von Virneburg? — zapytał Móri.

— Tak! Tak! — Baron jąkał się. — Ja nie... nie chcę być... tutaj, ja...

Żelazna ręka gwardzisty osadziła go w miejscu.

Upiór znalazł się w środku zgromadzenia, po chwili rozplynął się w powietrzu i zniknął.

Móri zrobił znak na trawie.

— Tutaj był — stwierdził. — Rafaelu, czy on się zawsze zatrzymywał w tym samym miejscu?

— Tak. Zawsze tutaj.

Baronowa krzyczała histerycznie:

— Albert, czy ty oszalałeś? Ja niczego nie widzę, gdzie jest duch, och, mam wrażenie, że zemdleję!

— Milcz! — wrzasnął baron, jakby miał przed sobą oddział wojska. Potem otarł pot z czoła. — Chcę wracać do domu, to wszystko niczemu nie służy.

— Nie, nie — rzekł Móri stanowczo. — Teraz chcielibyśmy się dowiedzieć, dlaczego baron Rupert von Virneburg wraca na ziemię? Czy chciałby nam coś powiedzieć?

— Skąd ja to mam wiedzieć? — skrzywił się baron.

— Pan widział rysunki, które mają dzieci? Czy dostrzega pan jakiś związek tych znaków z pańskim dziadkiem?

— Co za rysunki? Aha, te! Owszem, mój dziadek miał różne głupie pomysły. Studiował tajemne pisma. Ja wiem, że zajmował się przez jakiś czas wątpliwymi Księgami Mojżeszowymi.

— Co to znaczy „wątpliwe księgi”? — zapytała Danielle swoją przyjaciółkę Taran.

— Ja nie wiem — odpowiedziała Taran szeptem.

— To znaczy, że nie wiadomo, czy księgi są prawdziwe, a nie sfalszowane — rzekł Erling i uśmiechnął się do dziewczynek.

Jego uśmiech sprawił, że Danielle poczuła się bezpieczna. Podeszła do niego o krok bliżej.

— Baronie von Virneburg — powiedziała Theresa. — Co się znajduje wewnątrz murów akurat tutaj?

— Przecież nie mogę wszystkiego pamiętać — burknął zirytowany baron. — To jest chyba rejon kuchni.

Niewiele im to wyjaśniło.

Wszyscy drgnęli, kiedy od strony parku dał się słyszeć obcy głos:

— Może ja mógłbym dostarczyć jakichś informacji? Stał przed nimi rabin Etan, który nie był żadnym rabinem, tylko po prostu wujem barona.

Właściciel dworu na widok krewnego wpadł w prawdziwy gniew.

— Co? — ryknął z purpurową twarzą. — Co ty tutaj robisz? Czyż nie zakazałem ci przekraczać mojego progu?

— Co do tego ostatniego, to znaczy, czyj jest ten próg, to zdania są podzielone — oznajmił „rabin” spokojnie. Skłonił się uprzejmie księżnej — Wasza wysokość. . . Bardzo przepraszam, że nie przedstawiłem się jak należy przy pierwszym

naszym spotkaniu, ale miałem swoje powody... Mój brat Ernst zawsze wyrażał się o pani bardzo ciepło. Byli państwo zaprzyjaźnieni, jak pamiętam.

— Tak, rzeczywiście — powiedziała Theresa z uśmiechem. — I dlatego właśnie odważyłam się prosić w tym domu o opiekę nad moimi wnukami. Sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak oczekiwałam. Ale...

Zawahała się na moment, a potem dokończyła:

— Ale może tak, jak pan oczekiwał?

Etan von Virneburg uśmiechnął się.

Móri natomiast zapytał:

— Czy mógłby nam pan wyjaśnić, dlaczego? Dlaczego nasi chłopcy dostali te rysunki? A także czy pan sam widział tutaj upiora?

— Nie, ja go nie widziałem, ale wiedziałem, że Rafael go widuje. A teraz stwierdzam, że państwo oznaczyli miejsce, w którym duch mojego dziadka znika.

— Tak, to tutaj — przyświadczył Rafael podchodząc bliżej.

— Rafael! — wrzasnął jego ojciec. — Ty się w to nie mieszaj! A poza tym uważam, że skończyliśmy już te obserwacje na dworze i proponuję, byśmy wrócili do domu i wyjaśnili różne nieporozumienia przy kolacji.

— Myślę, Albercie, że jeszcze na to za wcześnie — rzekł łagodnie jego wuj Etan. — Czy to ty poleciłeś, że wejście do piwnicy powinno zostać zamurowane i że powinna je porosnąć trawa?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Etan poprosił, by kilku dworskich ludzi przyszło tutaj ze szpadlami. Gwałtowne protesty Alberta na nic się nie zdały, bo żołnierze zakneblowali i jego, i jego małżonkę, tak że w końcu zapanował jaki taki spokój. A żeby się też pozbyć mademoiselle, związano jej ręce i odesłano do tej samej garderoby, w której już siedział Claude. Mogli więc rozmyślać sobie o niegodziwościach, jakich się dopuścili wobec nieszczęśliwych dzieci.

Baronostwo von Virneburg zostali jednak zmuszeni do pozostania na miejscu i przyglądania się wykopkom.

Kilku ludzi kopało w świetle latarni i wkrótce odkryto kamienne schody, u których podnóża znajdowały się drzwi. Warstwa ziemi nie była w tym miejscu specjalnie gruba.

Zakneblowany baron nieustannie protestował. Jego żona raz jeszcze zemdląła, co zresztą czyniła zawsze, kiedy chciała uniknąć nieprzyjemności, ale tutaj w parku ziemia była mokra, więc wołała jak najszybciej do siebie. Natomiast demonstracyjnie odwróciła się do wszystkich plecami.

Drzwi początkowo nie chciały ustąpić, ale pod naporem kilku silnych parobków otworzyły się ze skrzypieniem. Wszyscy zebrani, jedni bardziej, inni mniej chętnie zeszli gęsiego w dół. Dzieci, które już przecież od dawna powinny były leżeć w łóżkach, należały do najbardziej zapalonych ochotników. Dziewczynki

staraly się być jak najmniej widoczne, żeby nie usłyszeć niezbyt miłych okrzyków w rodzaju: „Ależ, dzieci, wy nie powinniście się tu plątać!” Nic jednak nie wskazywało na to, by ktoś z dorosłych myślał o czymś równie nudnym. Dzięki Bogu, powtarzały w duchu Taran i Danielle.

Baronostwo trzeba było niemal siłą spychać na dół. Oboje stawiali zaciekle opór.

W końcu wszyscy znaleźli się w podpartym słupami korytarzu tak niskim, że musieli schylać głowy. Kiedy doszli do muru zamkowego, ukazały się kolejne drzwi. Te ustąpiły bez trudu i ludzie znaleźli się pod zamkiem w piwnicy, której najwyraźniej nie używano od wielu lat. Od dawna przecież zamek nie był zamieszkały, ale nie tylko to odcisnęło piętno na tym pomieszczeniu. Było ono całkiem otwarte, ale w głębi znajdowały się jeszcze jedne drzwi, teraz bardzo starannie zabite gwoździami.

— Co znajduje się po tamtej stronie? — zapytał Móri. Baron kręcił głową i wrzusał ramionami, ale powiedzieć nic nie mógł, bo knebel szczelnie zatykał mu usta.

— To nie ma znaczenia — wyjaśnił tymczasem Etan von Virneburg, a jego głos odbił się głuchym echem od sklepienia. — Rozwiązanie zagadki znajduje się tutaj. To mój ojciec kazał zabić gwoździami wewnętrzne drzwi, żeby nikt nie przeszedł tą drogą.

— Pańskim ojcem był Rupert von Virneburg, prawda? — zapytał Erling.

— Tak. Ojciec miał dwóch synów, Ernsta i mnie, z kolei Ernst miał jednego syna, tu obecnego Alberta, ja natomiast syna i dwie córki. Ale nie traćmy niepotrzebnie czasu! Mój ojciec schował tutaj coś, co przeznaczone było tylko dla mnie i mego syna. Albert nie miał mieć z tego żadnego pożytku, wobec czego zamurował wejście. Ale ojciec najwyraźniej chce, żebyśmy zobaczyli, co tam zostawił. Dlatego wraca na ziemię i ukazuje się ludziom obdarzonym zdolnością widzenia duchów.

Przyglądali mu się badawczo, ale on nie chciał powiedzieć już nic więcej. Prosił tylko, by szukali. Ale czego? Etan von Virneburg też tego nie wiedział, wiedział tylko jego syn.

— A gdzie on teraz jest? — zapytała Theresa, która stała bardzo niewygodnie oparta o ścianę.

— Mój syn nie żyje — odparł Etan krótko. — Zmarł przed wieloma laty.

Dolg przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— A pan chciał tutaj sprowadzić małego chłopca, baronie Etan? Mniejszego ode mnie?

— Tak — potwierdził Etan z uśmiechem zadowolenia na swojej surowej twarzy. — Mój syn miał siedem lat, kiedy umarł. Rafael jest drobny, Villemann także.

— W takim razie powinniśmy szukać wąskiego przejścia — oznajmił Dolg. — Ale w tym pomieszczeniu niczego takiego nie widzę, natomiast szafiru nie

chciałbym tu używać.

To, oczywiście, wszyscy rozumieli. Zaczęli więc przypatrywać się ścianom i dokładnie oglądać podłogę w poszukiwaniu jakiegoś otworu. Baronostwo von Virneburg stali w kącie pod strażą. Oboje bardzo zdenerwowani, jak można było sądzić po ich energicznych, aczkolwiek zdławionych protestach.

Móri, który natychmiast się domyślił, o co chodzi Dolgowi, powiedział:

— Jak rozumiem, pański syn był znacznie młodszy niż baron Albert, syn Ernsta?

— Ma pan rację — odrzekł Etan, nawet się nie odwracając.

— Aaa! — zawołała Taran triumfalnie. — Patrzcie na ten kamień w murze!

Wszyscy spojrzeli w jej stronę.

— Ostrożnie, dziecko! — zawołał Etan. — Kamień mógłby ci zmiażdżyć nogę!

Było to w najwyższym stopniu uzasadnione ostrzeżenie. Na szczęście kilku mężczyznom udało się pochwycić kamień, zanim spadł na ziemię.

W ścianie ukazał się spory otwór.

— Rzeczywiście! — stwierdził Erling. — Tylko szczupłe małe dziecko mogłoby się tędy przecisnąć.

— Ja pójdę! — zgłosił się Villemann, bo spostrzegł, że Rafael bardzo się boi ciemności.

Wszyscy patrzyli pytająco na „rabina”. Ten skinął głową — tak będzie najlepiej.

— Dobrze, ale ja też! — zawołała Taran. — To przecież ja znalazłam wejście.

— No i tym samym wykonałaś już swoją część zadania — rozstrzygnął Móri. — Teraz kolej na Villemanna.

Taran dała się przekonać. Villemann dostał na drogę latarnię i surowy nakaz, żeby obchodził się z nią bardzo ostrożnie.

— No a co, jeśli w środku znajduje się szkielet? — zapytał, odwracając się do nich po raz ostatni.

— Chcesz, żebyśmy zamiast ciebie wysłali Taran? — rzucił Erling.

To pomogło natychmiast i po chwili zobaczyli, jak stopy chłopca znikają w otworze.

— Widzisz coś? — wołał Móri.

— Dziura się poszerza — dotarła do nich stłumiona odpowiedź. — Teraz znajduję się w małym pomieszczeniu. Stoi w nim jakaś skrzyneczka.

— I to wszystko, co tam widzisz?

— Absolutnie wszystko.

— Znakomicie! W takim razie zabierz ze sobą skrzynkę. Uniesiesz ją razem z latarnią?

— Myślę, że tak. Będę skrzynkę popychał przed sobą.

Minęło trochę czasu, zanim chłopiec szczęśliwie do nich wrócił, okropnie wybrudzony, oblepiony pajęczynami, z mnóstwem ziemi w potarganych włosach. Ale wprost pękał z dumy, wszyscy musieli to zauważyć. Taran obawiała się, że będzie teraz musiała wysłuchiwać tej historii niezliczoną ilość razy przez cały rok.

Etan von Virneburg przejął płaską dębową skrzyneczkę z żelaznymi okuciami. Odwrócił się i obracał skrzynkę na wszystkie strony, ocierał ją z ziemi i kurzu.

— To był pierwszy etap — oznajmił zadowolony. — A teraz, moi nowi przyjaciele, zapraszam państwa ponownie do dworu. Nasi czarujący gospodarze są dzisiaj troszkę... niedysponowani, więc ja wystąpię w ich zastępstwie. — Posłał swemu bratankowi ironiczne spojrzenie. — Ich obecność jednak jest jak najbardziej pożądana, ponieważ będziemy musieli wyjaśnić wiele skandali. Księżno, czy zechciałaby pani odstąpić nam na chwilę jednego z gwardzistów, by pojechał do miasteczka po prefekta? Wiem, że jest już bardzo późno, ale obiecaj mu wspaniałe przyjęcie, jeśli przyjedzie.

Rozdział 18

Dolg szedł do głównego budynku pogrążony w myślach i nie zwrócił początkowo uwagi na to, że ktoś mu towarzyszy.

To Danielle. Z trudem dotrzymywała mu kroku, więc Dolg zwolnił. Widział bowiem, że dziewczynka bardzo pragnęła towarzystwa. Rafaela niósł Erling, a bliźniaki idąc rozmawiały z Mórim i Etanem.

Danielle rozjaśniła się widząc, że Dolg na nią czeka.

— Jesteś zmęczona? — zapytał przyjaźnie.

— Trochę.

— No tak, bo już jest bardzo późno.

Widział, że dziewczynka nad czymś się zastanawia, ale nie mówi nic, bo nie jest przyzwyczajona odzywać się pierwsza do innych. „Dzieci milczą, jeśli nie są pytane”, słyszała niezmiennie. Trudno zliczyć, ile razy.

Dolg zapytał więc:

— O czym myślałaś?

Ona odpowiedziała mu cichutkim pytaniem:

— Czy ty także jesteś samotny?

Dolg drgnął. Nie oczekiwał takich słów.

— Tak — odparł z wahaniem. — Tak. Ja także jestem samotny.

Dziewczynka z powagą pokiwała głową. Zrobiła ledwie dostrzegalny ruch ręką, ale on domyślił się i ujął jej dłoń. Mój Boże, ależ ona chudziutka, pomyślał.

Nocny wiatr szumiał w koronach drzew.

Tylko ósmioletnie dziecko zrozumie, czym może być dwunastolatek. Dwunastolatek jest już dorosły, jest silny, można go uczynić swoim niedościgłym wzorem, niemal bóstwem.

A Dolg był niewątpliwie dla całej pozostałej czwórki kimś absolutnie wyjątkowym.

Powiedział teraz w zamyśleniu:

— Ale moja samotność jest innego rodzaju niż twoja, Danielle. Ja jestem otoczony miłością i przyjaźnią ludzi o gorących sercach.

Danielle westchnęła tęsknie i szepnęła nieśmiało:

— Ale jesteś sam jeden na całutkiej ziemi, prawda?

Ona umie trafić w sedno, pomyślał zdumiony. Mądre małe stworzenie.

— Nie wiem — powiedział głośno. — I tak, i nie.

Spojrzała na niego pytająco.

— Widziałem istoty takie jak ja, jeśli tak się można wyrazić — wyjaśnił. — Ale nie wiem, czy one żyją. Czy nadal istnieją.

Dla Danielle było to trochę za bardzo skomplikowane. Słyszała jednak tęsknotę w jego głosie, która stanowiła jakby echo jej własnej, i leciutko uścisnęła dłoń chłopca. Dolg trzymał ją za rękę przez całą drogę, kiedy wracali do domu w coraz większych ciemnościach, i czuł, że mała przyjmuje ten dowód przyjaźni, rozpaczliwie spragniona ludzkiego zrozumienia i odrobiny uczucia.

Prefekt nie zdążył się jeszcze udać na spoczynek, więc chętnie podążył za cesarskim gwardzistą. Nigdy nie przepadał za baronem von Virneburg, który traktował go pogardliwie, a ponieważ wieczór spędził ze swoim zastępcą i obaj wychylili po parę kufelków, byli w znakomitych humorach, chętni, by „wymierzyć właścicielowi ziemskiemu kopniaka”.

Jechali szybko drogą na skróty do pałacu, gdzie wszyscy dorośli zebrali się w dużym salonie. Także Claude i mademoiselle zostali sprowadzeni z garderoby.

Goście pozwolili sobie zająć najbliższy pokój gościnny dla dzieci. W końcu trzeba było je położyć, wszystko ma swoje granice.

Taran i Danielle dostały jedno łóżko, trzech chłopców drugie. Tymczasem musiało im to wystarczyć. Pokojówka, panna Edith — która pewnie już niedługo pozostałaby panną, gdyby pozwoliła decydować Berndowi — miała pilnować drzwi, żeby malcy się nie wymknęli. Trochę spłoszona poprosiła o asystę i otrzymała ją pod postacią Nera. Zdaje się, że jej niedokładnie o niego chodziło, ale dzieci były wzruszone. Pies chodził od jednego do drugiego i żegnał je czule, aż w końcu ułożył się w poprzek na łóżku chłopców, przyciskając im nogi. Edith siedziała w głębokim fotelu przy drzwiach.

Dziewczynki szeptały i chichotały, naciągnąwszy kołdrę na głowę zwierzały się sobie z różnych tajemnic, aż chłopcy musieli je uciszać.

Rafael leżał pośrodku, a dwaj bracia po bokach, jako ochrona. Chociaż rówieśnik Dolga, Rafael był mniejszy nawet od Villemanna i dużo, dużo bardziej lękliwy. Wprost nie mógł uwierzyć, że jego trwający rok koszmar dobiegł końca i że ma przy sobie dwóch przyjaźnie usposobionych chłopców. Ale koledzy i ich wspaniała rodzina wyjadą jutro, co się wtedy stanie z nim i z Danielle? Czy on znowu wróci w kajdanach na strych?

Myśli Danielle biegły tym samym torem. Ten cudowny dzień, w którym odnalazła swego brata i poznała tylu wspaniałych ludzi, już się skończył. A jutro...

Nie miała odwagi myśleć, co będzie jutro.

Nie całkiem rozumiała gniew wszystkich dorosłych skierowany przeciwko tacie i mamam. Co prawda przekonała się, że żadne z rodziców nie było takie dobre, jak powinno wobec swoich dzieci, ale nie umiała znaleźć powodów i zrozumieć

znaczenia tego wszystkiego, co się stało w zamkowej piwnicy. Domyślała się, że czeka ją teraz wiele smutnych chwil i wiele zmartwień. W głębi duszy wciąż powtarzała modlitwę: „Dobry Boże, nie pozwól, by oni znowu zamknęli Rafaela”.

Prefekt i jego pomocnik wiedzieli już co nieco, wprowadzeni w sprawę przez gwardzistę, który jednocześnie podkreślał konieczność przeprowadzenia przesłuchań jeszcze tej nocy. Ze względu na dzieci. Księżna pani i jej przyjaciele nie mogą zostawić Rafaela i Danielle z rodzicami i dwojgiem okrutnych służących. Jak się zachowywała reszta pałacowej służby, nie wiadomo i nikt też nie zamierzał tego dochodzić.

Prefekt rozumiał wszystko, stał teraz w salonie i stukając lekko szpicrutą o but, nie bez złośliwej radości spoglądał na właściciela dworu.

— Baronie Etan von Virneburg — rzekł. — Myślę, że powinniśmy zacząć od pana.

Baron Albert, któremu zdjęto już knebel, zaprotestował gwałtownie.

— Wuj Etan o niczym nie wie! Wszystko, cokolwiek on mówi, to wierutne kłamstwa! Kłamstwa i nic więcej!

— Nie ma potrzeby krzyczeć, ja nie jestem głuchy — rzekł prefekt spokojnie. Był to rosły mężczyzna o czerwonej twarzy, z sumiastymi wąsami. — Panie Etan, czy moglibyśmy usłyszeć te pańskie kłamstwa?

— Jak najchętniej — rzekł „rabin” z gorzkim uśmiechem. — Będę się jednak musiał cofnąć dość daleko w przeszłość. Do czasu, kiedy jeszcze żył mój ojciec.

— Baron Rupert von Virneburg, tak, pamiętam go bardzo dobrze — potwierdził prefekt. — Władczy pan! Ale cokolwiek ekscentryczny, prawda?

— Owszem, można tak powiedzieć. W młodości interesował się trochę magią, ale wygląda na to, że się sparzył, w każdym razie skończył z tym. No tak, otóż mój ojciec miał dwóch synów, Ernsta i mnie. Ernst był wspaniałym człowiekiem, księżna Theresa o tym wie.

Księżna skinęła głową.

— Mój ojciec bardzo wcześnie odkrył, że, niestety, jedyny syn Ernsta jest ograniczony, a przy tym zawistny. . .

— Nie, nie — przerwał Albert von Virneburg, zrywając się z miejsca. Prefekt popchnął go lekko i nieszczęsny jak niepyszny opadł na fotel. Etan mógł mówić dalej.

— Ernst był starszy z nas dwu, to on miał dziedziczyć majątek, co przecież jest najzupełniej naturalne i ja sam nie miałem nic przeciwko temu. Ale oto pewnego dnia ja i mój syn zostaliśmy wezwani do ojca. Chciał z nami rozmawiać w bardzo ważnej sprawie.

— Kłamstwo, kłamstwo — burczał baron Albert.

— Ja miałem już wówczas także dwie córki, ale one nie były brane pod uwagę.

Theresa nie odezwała się ani słowem, ale wyraz jej twarzy był wielce wymowny.

Ernst ciągnął dalej:

— Ojciec wyjawiał nam, że obawia się, iż Albert. . .

— Co?! — krzyknął znowu Albert, ale został natychmiast uciszony.

— Krótko mówiąc, ojciec nie chciał, żeby Albert przejął dwór, kiedy nadejdzie pora.

— Kłamiesz! — wrzasnął Albert.

— Nie, nie kłamię, a jeśli ty nie przestaniesz przeszkadzać, to cię znowu zaknebluję. Tak więc mój ojciec postanowił, że Ernst odziedziczy dwór, ale po nim przejmie go mój syn. W związku z tym musiał napisać testament, żeby wykluczyć Alberta.

— Nigdy nie słyszałem nic na temat żadnego testamentu — prychnął Albert.

— Oczywiście, że słyszałeś — zaoponował Etan spokojnie. — Ojciec kazał mi odejść, po czym poinformował mego syna, który również miał na imię Rupert, gdzie został schowany testament i czego potrzeba dla otwarcia skrzynki, w której spoczywa.

Baron Albert skulił się w rogu kanapy i milczał naburmuszony. Nie chciał słuchać tego, co mówił Etan.

— Mój mały syn zwierzył mi się później, jak należy otwierać skrzyneczkę. Ale ja nie chciałem słuchać, bo to były sprawy między nim a moim ojcem. Tak więc nie wiedziałem, gdzie skrzyneczka została ukryta. Jedyne, co do mnie dotarło, to to, że tylko nieduże dziecko może ją wyjąć. Mój ojciec bowiem liczył się z tym, że umrze już niedługo, dawał sobie najwyżej dwa lata życia, ale też nie przewidywał, że śmierć nastąpi tak szybko, jak to się stało. . .

— Kłamstwo! — ryknął Albert, a Etan spojrzał na niego przenikliwie.

— Jeszcze nie powiedziałem ani słowa na temat nagłej i nieoczekiwanej śmierci mego ojca — rzekł spokojnie. — Wracajmy do rzeczy. Niestety mój syn, Rupert, opowiedział wszystko swemu kuzynowi Albertowi, wówczas piętnastolatkowi. Był to bardzo nierozumny postępek i ja potem nawet go skrzyczałem, ale Albert uparczywie się dopytywał, czego chciał dziadek od Ruperta, straszyl nawet mojego siedmiolatka i dziecko nie było w stanie się przeciwstawić. No i to stało się przyczyną jego śmierci.

Ktoś jęknął głośno. Ktoś inny krzyknął: „Nie!”

— To był nieszczęśliwy wypadek — wybuchnął Albert.

— Chłopcy pływali łódką po jeziorze. Niestety na ląd powrócił tylko Albert. Rupert stracił równowagę i wpadł do wody, tłumaczył nam potem ten, który tu siedzi na kanapie. A ponieważ malec nie umiał pływać, nie udało się go uratować. Tak twierdził Albert. I dopiero znacznie później usłyszałem od miejscowego przygłupka, z którym jednak nikt się nie liczył, że kiedyś słyszał on na jeziorze wołania o ratunek. Nie umiał, niestety, powiedzieć, w którym to było roku. I słyszał też wtedy inny głos, który mówił: „Zamknij się, smarkaczu!” Było to jednak tak długo po wydarzeniach, że nikt nie przywiązywał wagi do tej opowieści.

W pokoju zaległa cisza. Dopiero po chwili baron Albert burknął:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Uciszyły go jednak gniewne głosy.

— Dziwne, ale w tym samym tygodniu zmarł też mój ojciec. Z rozpaczy, jak mówiono, zwłaszcza że był stary i schorowany. Ale na krótko przed śmiercią był u niego Albert, a później poduszka leżała inaczej niż zwykle, sam to widziałem, ale nie miałem możliwości, żeby mu cokolwiek udowodnić.

— Nie! Oczywiście, że nie! Tak jak nie mogłeś udowodnić, że zabiłem twojego syna — powiedział Albert ze złością.

Etan udał, że tego nie słyszy.

— Ponieważ nie miałem żadnych dowodów na to, że to mój syn miał dziedziczyć po stryju Ernście, którego zresztą bardzo kochałem i nie chciałem ranić, musiałem uznać, że dziedzicem będzie Albert. Kiedy został właścicielem dworu, był już żonaty, ale nie mieli dzieci. Jego pierwsza żona zwierzyła mi się, że obawia się o swoje życie, bo Albert jest na nią wściekły za to, iż nie dała mu dziedzica. Wobec tego pomogłem jej załatwić rozwód, co, jak państwo wiedzą, jest niebywale trudne. Jako powód podaliśmy inne wyznanie jego małżonki. Kościół się zgodził. Albert był na mnie zły, ale w gruncie rzeczy z ulgą rozstał się z niepłodną małżonką. Chociaż musiał już wtedy zdawać sobie sprawę, że wina leży po jego stronie, bo wkrótce ożenił się z tą kobietą tutaj, która już miała wtedy dwoje dzieci. . .

— Ach, tak! — wykrzyknęła Theresa. — Więc Rafael i Danielle nie są dziećmi Alberta!

— Nie, Bogu dzięki. Ale on potrzebował dziedzica po to, byśmy ani ja, ani też moje córki nie mogli przejąć majątku. Dlatego uznał Rafaela i Danielle za swoje dzieci.

Theresa zwróciła się do baronowej:

— Co z pani za matka, i w ogóle jaki człowiek, skoro pozwoliła pani, by ktoś tak się obchodził z pani rodzonymi dziećmi? Żeby przykuł Rafaela kajdanami w ponurym, starym zamku, a małą Danielle skazał na okrutną samotność. . .

Baronowa wybuchnęła płaczem.

— Dlaczego wy wszyscy się nade mną znęćacie? Ja nigdy nie kochałam mojego pierwszego męża. I wcale nie chciałam mieć żadnych dzieci, bo one tylko psują kobiecie figurę i ograniczają swobodę. Bardzo się cieszyłam, kiedy mój pierwszy mąż umarł, a Alberta kochałam jeszcze od czasu, kiedy miałam kilkanaście lat, bo my oboje jesteśmy tacy do siebie podobni. Wspieramy się w dobrym i w złym. Wspólnie stawiamy opór złemu światu, który niczego nie rozumie, a wy naprawdę nie macie nic do roboty w naszym pięknym pałacu i. . .

— Zamknij się nareszcie! — warknął jej mąż i baronowa natychmiast umilkła. Theresa mówiła teraz z naciskiem na każde wypowiedane słowo:

— Pani pierwszy mąż musiał być wyjątkowo szlachetnym człowiekiem. Mądrym, pełnym ciepła, uczuciowym, skoro, niezależnie od tego, że ożenił się z taką gęsią jak pani, miał takie wspaniałe dzieci! Wygląda na to, że oprócz drobnej budowy dzieci niczego po pani nie odziedziczyły, za co Bogu niech będą dzięki!

— To jest najbardziej bezwstydnym, co...

— Zamknij się! — powtórzył Albert.

— Czy mogę kontynuować? — zapytał Etan spokojnie. — Albert starał się prawdopodobnie zdobyć testament. Ale tymczasem stał się całkiem dorosłym mężczyzną i w żaden sposób nie mógłby się przedostać przez zbyt wąski otwór. A poza tym otwarcie testamentu nie leżało przecież wcale w jego interesie. Tak więc pierwszym jego działaniem jako właściciela dworu było zasypanie wejścia do piwnicy. Tym samym cały problem został usunięty. Ale ja o niczym nie zapominałem i on o tym wiedział. Postarał się zatem wypędzić mnie z parafii, oskarżając o czary, czarną magię i sam już nie wiem o co jeszcze. Stało się to po tym, jak próbowałem skłonić małego Rafaela, by szukał testamentu. Zacząłem od tego, że nauczyłem chłopca na pamięć kilku tablic z tak zwanej Siódmej Księgi Mojżeszowej. Potem musiałem ruszać swoją drogą... A wtedy mój ojciec, baron Rupert von Virneburg, zaczął się ukazywać chłopcu. Mój ojciec chciał wskazać drogę do testamentu. Ale mały Rafael został przez rodziców zamknięty. Nie wiedziałem o tym. Nie słyszałem o niczym aż do mojego powrotu teraz niedawno. Powiedzieli mi, że chłopiec zmarł rok temu. Byłem tym wstrząśnięty, ale ani na moment nie uwierzyłem Albertowi. Mógł on co prawda zamordować chłopca, gdyby ten w jakiś sposób stał mu na drodze. Ale nie zapominałem, że Albert potrzebuje dziedzica. Cóż więc prostszego, jak zamknąć kłopotliwe dziecko...

— Nie, nie, teraz jest pan niesprawiedliwy — wtrąciła baronowa. — Ja bym nigdy nie pozwoliła zamordować mojego syna. Nigdy w życiu! I Albert nie jest taki!

— Naprawdę? — zapytał Etan. — No dobrze, spróbuję ci uwierzyć. Wierzę ci, że to ze względu na ciebie on oszczędził chłopca. Ale kiedy się teraz zastanawiam nad tą sprawą, to muszę przyznać, że byłem jednak bardzo krótkowzroczny. On ogłosił przecież, że chłopiec nie żyje. W jaki sposób więc mógł liczyć, że to będzie jego następca? Nie, dziedziczką miała zostać Danielle.

— Ona go przecież w ogóle nie obchodzi — wtrącił cicho Erling.

— Nie, ja o tym wiem. Ale gotów jest na wszystko, byleby tylko majątek nie dostał się mnie i moim córkom — stwierdził Etan i ponownie zwrócił się do baronowej: — Jednego mimo wszystko nie rozumiem: jak mogłaś się zgodzić na to, by twój syn został uwięziony w taki straszny sposób?

Piękne oczy jego żony zrobiły się jeszcze większe niż zazwyczaj.

— Przecież on jest szalony! Albert powiedział, że Rafael widuje w parku ducha. Musieliśmy go ukryć, żeby nikt się o tym nie dowiedział, bo by go odesłali do domu wariatów!

— I ty, oczywiście, odwiedzałaś swego syna codziennie?
Baronowa była całkiem zbita z tropu.
— Ja... eeech... Nie, przecież nie mogłam tego robić! On mógłby się na mnie rzucić i zamordować mnie!
Theresa jęknęła zrezygnowana.
— Ona nie odwiedzała nigdy swojej zdrowej córeczki — rzekła z goryczą. — To dlaczego miałyby się przejmować chłopcem?
— Wy mnie oskarżacie, że jestem bez serca! — wybuchnęła baronowa z gniewem. — A ja wam mówię, że mam serce! Oczywiście, że mam! Nikt nie kocha swojego męża bardziej niż ja, prawda, Albercie?
Baron odwrócił się od niej mamrocząc coś ze złością.
— Tak. Bo ja jestem jego złotko i jego serduszko, on zawsze tak mówi...
— Czy ty nie możesz nareszcie zamilknąć? — syknął baron. Jeśli można ryknąć szeptem, to on właśnie teraz to zrobił.
Pani skuliła się, a Theresa powiedziała:
— Nie wątpię, że pani jest przywiązana do swego męża, baronowo von Virneburg. Ale takie ślepe uwielbienie musi zawsze innych odsuwać na margines. W pani życiu nie ma miejsca dla dzieci. Odepchnęła je pani od siebie, pozbawiła prawdziwego dzieciństwa i tego nigdy pani nie wybaczę!
— Niepotrzebne nam pani wybaczenie — rzekł baron chłodno.
— Czy możemy już zakończyć tę dyskusję? — przerwał mu prefekt. — Bardzo bym chciał obejrzeć szkatułkę i nareszcie ją otworzyć.
— Naturalnie — zgodził się Etan. — Jeśli tylko nam się to uda. Jest tam z pewnością wiele różnych pułapek, a gdy raz popełnimy błąd, szkatuła zatrześnie się na zawsze.
— No, dosyć to wszystko dziwne.
— I ja tak uważam — przyznał Etan. — Ale tak właśnie powiedział mi mój syn, któremu przekazał to dziadek, czyli mój ojciec.
— Hm. No to popatrzmy, co się da zrobić. Etan von Virneburg przyniósł szkatułkę, którą wcześniej bardzo starannie schował. Na wszelki wypadek, jak powiedział.
— No — rzekł prefekt na widok zardzewiałej, brudnej i zakurzonej skrzyneczki. — Wygląda solidnie. A poza tym nie widzę żadnego zamka.
Baron Albert westchnął z ulgą.
Służący księżnej, znany pedant, podszedł do stołu i starł kurz swoją chusteczką. Delikatnie i bardzo ostrożnie, jakby się bał, że chusteczka za bardzo się zabrudzi.
— Proszę działać ostrożnie — ostrzegł raz jeszcze Etan. — Zbyt mało wiemy o samej szkatułce i o tym, jak się ją otwiera.
Służący skłonił się i wrócił dyskretnie na swoje miejsce.

I właśnie w tym momencie do salonu wsunął się Villemann, jego włosy były potargane bardziej niż zwykle.

— Tatusiu... Ja myślę, że Rafael dostał jakiegoś ataku. Tak się strasznie trzęsę się cały.

Rozdział 19

Móri, Erling i Theresa wstali równocześnie. Matka chłopca uniosła się na kanapie, rzuciła niepewne spojrzenie na swego męża, ale on rozkazał krótko: „Siedź!”, jakby mówił do psa.

Wszyscy inni byli już w pokoju dzieci. Tylko pomocnik prefekta został pilnować skrzyneczki. No i gwardziści, jak zawsze, trzymali się nieco na uboczu.

W pokoju gościnnym Dolg robił, co mógł, by uspokoić białego jak ściana, dygoczącego chłopca. Słysząc było, że Rafael szczeka zębami. Dziewczynki, przestraszone, siedziały w kącie swojego łóżka, a Nero poszczekiwał przyjaźnie z głową na poduszce chłopca.

— Jak to dobrze, że przyszedłeś, tato — szepnął Dolg do Móriego. — Już nie wiedziałem, co mam robić.

— To nie jest żaden atak, Dolg. To załamanie — wyjaśnił Móri cicho. — Rafael przeżył dzisiaj zbyt wiele. Akurat teraz czuje się bezpieczny, ale pewnie boi się o przyszłość. Chodź, przeniesiemy go do salonu.

Theresa, która głaskała biedne dziecko po głowie, odsunęła się, żeby zrobić miejsce Erlingowi, ale chłopiec tak mocno trzymał ją za rękę, że nie mogła jej cofnąć. Szła więc po prostu za niosącym chłopca Erlingiem. Nero, oczywiście, również „pomagał”, lizał Rafaela współczująco po stopach.

Dziewczynki szły wolno za swoimi braćmi, przestraszone, ale też ciekawe. Bardzo chciały jakoś pocieszyć Rafaela, ale trudno było nawiązać z nim kontakt, jakby nie słyszał i nie widział, co się wokół dzieje.

Kiedy weszli do salonu, baron Albert na widok Dolga odwrócił się z obrzydzeniem, co zresztą czynił przez cały wieczór. Erling widział wyraźnie, że wargi barona układają się w słowo „potworek”, i tak go to zezłościło, że poszczuł na niego Nera; sam nie mógł nic zrobić, bo trzymał na rękach Rafaela.

Nero, który nigdy barona nie lubił, stanął przed nim w swojej postawie zasadniczej, mocno przechylony do przodu, położył uszy i wyszczerzył zęby. Z gardzieli dobywało się złowieszcze warczenie.

Przerażony baron próbował odegnać bestię, machał rękami, ale na nic się to nie zdało, dopóki Móri się nad nim nie ulitował. Akurat teraz nie mieli czasu na straszenie gospodarza.

Erling poprosił Theresę, żeby usiadła na kanapie, i oddał jej Rafaela. Chłopczyk był leciutki niczym piórko i księżna zastanawiała się, co oni mu właściwie dawali do jedzenia przez ostatni rok. Pewnie porcje maleńkie jak dla ptaszka.

— No, już, już — przemawiała do niego czule. — Teraz już wszystko będzie dobrze. Nigdy więcej nie wrócisz już do zamku. Cicho, cicho. . .

— Pozwólcie mi się zająć moim biednym dzieckiem — nieoczekiwanie prosiła baronowa, ale wystąpiła z tym jednak nieco za późno. Kiedy zbliżyła się do kanapy, Rafael cofnął się gwałtownie, jakby chciał uciekać. Krzyknął głośno i wybuchnął strasznym, rozdzierającym szlochem.

— Tak trzeba, Rafaelu — Móri pogłaskała go po głowie. — Płacz, właśnie tego ci teraz trzeba.

— Syn oficera nie płacze! — ryknął baron, po czym wszystko zagłuszył histeryczny płacz małego. Tulił się do Theresy i siedzącego przy niej Erlinga, jakby byli jego jedynym ratunkiem. Trząsł się i szlochał, rzucał się na barona Alberta i długo nie można było tego ataku hysterii opanować.

— Jak ty się zachowujesz, smarkaczu? Ja cię zaraz nauczę — wrzeszczał baron.

Jego żona komentowała piskliwie:

— Co te okropne bachory zrobiły z moim posłusznym dzieckiem? One go zamordują!

— No, teraz to już naprawdę dość! — zwrócił się prefekt do gospodarzy. — Nie będę już dłużej wysłuchiwał waszych krzyków. Pozwólcie się chłopcu wypłakać, wiecie najlepiej, jakie są przyczyny jego załamania.

— Teraz wszyscy widzicie sami — zawodziła baronowa. — Sami widzicie, że on jest szalony, że kompletnie zwariował!

— Dziwne jest raczej, że do tego nie doszło — wtrącił Móri z goryczą. — Żołnierze, uciszcie tych dwoje, a ja dam chłopcu coś na uspokojenie.

Gwardziści Jego Cesarskiej Mości z wyraźną satysfakcją zajęli się małżonkami. Kiedy już ich znowu zakneblowali, Móri mógł skupić się wyłącznie na Rafaelu. Wszyscy zapewniali chłopca, że teraz jest już bezpieczny i nic złego stać mu się nie może. Danielle rozplakała się również i nią zajęła się Taran z pomocą Erlinga.

Gdy nareszcie znów zapanował spokój, a Rafael spoczywał w ramionach Theresy, raz po raz tylko wstrząsany jeszcze szlochem, ale już uspokojony napojem, który przyrządził dla niego Móri, prefekt mógł kontynuować dochodzenie.

— Panie Etan, czy możemy nareszcie obejrzeć szkatułę?

— Chętnie. Ale proszę zachować ostrożność, ja osobiście wolałbym jej nie dotykać, znajdują się tam bowiem pułapki, które mogą sprawić, że naprawdę nigdy nie zajrzemy do środka.

Błyski w oczach barona Alberta świadczyły, że on tego właśnie życzyłby sobie najbardziej.

Bardzo delikatnie obracali w rękach płaską skrzyneczkę. Villemann, Taran i Rafael byli niesłychanie dumni, że dorośli pytają ich o radę. Nie wolno im było skrzynki dotykać, ale mogli proponować swoje rozwiązania.

Nic jednak nie wskazywało na to, by się posuwali do przodu.

Aż do chwili, gdy zastępca prefekta zauważył na jednym boku coś jakby małą zasuwkę.

— No to teraz się pewnie otworzy — powiedział Etan z ulgą i zdumieniem. — Tutaj, proszę to bardzo ostrożnie pociągnąć.

Wysunęła się cienka metalowa płytka, ale jeśli mieli nadzieję, że to już wystarczy, żeby skrzynkę otworzyć, to spotkało ich rozczarowanie. Całe misterium dopiero teraz się rozpoczynało.

Pod cienkim metalowym wieczkiem znajdowało się następne. Wieczko, które nie dawało się wysunąć, zresztą oni nie mieli odwagi nawet go dotknąć. Cała powierzchnia tej płyty pokryta była różnymi imionami pisanymi bez ładu i składu. Dawało się co prawda zauważyć pewną symetrię, ale wszystko razem pozbawione było sensu.

Każde imię wypisano na drewnianym pionku wmontowanym w metalową płytę. Sprawiało to wrażenie intarsji. Ponieważ całość była przykryta, drewno zachowało się bardzo dobrze i imiona pozostały czytelne, a to już przecież było coś.

— Co to za imiona? — spytał prefekt, który niezbyt dobrze widział.

— Na mnie robią one wrażenie hebrajskich, a może ormiańskich, jeśli pan woli. Ale co należy teraz zrobić? Od której strony zacząć, żeby nie popełnić błędu?

Villemann i Rafael wołali jeden przez drugiego:

— Duchy Tablicy! Czy są tam ich imiona?

Etan, który nauczył Villemanna tekstu tablic, pochylił się i sprawdzał.

— Owszem, jedno poznaję. Beal. Ale wśród całkiem mi nie znanych, naprawdę nie widzę w tym sensu.

Villemann, który uwielbiał zagadki, chciał się pochwalić swoją zdolnością do wyciągania wniosków.

— No dobrze, a gdyby ktoś przypadkowy chciał otworzyć skrzynkę, to co on by najpierw zrobił?

— Próbowaliby jakoś poruszyć system. Naciskałby na poszczególne klawisze, czy jak to nazwać.

— No właśnie. A wtedy szkatułka się zamknie, być może na zawsze. Ale Rafael i ja...

— I ja — wtrąciła Taran. — Prawie.

— I ja — dodał Etan. — Bo to ja cię wszystkiego nauczyłem, Villemann.

— Wszystko dobrze — zgodził się Móri. — Tylko skąd będziecie wiedzieli, od czego zacząć? Pański syn opowiedział kiedyś, czego nauczył go dziadek?

Etan uśmiechnął się krzywo, jego mefistofelesowa twarz przybrała bardziej demoniczny wygląd niż zwykle.

— Ja jednak umiem trochę więcej. Mój ojciec był ekscentrycznym człowiekiem, który studiował magię, a poza tym jego matka pochodziła z żydowskiego rodu. To od niej nauczył się też magii żydowskiej. Te wszystkie sprawy ja poznałem w okresie dorastania. Kiedy więc mój mały synek mówił mi o Osiemnastej i o Pierwszej tablicy, natychmiast wiedziałem, jak one wyglądają, co mówi tekst i do czego ta tablica służy, to znaczy co może spowodować.

— Ale znaki, które pan rysował dzieciom, były strasznie kulfoniaste. Nie udało mi się odczytać tych bazgrołów.

— I wcale też nie było moim zamiarem, żeby ktoś to odczytywał, bo ich tutaj na skrzyneczce nie ma. Rzeczywiście bazgrałem, muszę to przyznać, ale miałem bardzo mało czasu. Chciałem tylko zaimponować pańskim czarującym dzieciom. Ale przerwaliśmy Villemannowi.

Chłopiec z przejęcia miał wypieki.

— Tak — powiedział. — Skoro my trzej znamy tekst, och, przepraszam, Taran, jest nas troje i pół, spróbujmy ustawić znajome imiona we właściwej kolejności. . .

— Świetnie, Villemann — pochwalił go Etan. — Ale co zrobimy potem? Będziemy naciskać wszystkie, czy też. . . ?

— Nie, no teraz, to ja już nie mogę dłużej milczeć — wtrąciła Taran. — Jaki miałby być sens zatraskiwania szkatułki na zawsze? To by przecież była korzyść dla największego drania w tym dramacie. Nikt by się nigdy nie dowiedział, że to syn wuja Etana miał odziedziczyć cały majątek!

Patrzyli na nią ze zdziwieniem i uznaniem. Długo.

— Taran, jesteś małym geniuszem — rzekła Theresa. Z naciskiem na „mały”. — Masz oczywiście rację. Tu musi być coś więcej. Coś całkiem innego.

— Naturalnie, że dziewczynka ma rację — potwierdził Etan. — Gdzie my podzieliśmy rozumu?

Wciąż słyhać było zdławiony bełkot zakneblowanego barona, który najwyraźniej miał już wszystkiego dość. Zebrani tłumaczyli sobie ten jego bełkot następująco: „Teraz zamknę tę skrzynkę na zawsze, bo to dla mnie najważniejsze”.

Etan krzyknął:

— Stop! Zrozumiałem, co zamierza. . .

Ale było za późno. Palce barona von Virneburg sięgnęły szkatułki i naciskały, gdzie się da.

Z przedniej części szkatułki wyleciało pióro i błyskawicznie wbiło się w udo barona niczym strzała. Zamiarem konstruktora było chyba, by trafiło wyżej i przez to dużo bardziej niebezpiecznie młodego Alberta. Tylko że teraz był on już dorosłym mężczyzną.

Rozpętał się prawdziwy chaos. Albert wył z bólu, baronowa wyła ze współczucia, a Móri i Etan próbowali pomóc rannemu. Bandaż, którym był zakneblowany, został znowu usunięty, nie wiadomo już który to raz, a Villemann miał zamiar usiąść na skrzyneczce, żeby jej ktoś nie ukraść, na szczęście Dolg w porę temu zapobiegł. Obaj chłopcy poprosili gwardzistów, by jej pilnowali, dopóki zamieszanie się nie skończy.

— Dziadek chciał mnie zabić! — wrzeszczał Albert. — Ten stary morderca!

— Lepiej jest zabić jednego mordercę, niż żeby wielu niewinnych ludzi miało ucierpieć — powiedział prefekt z przekąsem. — Tak z pewnością myślał pański dziadek.

I dobrze wiedział, co robi.

— Wstydziliby się pan! — ryknął baron. — I proszę uważać, bo mówi pan do wolnego człowieka, a poza tym pułkownika.

— Tak? A jakim to właściwie sposobem zdobył pan stopień pułkownika? Ten, który został mianowany jako pierwszy, umarł w miesiąc później w co najmniej dziwnych okolicznościach i pan wszedł na jego miejsce. Nie, już nie chcę słuchać żadnych protestów! Kontynuujmy dochodzenie!

Baron prychał i wyrwał się, ale ponownie zabandażowano mu usta i wszyscy mogli się znowu skupić na otwieraniu szkatułki.

— Jest tam jeszcze jedna skrytka — rzekł Erling, który bardzo dokładnie obejrzał szkatułkę. — I ona jest w dalszym ciągu zamknięta.

— Tak — potwierdził Móri. — I myślę, że to wreszcie jest ta właściwa.

— No to do dzieła wszyscy, którzy znają tekst!

Dzieci natychmiast się ożywiły. I bliźniaki, i Danielle byli na nogach już prawie całą dobę, ale żadne za nic nie poszłoby spać. Nerwy mieli napięte do granic możliwości.

Pierwsze imię, Wrje, wzburzyło wszystkich obecnych. Nikt nie miał odwagi zaczynać, nikt nie chciał zaprzepaścić możliwości.

W końcu Etan von Virneburg został wybrany, by nacisnąć właściwy kawałek drewna. Jego wskazujący palec drżał przez chwilę nad imieniem, po czym naciśnął.

Nic się nie wydarzyło.

— Widocznie jesteśmy na właściwej drodze. Cóż za niewiarygodnie wymyślne urządzenie — rzekł Erling z podziwem. — Pański ojciec musiał pracować nad tym bardzo długo.

Etan zachichotał, aż mu się zatrzęsa długa broda.

— On uwielbiał takie zabawki. Po jego śmierci znaleźliśmy mnóstwo najzupełniej fantastycznych wynalazków. Aparaty i instrumenty, niektóre całkiem rozsądne, inne zupełnie pozbawione sensu.

Teraz, kiedy już raz odważyli się zacząć, posuwali się szybko naprzód. Imiona: Dalia, Ika, Doluth, Auet i tak dalej były wypowiedane przez chłopców, Etan zaś

naciskał po kolei właściwe klawisze.

— Świetna współpraca, chłopcy — powtarzał, a Villemann i Rafael uśmiechali się do siebie z dumą.

Kiedy uporali się już z ostatnim imieniem ducha, Eloj, zaczęło się coś dziać. W skrzynce szcęknięło, potem rozległ się jakiś warczący przeciągły dźwięk, wreszcie wszystko ucichło. Zebrani czekali, ale wciąż trwała cisza.

Wtedy Taran uznała, że przewaga mężczyzn jest zbyt wielka, i teraz ona zaczęła recytować, a Villemann i Rafael przyłączyli się do niej, bo tekst Pierwszej Tablicy Świata Duchów Atmosfery wszyscy umieli na pamięć. Mówił on, że ten, kto nosi przy sobie tablicę, otrzyma pomoc duchów natychmiast, gdy o nią poprosi, i zostanie wyratowany z każdej opresji. Wystarczy, że pomyśli o duchach.

Dzieci, recytując, myślały o nich tak intensywnie, jak tylko mogły. Głęboki głos Etana mieszał się z chórem dziecięcym.

— „Jehowo, Ojczy, Deus Adonay. Elohe, wzywam cię przez Jehowę. Deus Schadday, Eead. Zaklinam cię przez Adonaya”.

Czy sprawiła to moc zaklęcia, czy też czas po prostu dojrzał, nigdy się już nie mieli dowiedzieć. Prawdopodobnie jednak to drugie, w każdym razie płyta metalowa, ciężko i z oporem co prawda, ale w końcu ustąpiła. I chyba otworzyłaby się wcześniej, ale czas i rdza zrobiły swoje.

Nikt jednak nie odważył się zbliżyć do szkatułki w obawie przed kolejnym podstępny atakiem.

Tym razem nic się nie stało i Rafael, do którego przecież zwracał się duch dziadka, mógł zajrzeć do wnętrza.

— Leżą tam jakieś papiery — oznajmił.

— Wyjmij je swoją drobną rączką — polecił prefekt. — Weź je, przecież nie gryzą.

Okazało się, że jedna z kopert jest zaadresowana właśnie do prefekta, on jednak zostawił w domu swoje okulary, tak więc pismo musiał przeczytać zastępca, jako osoba absolutnie bezstronna.

Do prefekta w Feldkirch, brzmiał nagłówek. Niniejszym przedstawiam moją ostatnią wolę i proszę Pana, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Mój wnuk, Rupert von Virneburg, syn mego młodszego syna, Etana, zostaje wyznaczony przeze mnie na dziedzica posiadłości Virneburg. Pragnę w tym liście wyjaśnić przyczyny mojej decyzji.

Otóż żywię poważne podejrzenia wobec Alberta, jedynego syna Ernsta. Majątek nie powinien nigdy znaleźć się w jego rękach, niniejszym więc wyłączam go z mojego testamentu, a także pozbawiam go wszelkich praw do spadku, na które z pewnością będzie się powoływał.

Proszę Pana o zbadanie okoliczności śmierci małżonki Etana...

— Co takiego? — wykrzyknął wstrząśnięty Etan.

... która odważyła się skrytykować zachowanie Alberta.

Dalej proszę Pana o zbadanie kilku innych przypadków śmierci w Feldkirch, na przykład dwóch rówieśników Alberta, którzy nazwali go zadufkiem i stopą węgorza.

— Stopą węgorza? — zdziwiła się Taran. — Przecież węgorze nie mają stóp.

— No właśnie — wyjaśnił Etan. — Innymi słowy określili go jako zero, po prostu nic.

Baron zgrzytał zębami. W jego wzroku mogli odczytać tamto pragnienie zemsty sprzed lat. „Ja wam pokażę, że jednak jestem kimś, z kim trzeba się liczyć!” A jego sposobem na pokazanie przeciwnikom, że jednak nad nimi góruje, było mordowanie.

Dosyć bezwzględna metoda, trzeba powiedzieć.

— Stopa węgorza — zachichotała Taran. — Zapamiętam to sobie. — Przechyliwszy głowę, przyjrzała się baronowi. — No, muszę powiedzieć, że w tym przypadku trafia w sedno.

Baron Albert sprawiał wrażenie, że rzuci się na dziewczynkę z wściekłością, więc Móri upomniał ją krótko:

— Opamiętaj się, Taran! — A potem zwrócił się do zastępcy prefekta: — No to idźmy dalej!

Mam też poważne podejrzenia, że Albert chciał mnie otruć. Przyszedł do mnie któregoś wieczora i przyniósł mi napój, o który nie prosiłem, a który miał bardzo dziwny smak. Wylałem go, ale przedtem spróbowałem odrobinę i już to spowodowało, że w nocy miałem silne bóle brzucha. Dlatego ukrywam ten testament tak, by mógł go wydstać tylko mały Rupert von Virneburg. Bardzo pana proszę, niech się pan opiekuje moim wnukiem Rupertem, niech go pan broni przed jego stryjecznym bratem Albertem! To moja ostatnia prośba do Pana, Panie Prefekcie.

Virneburg, 7 czerwca A.D. 1720.

Rupert von Virneburg starszy.

Zastępca złożył list i podał go prefektowi, który powiedział:

— Działo się to tamtego lata, kiedy on i mały Rupert umarli. Obaj w lipcu, najpierw chłopiec, a potem stary baron. Odprowadziliśmy dwóch Rupertów von Virneburg równocześnie. Czegoś takiego się nie zapomina. No i co, baronie Virneburg — zwrócił się do rannego gospodarza. — I co pan na to powie?

— Ale... Nikt chyba nie będzie brał poważnie tego rodzaju głupstw? Gadanie stetryczalego starca. To przecież same kłamstwa! Złośliwe, ohydne kłamstwa!

Prefekt wbił w niego wzrok.

— W takim razie niech mi będzie wolno wtrącić moje trzy grosze. Bo nie tylko śmierć pułkownika budziła nasze wątpliwości i podejrzenia. Istniało takich przypadków więcej.

— Nie, no idźcie już sobie! Zabierajcie się stąd wszyscy! Cóż to za znęcanie się nade mną?

— Nigdzie nie pójdziemy, bo jeszcze nie doprowadziliśmy sprawy do końca — oświadczył prefekt i zebrani widzieli, że wymawia każde słowo z wielką przyjemnością. — Dwoje tutejszych służących, kobieta i mężczyzna, przyszli kiedyś do nas naskarżyć, jak bardzo źle baronostwo obchodzą się z dziećmi. I on, i ona zginęli potem w dziwnych wypadkach, na niego na przykład spadła belka w stodole, nie pamięta pan? A jak to było z tym chłopem, który odważył się czerpać wodę z pańskiej studni, znajdującej się na granicy z jego polem, z której to studni pan zresztą nie korzystał. Albo z urzędnikiem w ratuszu, który wykazał, że zagarnął pan więcej lasu, niż miał pan do tego prawo? I jeszcze chłopiec stajenny, którego pan omal nie zaćwiczył na śmierć dlatego, że nie chciał pozbawić życia konia. Właśnie w tym tygodniu przyszedł do mnie na skargę.

— Nie miał do tego żadnego prawa! I pan mu uwierzył? A koń przecież żyje!

— Tak, dlatego, że chłopiec go ukrył. A z tym koniem też jest problem, bo pan go sobie po prostu wziął jakiś czas temu od ojca tego chłopca...

— Naprawdę nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać jakichś bzdurnych oskarżeń. Miałem pełne prawo wziąć tego konia, bo wszystko, co należy do moich poddanych, jest moje.

— Głupstwa! Pański ojciec, baron Ernst, był szlachetnym człowiekiem, który dbał o dobro swoich poddanych.

— Radykalne idee mojego ojca świadczyły o jego słabości.

— Nie wydaje mi się. A wracając jeszcze do tego chłopca. On się wychował z tym koniem i pragnął uratować mu życie. Czy za to należało go karać?

— Sentymentalny smarkacz!

— I dlatego dostał baty! Mamy jeszcze jedną nie wyjaśnioną sprawę.

— Nie, nie pozwalam!

Prefekt sprawiał wrażenie, że nie słyszy.

— Chodzi o pierwszego męża pańskiej drugiej żony, tej, która tu siedzi. My w Feldkirch wiemy, że spotykaliście się potajemnie za życia jej męża. I mąż zginął w wypadku, kiedy jego koń potknął się w parku na równej drodze. Ale znaleziono za drzewami ślady wskazujące, że ktoś tam w czasie wypadku leżał, znaleziono też resztki sznura przywiązanego do drzewa. Bardzo to wszystko niezdarnie zrobione, czy naprawdę był pan aż tak pewien bezkarności?

— Ależ, Albercie! — baronowa zrobiła wielkie oczy. — Tym razem to także byłeś ty? Nigdy mi nie mówiłeś.

— Zamknij się! — ryknął Albert, a potem z lodowatym spokojem zwrócił się do prefekta: — Nie ma pan żadnych dowodów, że to byłem ja. Zresztą mnie wtedy w ogóle nie było w domu, podróżowałem do Lichtensteinu, o!

— Tak jest — zgodził się prefekt. — Ale my wiemy, kto to zrobił za pana. Pański najbardziej zaufany człowiek, Claude. Byli świadkowie, którzy widzieli go tamtego wieczora w pobliżu miejsca zbrodni, ale nie łączyliśmy go z zamordowaniem człowieka, którego nie znał.

— Ale ja nie mam nic wspólnego. . .

— Mój Boże, to ty mnie aż tak kochałeś? — westchnęła baronowa wzruszona. — Chciałeś mnie uwolnić od tego ciężaru, jakim był dla mnie mój mąż! Pamiętam, że mówiłeś o tym, ale że zdecydowałeś się to zrobić? Żeby mnie dostać!

Baron-pułkownik rzucił się na nią z wściekłym krzykiem i próbował ją udusić. Baronowa wrzeszczała przerażona.

— No to wystarczy — zdecydował prefekt. — Żołnierze, brać ich oboje! Zabieramy też ze sobą Claude'a i mademoiselle.

Następnie prefekt uznał, że sprawa z baronem została ostatecznie zakończona, i zwrócił się do księżnej Theresy:

— Wasza Cesarska Wysokość. . . Moi państwo. Domyślam się, że nikt z państwa nie chciałby nocować w tym domu. Nasze małe miasteczko proponuje więc lokum w najlepszej swojej gospodzie na tę resztę nocy, jaka jeszcze nam została.

Wszyscy przyjęli jego propozycję z wdzięcznością.

Aresztanci zostali wyprowadzeni, służba księżnej pakowała to, co Rafael i Danielle chcieli ze sobą zabrać. I to wtedy Móri rzekł niepewnie:

— No, a co będzie z przyszłością tych dzieci? Nawet jeśli matka zostanie uwolniona, to i tak pewnie nie zechce się nimi zająć.

Erling siedział na kanapie ze śmiertelnie zmęczonym Rafaelem w objęciach, drugą ręką tulił do siebie Danielle.

— Baronowa nie zostanie uwolniona — wtrącił prefekt. Móri poszedł przynieść więcej ubrań dla dzieci, a Theresa stała zamyślona w salonie.

— Erlingu — powiedziała po chwili drżącym głosem. — Ja się właściwie przez cały czas zastanawiałam nad losem dzieci. I pomyślałam, żeby. . . wziąć je do siebie.

— Ja też bym je chętnie wziął — powiedział prawie bez tchu. — Czy moglibyśmy, zrobić to wspólnie? Jeśli one by nas chciały. Czy moglibyśmy?

W oczach księżnej ukazały się łzy radości.

— Tak, mój przyjacielu. Jak najchętniej.

A więc wskazała mu drogę, teraz mógł już zapytać:

— Czy wyszłabyś za mnie, Thereso? Wiem, że stoję o wiele niżej od ciebie, ale. . .

Szeroki uśmiech rozpromienił jej twarz. Mój Boże, jakie znaczenie mają te głupie przesady? A poza tym została przecież po części „odrzucona”. I Aurora wyszła za człowieka, który nie jest szlachcicem, a sądząc z jej listów, jest bardzo szczęśliwa. Dlaczego więc Theresa nie miałaby się odważyć?

— Z wielką radością, Erlingu!

Ich dłonie spotkały się w serdecznym i bardzo czułym uścisku.

Erling spojrzał na dwoje malców.

— Czy chcielibyście zamieszkać z księżną Theresą i ze mną? — zapytał przyjaźnie. — Zostać z nami już na zawsze, być naszymi dziećmi? Będziecie, oczywiście, mogli mieszkać z dziećmi Móriego, Dolgiem, Villemannem i Taran.

Blady uśmiech pojawił się na ślicznej twarzyczce Rafaela.

— Tak, ja chcę, bardzo dziękuję. A jak ty, Danielle?

— I ja też — szepnęła jego siostra. — Tak, dziękuję bardzo, ja też chcę.

Theresa i Erling uśmiechnęli się do siebie, po czym każde wzięło na ręce swoje na pół śpiące dziecko.

Następnego ranka w eleganckiej gospodzie w Feldkirch księżna przeżywała ciężką rozterkę i wyrzuty sumienia. Wszystkich pytała o radę.

— Co ja mam robić? Z całego serca chciałabym towarzyszyć tym malcom do Theresenhof, żeby być z nimi w ciągu pierwszych dni w nowym domu. A z drugiej strony serce mi się wyrywa, żeby jechać na ratunek mojej jedynej córce, którą w dzieciństwie tak bardzo skrzywdziłam. Nie chcę nikogo zawieść, a cokolwiek postanowię, to i tak będę miała wyrzuty sumienia.

Rozumieli ją bardzo dobrze. Zresztą Erling przeżywał mniej więcej to samo.

I wreszcie z pomocą księżnej przyszła Edith, pokojówka.

— Wasza wysokość może na mnie polegać, zawiozę dzieci do Theresenhof i poinformuję całą służbę, przez co te maleństwa przeszły. Zadbam, żeby zostały otoczone miłością i życzliwością, której tak im potrzeba. Wszyscy będą je kochać, wiem o tym. Proszę mi więc pozwolić wrócić z nimi do domu.

Całkiem nieoczekiwanie pomoc zaoferowały także dzieci. Wszyscy niemal widzieli aureolę świętego nad głową Villemanna, kiedy mówił:

— Taran i ja podjęliśmy decyzję. Wracamy do Theresenhof razem z Rafaelem i Danielle.

Taran kiwała głową z miną anioła.

— Bogu dzięki — mruknął Móri, a Erling musiał się uśmiechnąć widząc, jak wielką ulgę sprawiła przyjacielowi ta wiadomość.

— Świetnie! — cieszyła się Theresa. — Dziękuję wam wszystkim. Jestem pewna, że zgotujecie dzieciom naprawdę serdeczne powitanie. Ale musisz mieć męską eskortę, Edith. Siegbert z tobą pojedzie.

— Bernd — szepnęła nieśmiało Edith.

— Siegbert — upierała się Theresa niespokojna o opinię dziewczyny.

Służący odchrząknął i wystąpił krok naprzód:

— Gdyby wolno mi było się odważyć, wasza wysokość... Czy mógłbym pojechać do domu? Nie najlepiej się czuję na koniu, a mam dwa pistolety i na pewno potrafię obronić Edith i dzieci.

Theresa uśmiechnęła się.

— Ja wiem, że nie najlepiej się czujesz, chociaż nie mówisz nic. Edith, my naprawdę potrzebujemy młodego i silnego Bernda, ale obiecuję ci, że oddam ci go całego i zdrowego.

Edith westchnęła cicho, ale musiała się pogodzić ze swoim losem.

Prefekt ogłosił Etana von Virneburg prawnym właścicielem majątku, który po nim miała odziedziczyć najstarsza córka Etana i jej rodzina. Rafael i Danielle nie mieli żadnych praw do spadku, ale też i pewnie by nie chcieli. Wśród wnuków Etana byli chłopcy i to oni pewnie stać się mieli w przyszłości właścicielami posiadłości.

Taran i Villemann uprosili Etana, by im starannie narysował znaki Pierwszej, Osiemnastej i Dziewiątej Tablicy Duchów, i dostali je. Obiecali tylko uroczyście, że będą bardzo ostrożni.

Danielle miała jechać na koniu razem z Taran, Rafael natomiast z Villemannem.

Theresa, Erling i wszyscy inni serdecznie uściskali nowych członków rodziny na pożegnanie, a kiedy gromadka wracająca do domu zniknęła im z oczu, oni również podjęli swoją przerwana podróż na zachód.

KSIEGA IV
OCZEKIWANIE

Rozdział 20

Dla Tiril czas płynął i zbyt wolno, i zbyt szybko.

Wiedziała, że nie ma nikogo, kto mógłby przyjść jej na ratunek. Bo, po pierwsze, nie wiedziała, gdzie się znajduje, a po drugie i najważniejsze, Móri nie żyje i Erling również. Tiril pogrążona była w głębokiej żałobie.

Księżna Theresa, jej matka, nie wiedziała, co się stało na skale pod ruinami zamku Graben. Jakim sposobem mogłaby wpaść na pomysł, by szukać córki tutaj, w nieznanym zamku w Pirenejach? Mimo wszystko jednak tliła się w Tiril iskierka nadziei. Istotą, z którą tę nadzieję wiązała, był Dolg. Liczyła, że kiedy chłopiec dorośnie, to może, może... może jakoś się dowie, gdzie znajduje się jego matka. I wtedy zacznie szukać.

Ale czy ona dożyje czasu, gdy Dolg będzie dorosły? To musi przecież potrwać jakieś osiem, może dziesięć lat.

Raczej nie dożyje, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

Bo widoki na przyszłość miała marne. Przesłuchanie prowadzone przez kogoś, kogo tamci nazywają bratem Lorenzo. Czy ona go już gdzieś nie spotkała? Mężczyzna z blizną prawie przez całą twarz.

A kiedy przesłuchania się skończą, ona ma być przewieziona dalej, do siedziby Zakonu Świętego Słońca, i postawiona przed Wielką Radą, która ją osądzi i skarże.

Na śmierć, co do tego nie miała wątpliwości.

Jej ukochane dzieci, Dolg, Villemann i Taran, nigdy się nie dowiedzą, czy ich matka żyje, czy nie. Niczego się nigdy nie dowiedzą o jej losie. Niepewność będzie ich dręczyć do końca dni.

Wszystko to było podwójnie tragiczne, bo Tiril wiedziała teraz tak wiele. O Zakonie Świętego Słońca. Rozmowy ze współwięźniem, Henrikiem Russem, wiele wyjaśniały.

Nikt nie mógłby twierdzić, że Tiril jest dobrze w tym lochu. Ale najwyraźniej prześladowcom zależało, by zachowała życie. Bo jedzenie było... No, w najlepszym razie można powiedzieć, że było jadalne. Nic więcej. Zawierało mnóstwo przypraw chyba nie tylko dlatego, że to jedzenie hiszpańskie, lecz także dla ukrycia zaawansowanego niekiedy rozkładu. Kilkakrotnie Tiril się rozchorowała na

żołądek, ale jakoś z tego wyszła. Śmiertelnie bała się dyzenterii. Wtedy byłoby z nią naprawdę źle.

Chociaż właściwie to po co ma żyć?

Owszem, chciała żyć. Jak długo istniał choćby cień nadziei, że jeszcze kiedyś zobaczy dzieci, że będzie im mogła powiedzieć, jak strasznie za nimi tęskniła, będzie się ze wszystkich sił starała uratować.

To dziwne, ale Henrik Russ, czy raczej Heinrich Reuss, jak go tutaj nazywali, stanowił jaśniejszy punkt w jej smutnej egzystencji. Rozmowy z nim poprawiały nastrój, kiedy dygotała z zimna w surowych, mokrych murach albo kiedy już nieznośnie śmierdziało z drewnianego wiadra, które stanowiło jej toaletę, a które opróżniano tylko wtedy, gdy się zaczynało przelewać, kiedy szczury harcowały po kątach, a słoma na posłaniu gniła od przenikającej wszystko wilgoci.

Od wielu dni nie widziała dziennego światła, ale to może lepiej, bo ona sama musiała wyglądać potwornie. Nic w tym lochu nie było czyste, nic nie było naprawdę suche, a ona nie zmieniała ubrania, odkąd tu się znalazła.

Ale najwyraźniej miała żyć.

Ona i jej dawny wróg, Heinrich Reuss, stali się może nie przyjaciółmi, ale w każdym razie w jakimś sensie ufającymi sobie ludźmi. On często mawiał, że jej przybycie go uratowało. Wcześniej zdecydowany był popełnić samobójstwo, nie wiedział tylko, jak to zrobić. Teraz zyskał nową wolę życia, miał bowiem z kim rozmawiać, a przy tym był to rozmówca inteligentny.

Jego stosunek do Zakonu Świętego Słońca cechowała ambiwalencja. Nienawidził braci zakonnych, a przede wszystkim fanatycznego aż do granic choroby psychicznej kardynała von Grabena, wielkiego mistrza Zakonu. Teraz, kiedy zauroczenie potężnym zakonem ustąpiło i kiedy tamci najwyraźniej o nim zapomnieli, mógł widzieć zgromadzenie w nowym świetle.

Owszem, nadal bardzo chciał być jego członkiem, bo to wszystko, co znajdowało się w tle, wydawało się całkowicie niewiarygodne. Ale nie na warunkach takich ludzi, jak bracia zakonni. Tak samo jak ojcowie Kościoła zniszczyli chrześcijaństwo, tak bracia zakonni zniszczyli szlachetne cele i sens Zakonu Świętego Słońca. Teraz nie zostało już nic poza pragnieniem robienia kariery, walką o władzę i podporządkowanie sobie zwyczajnych ludzi.

No tak, ale co było tym szlachetnym, najwyższym celem?

Heinrich Reuss wyszeptał jej to przez szparę pomiędzy kamiennymi blokami. Tiril była tak zaszokowana, że tego dnia nie mogła już niczego więcej słuchać. Ale teraz rozumiała lepiej owo desperackie dążenie kardynała i jego ludzi do odnalezienia brakujących elementów układanki. I rozumiała, jaką przewagę zdobyła ona sama i jej rodzina, nic w ogóle nie wiedząc o celu Zakonu.

Tiril wiedziała teraz także, iż bracia zakonni zbierają się dwa razy do roku w swoim głównym zamku. Natomiast Heinrich Reuss nie słyszał o Deobrigula i nikt w Zakonie nie wiedział, czym jest kamień z Ordogno.

Tego zresztą grupa Tiril także nie wiedziała, więc w tej sprawie niczym się nie różnili.

Pewnego dnia Reuss zapytał ją:

— Skąd wy bierzecie tę siłę? Wszyscy się nad tym zastanawiali. Kardynał i brat Lorenzo byli wściekli. Nie rozumieli niczego.

Tiril zachowywała przez cały czas wielką ostrożność tym, co mówi. Nie przekazywała mu więcej informacji, niż to było konieczne. Bo jeśli nawet Heinrich von Reuss rozstał się ze swoimi braćmi zakonnymi i chyba raczej nie wyjdzie z tego więzienia, to mimo wszystko pozostał członkiem zgromadzenia, a jego tęsknota za Świętym Słońcem nadal była wielka.

Teraz potrafiła ową tęsknotę zrozumieć.

— Pan przecież wie, że mój mąż jest czarnoksiężnikiem.

Przez cały czas mówiła o Mórim tak, jakby żył.

— Tak, oczywiście, wiem, ale czarnoksiężnik, co to znaczy? Kardynał też jest. I to bardzo potężnym czarnoksiężnikiem, mimo to wy zawsze byliście górą, jeśli tak można powiedzieć. To musiało być coś więcej!

— Owszem, rzeczywiście — potwierdziła Tiril spokojnie. — Ale nie sądzę, by pan to zrozumiał, gdybym to teraz wyjaśniła. Zostawmy to!

Wyciągnęła rękę tak, jakby chciała pogłaskać psa, i natychmiast poczuła pod dłonią kudłatą sierść Zwierzęcia. Dotykała jej z czułością.

Ponieważ Tiril nigdy nie słyszała o niebieskim szafirze, o tej kuli, którą znalazł Dolg, to nigdy też nie przyszło jej do głowy, żeby wspomnieć o dwóch kamieniach, występujących w legendzie o morzu, które nie istnieje. O czerwonym i niebieskim kamieniu. Reuss też o nich nie wspominał, bo chyba w ogóle nigdy o niczym takim nie słyszał.

Opowiedziała natomiast Reussowi o swoich dzieciach, zwłaszcza o wyjątkowym Dolgu, który odziedziczył nadzwyczajne zdolności ojca. Dwoje młodszych dzieci jest całkowicie normalnych, trochę może bardziej ruchliwych i bardziej ciekawych życia, niż dzieci zazwyczaj bywają. Opowiadała o tym, jak dorośli członkowie rodziny starali się wpoić im dyscyplinę, uprzejmość i współczucie dla ludzi. Ale akurat do dyscypliny to w jej rodzinie nie przywiązuje się szczególnej uwagi. Zarówno Taran, jak i Villemann są dziećmi silnymi, pełnymi wyrozumiałości, świadomymi odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa.

— Oj, oj — mruczał Heinrich. — Mnie to w domu nie wolno było się ruszać. Byłem surowo karany, gdy odważyłem się otworzyć usta w obecności dorosłych.

— Ach, naprawdę bardzo dużo dzieci cierpi z tego powodu — wzdychała Tiril, nie wiedząc, że właśnie w tym czasie jej najbliżsi poznali i uratowali dwa takie biedactwa. — Moja mama, księżna Theresa, strasznie rozpieszcza nasze dzieci, bo sama miała niezbyt wesołe dzieciństwo.

— Otóż to. My, urodzeni w wielkich zamkach, na ogół jesteśmy trzymani krótko i zazwyczaj oddawani niańkom i opiekunkom. Rodziców widzimy rzad-

ko.

— Ja wychowywałam się w innych warunkach — powiedziała Tiril spokojnie.
— Ale ja też wiem, jak można cierpieć, kiedy rodzice niczego nie rozumieją. Moja siostra, Carla... nie, nie chcę o tym mówić, nawet po tylu latach sprawia mi to ból.

Heinrich Reuss chciał się dowiedzieć czegoś więcej o „śpiących wielkich mistrzach” i Tiril opowiadała wiele razy to, co sama wiedziała. Nie było tego wiele, bo przecież widziała kamienne tablice tylko raz, na skale koło zamku Graben. I stanowiło to z pewnością jedno z jej najgorszych wspomnień.

Tiril z kolei pytała Reussa, co oznaczają litery IMVR, IMUR lub EMUR, ale on nigdy o niczym takim nawet nie słyszał.

No więc raz jeszcze ona i jej przyjaciele wiedzieli więcej. To oni przecież znali tajemnice Habsburgów, to oni otrzymywali pomoc od towarzyszy Móriego i mogli wędrować w czasie, dzięki czemu dotarli na przykład do Tiersteingram istniejącego wiele wieków temu, to oni mieli do niego klucz i odwiedzili to miejsce również we współczesności, to oni rozwiązali zagadkę naszyjnika z szafirów, oni odnaleźli zamek Graben i kamienne tablice.

Ale na co to się zdało? Teraz, kiedy nie istniał nikt, komu mogłaby opowiedzieć o tym niepojętym, o tym cudownym, co czeka kogoś, kto znajdzie Święte Słońce?

Ciężkie kroki na schodach i hałasy za drzwiami. Podniecone głosy.

Nikt nie wszedł do niej, nikt też nie przyszedł do Heinricha Reussa. Ale Tiril słyszała nawoływania swoich strażników, kiedy biegli gdzieś przez piwniczne korytarze. Krzyczeli jeden do drugiego:

— Co się dzieje?

— Pan Lorenzo przybył do miasteczka. Jutro ma przyjść na zamek.

Ach, tak, pomyślała Tiril. Zatem czas oczekiwania dobiegł końca.

Ale czy to oznacza poprawę?

Trudno w to uwierzyć.

Rozdział 21

Człowiek kardynała nie musiał jechać długo. Kardynał von Graben znajdował się niedaleko Feldkirch, chociaż mieszkał w Szwajcarii. Bo Feldkirch leży blisko granicy zarówno z Lichtensteinem, jak i ze Szwajcarią.

— A zatem księżna Theresa nie dała za wygraną — rzekł wielki mistrz Zakonu Świętego Słońca, kiedy podwładny złożył już raport. — Jakim sposobem ona się dowiedziała, że wysłaliśmy tę jej krnąbrną córkę do zamku w Pirenejach? Bo ona wiedziała to już przedtem, prawda? Zanim cesarscy gwardziści wycisnęli z was informacje?

— Ze mnie nie wycisnęli niczego, wasza eminencjo.

Teraz kardynał przypomniał sobie, że przecież to on sam powiedział księżnej, gdzie jest Tiril, i zamilkł. Czyżby cierpiał na starczą demencję?

— Postąpiłeś bardzo rozsądnie. Ilu ich było, mówisz?

— Stanowczo zbyt wielu. Czterech gwardzistów cesarskich, dwóch dworskich parobków, zięć księżnej z Islandii i ten Norweg. . .

Gorączkowe rumieńce pojawiły się na pożółklej twarzy kardynała.

— Czarnoksiężnik? I ten natrętny Norweg? Chyba musiałeś się pomylić.

— Nie. Ci, którzy ich zamordowali w pobliżu zamku Graben, byli tak samo zdziwieni. Zaklinali się, że zabili obu tych ludzi, chcieli przysięgać. A oni jednak żyją.

Duchowny chodził tam i z powrotem po pokoju z rękami splecionymi na plecach. Bębnił palcami po dłoni.

— Czary! Od samego początku z tym Islandczykiem związane są jakieś czary! Chcę go mieć żywego. Innych mężczyzn zamordować bez wahania!

Myślał teraz o swoich śmiercionośnych posłańcach, którzy mieli gonić Dolga, o zatrutej musze, puku i wampirze, czy naprawdę nic już nie działa?

— Czy chłopiec był z nimi? Wiesz, kogo mam na myśli?

— Podmieniec? Tak, był. Do naszego pokoju nie wchodził, ale wspominali o nim.

Niepojęte! Naprawdę niezrozumiałe! Jakim sposobem taki smarkacz, dziecko przecież, mógł się przeciwstawić magicznej sztuce kardynała von Grabena?

— Eee, zamordować bez wahania, wasza eminencjo? Jak i gdzie mamy to

zrobić?

— Oni będą musieli przejeżdżać przez Sankt Gallen. Wezwij natychmiast całą moją gwardię! Natychmiast! Pokażesz im drogę. Dowódcy gwardii nakaż, by zaczął się z ludźmi w zaroślach przy leśnej drodze w Toggenburg, oni będą musieli tamtędy jechać.

Mówiąc o Sankt Gallen, kardynał miał na myśli kanton, nie miasto.

— Zresztą zaczekaj! Niech ludzie przyjdą tutaj, ja sam chcę wziąć udział w zasadzce.

— Ależ wasza wielbność, to może być bardzo niebezpieczne. I podróż męcząca. . .

— Nonsens, jestem w dobrej formie.

A będę w jeszcze lepszej, pomyślał. Bo ten mały, podobny do elfa chłopiec ma szafir. Ten, który leczy rany i może przedłużać ludzkie życie. Muszę ten kamień mieć. On jest przecież mój, czy oni tego nie rozumieją? Nikt oprócz mnie nie jest godzien go posiadać.

Ludzie, którzy mieli mu towarzyszyć, patrzyli sceptycznie na wysuszonego starca, ale on ich popędzał.

— Spieszcie się! Nie mamy czasu do stracenia!

Co do tego kardynał miał zupełną rację.

Koniecznie chciał wziąć udział w tej wyprawie. Biegał po rezydencji tam i z powrotem, zbierając różne rzeczy, które, jak sądził, będą mu potrzebne. To ważne, żeby był na miejscu w odpowiedniej chwili, żeby nikt inny nie zagarnął szafiru, po tym jak chłopiec i jego sprzymierzeńcy zostaną wymordowani.

Ten, który zdawał raport, wspominał też o wielkim czarnym psie. To niemożliwe, ten pies nie mógł już żyć! Tiril Dahl miała go przecież od dzieciństwa, a teraz to dojrzała kobieta.

Ale wielu jego sług, a także braci zakonnych przysięgało, że to wciąż ta sama bestia.

Z czego ci czarnoksiężnicy są zrobieni? Islandczyk Móri i jego syn? Na czym polega ich tajemnica?

To zresztą nie ma znaczenia. Teraz zostaną pokonani, zostaną zmiażdżeni i kardynał von Graben osobiście zadba, żeby tak się stało.

Nie mając pojęcia o czającym się niebezpieczeństwie orszak Theresy posuwał się przez porośniętą lasem dolinę.

No, szczerze powiedziawszy, tak zupełnie bez żadnych przeczuć się nie obyło.

I Móri, i Dolg odczuwali niepokój, ale nie mogli określić żadnej konkretnej przyczyny. W końcu przypomnieli sobie, że jeden z woźniców, którzy towarzyszyli Tiril do Francji, jakoś szybko zniknął po rozmowie z nimi.

Móri wiedział, że znajdowali się teraz w dystrykcie kardynała, w kantonie Sankt Gallen. Prosił gwardzistów, by zachowali czujność, a Bernd i Siegbert, który tymczasem zdołał do nich dołączyć, dostali pistolety. Obaj byli z tego bardzo dumni.

Niczego konkretnego jednak Móri nie mógł powiedzieć. Jeśli istniało jakieś niebezpieczeństwo, to było ono minimalne. Rozległe, nie zamieszkane okolice, kto by zadawał sobie trud zatrzymywania ich tutaj?

Tego właśnie kardynał sobie życzył. On i jego ludzie stali przy dużym zakręcie, czy, ściślej biorąc, siedzieli w siodłach. Sam kardynał siedział w powozie, ukrytym w zaroślach. Miał widok na okolicę, która niebawem stanie się polem bitwy, ale nikt by się nie domyślił, że on tam jest. Wiedzieli o tym tylko jego podwładni.

Sam osobiście rozstawił całą gwardię. Dwudziestu ludzi w eleganckich uniformach, kolorowych, w barwach kardynała, siedziało w siodłach i czekało. Byli bardzo piękni w krótkich pelerynkach narzuconych na ramiona i ze strusimi piórami przy kapeluszach. Wszyscy zostali starannie wybrani, wszyscy lojalni wobec kardynała, ponieważ sądzili, że służą dobremu i religijnemu człowiekowi. Chociaż w miarę upływu lat zaczęli powątpiewać w dobre intencje swojego zwierzchnika.

Tego dnia kardynał zamiast swego wielkiego krzyża miał na piersiach wielki znak Słońca. Ten znak go strzeże i chroni, mówił.

A czy krzyż tego nie zapewnia?

Co tam, drobiazgi nie mają znaczenia, służyć kardynałowi to wielki zaszczyt, a piękne mundury budzą zainteresowanie dziewcząt. W koszarach też wiedli wygodne życie, a teraz czeka ich walka, więc będzie trochę rozrywki. Przeciwnik zdaje się nie jest specjalnie imponujący. Wrogowie Kościoła katolickiego, powiedział kardynał. Heretycy.

Z takimi nędznikami należy się rozprawić krótko.

Ale jednego z nich należało wziąć żywcem. Tajemniczego cudzoziemca o płonących oczach.

Na chłopca o bardzo dziwnym wyglądzie też mieli zwracać szczególną uwagę. Trzeba go zabić natychmiast, a jego zwłoki razem z bagażem niezwłocznie przekazać samemu kardynałowi.

Dobrze, gwardziści nie mieli nic przeciwko temu, chociaż uważali, że rozkaz jest dość osobliwy.

Wysłany na zwiady jeździec raportował, że orszak zbliża się przez las.

Gwardziści kardynała mocniej ujęli lejce i czekali.